Michal Viewegh

Ekożona

powieść pozornie humorystyczna

STARA SZKOŁA

Michal Viewegh

Ekożona

powieść pozornie humorystyczna

STARA SZKOŁA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Michal Viewegh

EKOŻONA

Przełożył Mirosław Śmigielski

Veronice, z miłością

Nigdy nie opisuję wydarzeń takimi,
jakie były naprawdę.
Wprawdzie we wszystkich moich tekstach
pojawiają się moje najintymniejsze przeżycia,
lecz nie są to wydarzenia z mojego życia...
Opisywanie rzeczywistości
byłoby równoznaczne
z byciem niewolnikiem własnej pamięci,
która w procesie twórczym
stanowi zaledwie element podrzędny.

PHILIP ROTH

I

Oto ja – staruszka. La Loba. Nie jestem królową, czarodziejką ani amazonką – jestem doulą*. Tańczę z życiem i śmiercią. Jestem kobietą, która porzuciła czółenka i teraz biega z wilkami. Biegnijcie ze mną, siostry moje, zabiorę was z powrotem w rejony duszy, które kiedyś należały do nas.

Nigdy nie miałam wątpliwości, że małżeństwo Mojmira i Hedviki stanowi nowoczesną *soft* wersję pradawnej opowieści o Sinobrodym mordującym swoje żony. Z pewnością ją znacie: niedoświadczona piękna dziewczyna poślubia lubieżne bogate monstrum, które pozornie daje jej wiele swobody, ale tak naprawdę zabija jej naturalne piękno, talent i naturalne żywioły.

Naturalnie Mojmir twierdzi, że dzięki niemu Hedvika żyje w bajce o współczesnym Kopciuszku. Gdy wypowiedział tę typowo męską arogancką opinię po raz pierwszy, Hedvika podobno mu przytaknęła (spytam ją o to przy najbliższej okazji), ale kiedy słyszy to dzisiaj, zazwyczaj tylko uśmiecha się bez przekonania lub rzuca ironiczną uwagę typu: – Wasza książęca mość ma zaiste rację.

Niemniej porównaniu do Kopciuszka nie można odmówić pewnej logiki – męskiej logiki oczywiście. Ojciec Hedviki jest woźnicą, więc to się zgadza, a ja z pewnością jestem złą macochą… Chi chi! Prawdą jest

również to, że kiedy jesienią 2000 roku Mojmir po raz pierwszy spotkał Hedvikę, pracowała w dziale dziecięcym praskiej biblioteki publicznej, zarabiała zaledwie jedenaście tysięcy koron brutto i mieszkała z dwiema koleżankami w wynajętej kawalerce gdzieś na obrzeżach miasta. Jej przestrzeń życiowa wynosiła (jak wyliczył Mojmir) dziewięć metrów kwadratowych, co go, jakże by inaczej, niezwykle wzruszyło. Ówczesny jadłospis Hedviki składał się wyłącznie z jogurtów, warzyw, taniego makaronu, mrożonych ryb i zupek w proszku. Nigdy w życiu nie była nad morzem (ciekawe, czy Mojmir byłby w stanie zakochać się w dziewczynie, która co roku jeździ na przykład na Wyspy Kanaryjskie). Najdroższa butelka wina, jaką kiedykolwiek kupiła Hedvika, kosztowała dziewięćdziesiąt koron. I tak dalej.

Ale rzekomy książę już był w drodze.

Przypadek (oświadcza Mojmir) lub los (wierzy Hedvika) połączył ich dziesięć lat temu w dość banalny sposób. Mojmir wracał z jakiegoś spotkania autorskiego w Niemczech i międzynarodowe Eurocity zatrzymało się na tym samym peronie, na którym Hedvika tego deszczowego październikowego popołudnia czekała na pociąg podmiejski do swojej kawalerki na peryferiach. Trzydziestosześcioletni wtedy Mojmir, oczywiście w nieformalnej marynarce Armaniego, wychylił się z okna przedziału pierwszej klasy, a jego ofiara znalazła się tuż pod nim.

– Jedzie pani w złą stronę – oznajmił Hedvice trochę wstawiony (większą część podróży spędził jak zawsze w wagonie restauracyjnym). – Życie jest w tamtym kierunku.

Trzeba dodać, że był wtedy już na tyle znany, że Hedvika wiedziała, z kim rozmawia. Wprawdzie czytała tylko dwie jego książki, ale w czytelni jej biblioteki były do dyspozycji gazety i czasopisma, w których co jakiś czas pojawiała się charakterystyczna twarz Mojmira. Trzeba również

wspomnieć, że Hedvika z nikim wtedy nie chodziła oraz – co również jest nie bez znaczenia – że nie czuła się tą sytuacją zagrożona, ponieważ dyżurny ruchu właśnie dawał sygnał do odjazdu, mogła więc bez obaw uśmiechnąć się do Mistrza, a nawet podobno z zauważalną kokieterią wzruszyć ramionami (Hedvika niczego takiego nie pamięta, ale Mojmir jest gotów przysiąc, że tak było). Konduktor zatrzasnął drzwi.

– Musi pani zdecydować, czy chce pani żyć w centrum życia, czy przyglądać się mu z boku? – wybełkotał Mojmir (to zdanie pamiętają oboje).

– W centrum – odpowiedziała ta ufna łania.

– To proszę wsiadać!

Pociąg szarpnął i powoli ruszał. Hedvika niezdecydowanie pokręciła głową. Nie chciała znaleźć się w przedziale sam na sam z podpitym pisarzem, ale z drugiej strony jego nieskrywane zainteresowanie niestety jej schlebiało. Mojmir musiał zauważyć to zawahanie, bo tylko w ten sposób można wyjaśnić to, że przez trzy kolejne popołudnia przyjeżdżał autem na dworzec i szukał Kopciuszka na peronie.

Co go zmusiło, żeby w samym środku szczytu komunikacyjnego trzy razy przejechać przez całą Pragę? Co go zmusiło – kiedy wreszcie trafił na Hedvikę – by zaprosić ją na kolację? A za dwa dni znowu?

– Musiałeś czuć jakiś bodziec podprogowy, tylko nie możesz tego przyznać, bo nie chcesz wierzyć w tego typu rzeczy – jest przekonana Hedvika. – Posłuchałeś swojego wewnętrznego głosu.

– Jasne! A ten wewnętrzny głos szeptał mi: przeleć ją! Przeleć ją! – uśmiecha się Mojmir i łapie się za rozkrok. – Jedyny bodziec czułem tutaj!

Rzeczywiście, tak jak miliony innych mężczyzn, Mojmir również nie jest w stanie dostrzec prawdziwego blasku kobiecej osobowości, tylko

zawsze piersi i tyłek… Hedvika też podniecała go wyłącznie w ten najprymitywniejszy sposób.

– Ta zadarta górna warga, te gęste ciemne włosy! – opisywał Feliksowi z zachwytem.

Lecz nawet taki prymityw jak Mojmir rozumiał, że nie można całego żaru początków ich znajomości przypisać wyłącznie popędowi seksualnemu. Gdyby chodziło tylko o chcicę (ileż dziewczyn już potraktował w ten sposób…), raczej nie zaproponowałby Hedvice po czternastu dniach znajomości, żeby się do niego wprowadziła. Właśnie tego Mojmir nie chciał przyznać sam przed sobą: zakochał się. Pragnął tę biedną dziewczynę chronić. Pragnął kupić jej suknię z salonu Kláry Nademlýnskiej i zabrać ją na czerwony dywan swojego życia. To sprawiało, że czuł się dobrze. Ona oczywiście też. Naiwne pragnienie raju czyni z kobiety łatwą zdobycz. Widziałam to tysiąc razy.

Pierwsze miesiące ich wspólnego życia były – jakżeby inaczej – idylliczne. Rano jedli razem śniadanie, a wieczorem książę nie mógł się wręcz doczekać, kiedy usłyszy klucz Kopciuszka w drzwiach. Miał wrażenie, że stał się centralnym punktem jej życia. Wydawało mu się, że nie istnieje nic, co byłoby dla Hedviki ważniejsze. Kiedy bez zapowiedzi zadzwonił do niej i zaprosił na premierę filmu Hřebejka, odwołała spotkanie z koleżankami. Kiedy musiała wybierać między nim a jogą, bez namysłu wybierała jego. Uważnie go słuchała. Wymyślała dla niego niespodzianki. Kupowała mu drobne prezenty. Gotowała dla niego. Ubierała się tylko w te rzeczy, o których wiedziała, że mu się podobają. Nosiła buty na obcasach. Malowała się! Chodziła do fryzjera! Cha!

Naturalnie nie było w tym żadnego wyrafinowania, o jakimś cynizmie czy choćby kalkulacji nie mogło być nawet mowy. Bez wątpienia szczerze

wierzyła, że to dla Mojmira ładnie się ubiera i maluje – ale w rzeczywistości robiła to dla młodych. Wierzcie lub nie, Hedvika robiła tylko to, co robią wszystkie samiczki, kiedy chcą się zagnieździć. Owszem, być może myślała, że chodzi jej o Mojmira, lecz jej jajniki tak naprawdę interesowało wyłącznie jego DNA. Do fryzjera chodziła z powodu jego plemników. (Te cierpkie prawdy trzeba oczywiście taić przed mężczyznami.)

Czy Hedvika i Mojmir, jak wszyscy zakochani, instynktownie unikali tematów, które mogłyby do ich idylli wnieść sprzeczki? Nie – twierdzi Mojmir, podobno takie tematy nie istniały. Między jej i jego wyobrażeniem o życiu podobno nie było żadnych rozbieżności. Hedvika pragnęła mieć dobrego męża, wiejski domek z ogródkiem i trójkę zdrowych dzieci. Mojmir sądził, że troje dzieci to za dużo, ale poza tym był tą wizją oczarowany.

– Nie wystarczyłoby ci dwoje? – zapytał. – Bo ja już jedno mam.

(To dla mężczyzn typowe: swoje dzieci kochają wręcz histerycznie, są najważniejsze na świecie i tak dalej, ale obowiązuje to wyłącznie przy założeniu, że tych dzieci jest nie więcej niż troje. Przy czworgu, pięciorgu czy sześciorgu nagle wszystko ulega diametralnej zmianie.)

– No dobra.

Mojmir jest zachwycony. Ma wrażenie, że wreszcie znalazł tradycyjną kobietę.

Pod pojęciem *tradycyjna kobieta* od zawsze wyobrażał sobie, podobnie jak wielu innych mężczyzn, kogoś, kto lubi, gdy przepuszcza się go w drzwiach i kto nie ma za złe, że pomaga mu się włożyć płaszcz. Życiowym marzeniem tradycyjnej kobiety jest według Mojmira dobry mąż, wiejski domek z ogródkiem i dwoje zdrowych dzieci. Sposób wyrażania się

tradycyjnej kobiety nie jest zainfekowany wymaganiami poprawności genderowej, jej myślenie nie zostało zindoktrynowane nieokiełznanym liberalizmem czasopism dla kobiet (*Pozwólcie, by wasz kochanek was rozpieszczał!*), a tym bardziej najróżniejszymi pseudofeministycznymi wymysłami (*Dlaczego nie mogłybyśmy sikać na stojąco?*). Tradycyjna kobieta jest wierna, sika na siedząco i nie uważa ciepłego obiadu z dwóch dań za drobnomieszczański przeżytek. Dobrowolnie, wręcz chętnie, podąża za swoim mężem w jego życiowej wędrówce. Nie odczuwa potrzeby ogólnonarodowej debaty medialnej na temat menstruacji, a wiersz Halasa *Powiedz mi, dziewczę, jak ty to robisz, że zegar nie milknie, gdy naga przez pokój przechodzisz*, nie wydaje się jej seksistowski. Tradycyjna kobieta potrafi spierać plamy. Właściwie jako tradycyjną kobietę Mojmir wyobraża sobie kogoś takiego, jak jego od dawna nieżyjąca babcia. A Hedvika – jak się wydaje – taka właśnie jest (Mojmir nie przeczuwa, że ona nie tylko nie umie spierać plam, ale wręcz przeciwnie – na jego koszulach i podkoszulkach będzie ich przybywać, paradoksalnie właśnie podczas prania). I tak dalej.

Zwróćcie uwagę: nawet w dwudziestym pierwszym wieku te prajaszczury w krawatach wciąż oceniają nas według tego, jak pierzemy. Ponieważ chcą uważać się za nowoczesnych mężczyzn, nie wymagają, żebyśmy były doskonałymi praczkami lub kucharkami, ale jeśli nie jesteśmy doskonałymi praczkami lub kucharkami, swoje braki musimy im jakoś wynagrodzić. Wymownie oddaje to znany głupi dowcip: *Może i dzisiejsze kobiety nie potrafią szyć, ale za to świetnie robią na drutach…* Mam być jeszcze bardziej dosłowna? Niedawno słyszałam, jak dwaj wyrostkowie rozmawiają w tramwaju o swoich dziewczynach: Gotować nie umie, ale za to połyka…

Żeby było jasne, drogie siostry: to właśnie w tych homo erectusach się zakochujecie.

Tych neandertalczyków bierzecie za mężów.

Wprawdzie to, co działo się po rozpadzie pierwszego małżeństwa, Mojmir wspomina z udawaną dumą jako niekończącą się balangę dla prawdziwych mężczyzn, ale w rzeczywistości wszystkie te imprezy, pijatyki, kluby nocne i związki na kilka nocy męczyły go i nudziły. Chciał żyć inaczej. Mimo że po rozwodzie przy każdej okazji oświadczał, że po raz drugi na pewno się nie ożeni, przy meblowaniu nowego mieszkania sprawił sobie kilka rzeczy, które tę rzekomo kategoryczną decyzję o spędzeniu reszty życia w pojedynkę (co uparcie wmawiał swoim przyjaciołom) poddawały w pewną wątpliwość. O ile to wielkie dwuosobowe łóżko do sypialni mógł jeszcze sam przed sobą wytłumaczyć potrzebą wygodnego snu, to kupno piekarnika z termoobiegiem (biorąc pod uwagę, że nigdy w życiu niczego nie upiekł), a przede wszystkim ponad pięciometrowej szafy zajmującej całą boczną ścianę przestronnego przedpokoju, wymownie świadczyły o nieodpartym pragnieniu życia w związku. Nasz mały harcerzyk po prostu nie chciał usypiać sam… Nie lubi, biedaczek, budzić się w pustym mieszkaniu… Jak napisała kiedyś Gertruda Stein o Hemingwayu: Literatura sztucznych włosów na klatce piersiowej… Rozumiecie? To jest ta ich odwaga! Ta ich męskość! Na zewnątrz bicepsy i tricepsy, a pod spodem deprexolet i diazepam. Uwierzcie, siostry, że potrzebują nas dużo bardziej, niż myślimy. Potrzebują nas dużo bardziej, niż my ich.

Kiedy na początku listopada na wyraźną prośbę Mojmira Hedvika wprowadziła się do niego, opróżnił dla niej połowę tej olbrzymiej szafy oraz podzielił się z nią komodą w sypialni i półkami w łazience. Potem codziennie z małostkową podejrzliwością obserwował, czy ubrania lub

kosmetyki nie zaczynają przekraczać ustalonych granic – lecz z zaskoczeniem stwierdzał, że Hedvika szanuje ustalony porządek i przestrzega wyznaczonych miejsc ze wzruszającą konsekwencją.

Innymi słowy: Sinobrody nie mógł jej jeszcze zabić, ponieważ nie dała mu wystarczającego pretekstu.

Albowiem Kopciuszek był sprytny. Jeśli odważył się kupić do zamku księcia choćby obrus, nie wspominając już o zasłonach do salonu, za każdym razem oczywiście najpierw konsultował swój wybór i prosił o akceptację koloru czy wzoru. Przeczytane czasopisma (niestety wtedy jeszcze „Marianne" i „Elle", podczas gdy dziś dzięki mnie czyta wyłącznie te gazety, w których nie ma zakazu używania mózgu) trzymał w swojej części szafy. I tak dalej.

– Nie zajęła ani jednego dodatkowego centymetra – opowiada Mojmir. – Sprawiała wrażenie osoby tak skromnej, nieekspansywnej. A ja dałem się na ten trik nabrać!

Podsumowując: pan pisarz w swoim zadufaniu wierzył, że wyciągnął Kopciuszka z pyłu peronu kolejowego i pokazał mu świat. Bo czyż nie przedstawił jej Karela Gotta? Czy nie zabrał jej na Mauritius? Nie wziął na festiwalu filmowym w Karlowych Warach do Grandhotelu Pupp? Ale przede wszystkim (bądźmy obiektywni, nawet męscy głupcy pokroju Mojmira w wyjątkowych sytuacjach potrafią odróżnić sprawy istotne od nieistotnych): czyż nie wybudował dla niej domu z ogródkiem? Nie poczęli dwójki zdrowych dzieci? Czyż nie spełnił snu jej życia?

Tak naiwny i krótkowzroczny naprawdę może być tylko mężczyzna.

Mojmir nie pojmuje, że spełnił swoją rolę efemerydy i stał się niepotrzebny. Nie wie, że był jedynie katalizatorem, który przyśpieszył proces emancypacji Hedviki. Nie rozumie, że wprawdzie pomógł jej

odnaleźć drogę do siebie samej, ale że właśnie w ten sposób podciął gałąź, na której siedział.

Bowiem Hedvika już nie jest nieszczęśliwa. Już nie trzeba jej ratować. Nie potrzebuje już Mojmira, by żyć. Już go tak nie podziwia. Już go tak uważnie nie słucha. Dziś to Mojmir jest tym, kogo trzeba ratować.

– Bohater, który oczekuje nieustannych braw, nie jest żadnym bohaterem – cytuję mu przy obiedzie jego ulubioną książkę o mężczyznach (z radością wykorzystuję ją przeciwko niemu).

Sinobrody spogląda na mnie z niekrytym obrzydzeniem. Nienawidzi mnie od samego początku, ale ponieważ jestem dla Hedviki kimś w rodzaju matki zastępczej, musiał pogodzić się z moją obecnością w swoim domu. Hedvika posyła mi uśmiech, a potem pomaga Basi, młodszej córce, pokroić ziołowy klopsik z płatków owsianych (Mojmir nie cierpi ziołowych klopsików, ale Hedvika, ja i dzieci je uwielbiamy).

– Ja nie oczekuję nieustannego podziwu, aż takim idiotą nie jestem – warczy. – W zupełności wystarczyłaby mi umiarkowana sympatia, a tymczasowo zadowoliłbym się nawet minimalną sympatią, ale nie zamierzam pogodzić się z absolutnym ignorowaniem. To wszystko.

Hedvika taktycznie unika jego wzroku.

– Kopciuszek ignorujący swojego wybawcę, to naprawdę wydaje mi się niesprawiedliwe!

Mojmirze, wybacz, ale nie mogę powstrzymać śmiechu. Tak kończą wszyscy samozwańczy książęta. Mężczyźni i ich wieczne bolączki! Chodź do mnie, malutki, mamusia tam podmucha! No proszę was, po co tak stękać!

Oczywiście narzeka, bo w październiku 2000 roku zajmował na liście Hedviki miejsce pierwsze, natomiast dziś jest dziesiąty. Niedawno

sporządził następującą *chronologiczną listę zainteresowań Hedviki*, która to jasno potwierdza:

1. Dom
2. Ogród
3. Dzieci
4. Doula
5. Poradnia laktacyjna
6. Centrum Matki
7. Ekoklub
8. Edukacja domowa
9. Działalność charytatywna
10. Mojmir

Cha! Sinobrody czuje się odrzucony! Pan wszelkiego stworzenia ma wrażenie, że jest pokrzywdzony! Zmusza Hedvikę do salt myślowych, które prezentuje jej jako racjonalne rozumowanie. Obłudnie podkreśla przesadne obciążenie Hedviki, stres i wyczerpanie, by wmówić jej, że taka ilość zadań nawet przy najszczerszych chęciach przekracza ludzkie możliwości. Tendencyjnie twierdzi, że to, co pierwotnie miało być rozrywką oraz przyjemnym urozmaiceniem ich małżeńskiej i rodzicielskiej codzienności, stało się codziennym wycieńczającym obowiązkiem.

– Jaki jest cel tego wszystkiego: autorealizacja czy autodestrukcja? – pyta demagogicznie i z teatralnym obrzydzeniem odsuwa od siebie talerz z niedojedzonym klopsikiem.

– Kobieta jest jak woda – mówię i uśmiecham się do Sary. – Jej zadaniem jest płynąć.

– Podmywać! Rozmiękczać! – piekli się Mojmir. – To jak najbardziej, ma pani rację!

Według niego wszystko, co on z wysiłkiem wybuduje, do rana zostaje zniesione przez przypływ rzekomej irracjonalności mojej i Hedviki.

– Co pan ciągle wyjeżdża z tą racją? Serce ma swoje racje, których rozum nie zna – cytuję mu znaną myśl Pascala.

W duchu wyobrażam sobie przerwaną zaporę wodną – i Mojmira jako wyczerpanego ochotnika wlokącego worki z piaskiem.

– Kobieta to ocean, a pan próbuje ustanawiać jej granice? – chichram, co (wraz z kolejnym dzwonieniem telefonu Hedviki) zawsze doprowadza Mojmira do szału.

– Bzdury! – ryczy. – Bzdury!

Trzaska sztućcami, wstaje od stołu, wychodzi. Po chwili wraca, już z torbą i w płaszczu. W ręce trzyma kluczyki od auta. Hedvikę, która wciąż rozmawia przez telefon (tym razem z Lindą z Centrum Matki), jego nagły wybuch wyraźnie zaskoczył (widocznie zapomniała, że mężczyźni noszą ze sobą niewidzialne naczynia, które w każdej chwili mogą się przepełnić).

– Gdzie idziesz, tato? – pyta nic nierozumiejąca Basia.

– Nie wiem.

Mojmir całuje obie córki, jakby miał ich więcej nie zobaczyć. Jesteśmy świadkami kolejnej sceny teatru amatorskiego; tym razem pod tytułem *Ucieczka z domu…* Jakbyśmy już tego nie znały: za dwa dni wróci, płacząc z tęsknoty… Byłoby to śmieszne, gdyby nie było tak smutne. Kiedy dowiedziałam się od Hedviki, że Mojmir najzupełniej poważnie doradzał jej, żeby wybrała ze wszystkich swoich zainteresowań dwa i im w pełni się poświęcała, byłam przerażona. Patrzcie go, Sinobrodego jednego! Nie proponuje żonie wolności, tylko iluzję wolności! Możesz robić, co chcesz, ale tylko w tych pokojach… Do pokoju na górze masz wstęp wzbroniony!

Podstępnie podsuwa jej myśl, że życiowe spełnienie można osiągnąć dzięki hobby. To wstrząsające, że nawet stosunkowo wykształcony pisarz na początku dwudziestego pierwszego wieku wciąż wierzy, że nowoczesna wyemancypowana kobieta może odnaleźć sens życia na aerobiku lub dziecięcym kółku teatralnym…

Lecz myli się fatalnie.

---

* Doula – kobieta wspierająca kobiety podczas ciąży, porodu i połogu – przyp. tłum.

II

Mówi się, że prowadzenie auta uspokaja. Mojmirowi pomaga psychicznie nawet sam widok deski rozdzielczej: czysta funkcjonalność, przejrzystość, każdy przycisk ma jasno określoną funkcję. To musiał wymyślić mężczyzna – myśli. Po dziesięciu latach życia z Hedviką nie wierzy, że deskę rozdzielczą mogłaby zaprojektować kobieta. Hedvika. Albo Ksenia. Albo Lidka. Zachwyca go przede wszystkim to, że cała ta elektronika za każdym razem działa dokładnie w ten sam sposób – bez względu na przykład na cykl lunarny. To daje człowiekowi cudowne poczucie pewności – uśmiecha się Mojmir. Wyobraża sobie, że na przykład tłoki silnika lub wycieraczki byłyby uzależnione od fazy księżyca. Komputer pokładowy pokazuje, że paliwa wystarczy na czterysta dziesięć kilometrów, czyli na przykład aż do Bratysławy. Albo do Monachium. Mojmir uświadamia sobie, że myśli, jakby z jakiegoś powodu nie mógł zatankować. A oczywiście może. Może spokojnie jechać choćby do Rzymu. Albo do Petersburga. Kiedy Sherwood Anderson opuścił rodzinę, osiadł w Chicago. Natomiast Tołstoj nie uciekł daleko, biedak szedł na piechotę, chyba nawet po torach. Gauguin po ucieczce przed żoną skończył aż na Tahiti. Mógłbym pojechać do Monachium, zostawić auto na lotnisku i polecieć na Mauritius, powtarza w duchu Mojmir. Jednocześnie usiłuje sobie wmówić, że jedzie nerwowo, czyli niebezpiecznie, choć przecież dobrze wie, że jeśli chciałby dotknąć

prawdziwego ryzyka, musiałby wyraźnie przyśpieszyć. Zawsze był i będzie Panem Ostrożnym. Panem Odpowiedzialnym. Właśnie opuścił swoją rodzinę, ale na stole w kuchni zostawił im kartę kredytową (mimo że wszyscy wiedzą, że wróci najpóźniej za tydzień). Kiedy wyjeżdża z zakrętu, wyobraża sobie (całkowicie niezobowiązująco), jak by to było, gdyby odszedł od Hedviki na zawsze. Wyobraża sobie wolność – i ten ból. Wspomina rozpad swojego pierwszego małżeństwa, wspomina kawalerkę w piwnicy. Już wie, że by sobie poradził. Z tej dziesięciometrowej wieży już raz skoczył. Owszem, bolało, ale dał radę. A za drugim razem skoczyłby przecież lepiej.

Wjeżdża do lasu, prześwitujące przez gałęzie słońce tworzy wręcz stroboskopowe efekty: światło, ciemność, światło, ciemność. Czytał gdzieś, że u wyjątkowo wrażliwych ludzi to zjawisko może wywołać epilepsję, a nawet szaleństwo. Mojmir w desperackim geście otwiera szeroko oczy, ale szaleństwo nie nadchodzi, za to sporo wysiłku kosztuje go utrzymanie auta na jezdni. Jeśli nie oszalał przez to, że od lat musi dzielić się swoją żoną z grubą pięćdziesięcioletnią feministką, raczej nie zwariuje z powodu naprzemiennego słońca i cienia – przypomina sobie cierpko. Przed zjazdem na autostradę przez kilka sekund zastanawia się między wschodem i zachodem, a potem zgodnie z przewidywaniami (dobrze się zna) wybiera Pragę. Sam przed sobą tłumaczy się tym, że musi pisać nową książkę, a tam ma drugi komputer – ale właściwie dlaczego musi? Przecież czy już dawno nie zdecydował, że życie będzie dla niego ważniejsze niż literatura? Tyle że – rozważa Mojmir gorzko – czy jego obecne życie zasługuje na taki przywilej? Czy jest tego warte? Codziennie rozłamuje czekoladę całej swej energii twórczej i większą jej część oddaje żonie i córkom – a one za każdym razem zjadają ją, jak gdyby nigdy nic. Jego codziennego poświęcenia żadna z nich nie komentuje choćby jednym słowem. A jeśli już

ktoś wyjątkowo go pochwali, jest to zazwyczaj pięcioletnia Basia. (Fajny urlop wybrałeś, tato – powiedziała mu w zeszłym roku na Mauritiusie, kiedy wracali przez palmowy gaj do pięciogwiazdkowego bungalowu, i spontanicznie go pocałowała.) Hedvika zazwyczaj chwali Mojmira tylko wtedy, gdy to na niej wymusi. Nawet to pięcioletnie dziecko ma w sobie więcej empatii niż ona. Co roku Mojmir wyrusza (mówiąc metaforycznie) na kilkumiesięczny ciężki bój, z którego jak dotąd zawsze powracał jako zwycięzca: pięćdziesiąt, osiemdziesiąt, sto tysięcy sprzedanych egzemplarzy! Rozdaje trofea wojenne (na przykład urlopy na Mauritiusie) i logicznie oczekuje, że będzie wielbiony. Ale tu się myli. Jak zareagowała niedawno Hedvika, kiedy oświadczył jej, że dzięki świetnej sprzedaży nowej książki właśnie wniósł do rodzinnego budżetu ponad dwa miliony koron?

– Nieźle – powiedziała.

Rozochocony Mojmir czekał, co będzie dalej. Spodziewał się wycia. Spodziewał się wawrzynów, które żona włoży mu na głowę. Uśmiechał się z samozadowoleniem. Chciał usłyszeć, że nikt inny z całej gromady nie upolował tak wielkiego mamuta. Chciał, żeby Hedvika przylgnęła do niego i niższym niż zazwyczaj głosem powiedziała:

– To wystarczy nawet na dopłatę za lodzika, przystojniaku.

Lecz ona powiedziała tylko:

– To naprawdę świetnie! Aha, słuchaj, bojler przecieka, mógłbyś kogoś do tego zamówić?

Dziesięć lat temu był dla niej numerem jeden. Dziesięć lat temu na liście ich życiowych celów na pierwszym miejscu znajdowało się małżeństwo. A dziś jego żona żyje w przeświadczeniu, że swoje zadanie spełniła, więc po prostu wykreśliła je z listy. Dziś musi zajmować się innymi sprawami: śniadaniami ekologicznymi, grantami na place zabaw,

pomocami naukowymi do edukacji domowej i giełdą dziecięcą – twierdzi skwaszony Mojmir. Mężem zajmować się już nie musi… Przecież już się nim zajmowała, czyżby zapomniał?

Właśnie że nie zapomniał. Dla niego przeszłość to nie pusty pojemnik po kremie do twarzy, który człowiek wyrzuci lub w najlepszym razie umyje i będzie w nim trzymać spinacze. Mówiła, że go kocha. Że jest z niego dumna. Dziś prawie nigdy mu tego nie mówi. Pozwoliła, by zrobił jej dwójkę dzieci, a potem odłożyła go jak każdy inny przedmiot, który przestał jej być potrzebny. Jak tę jasnoniebieską wanienkę do kąpania niemowlaków. Albo jak dziecięcy nocnik. W pewnym sensie wykorzystała go seksualnie – przychodzi Mojmirowi do głowy. Jeśli powiedziałby to na głos, wszyscy myśleliby, że się zgrywa. W telefonie zaufania bez wątpienia nikt nie chciałby z nim rozmawiać. Twierdziliby, że jest śmieszny.

I właśnie dlatego musiał dziś wyjechać: żeby choć przez chwilę nie wydawać się sobie śmiesznym.

III

Kto przemienił tę rozkosznie nieśmiałą (ja powiedziałabym, że bez powodu zahukaną) bibliotekarkę czekającą na pociąg podmiejski w niemal najpopularniejszą feministyczną aktywistkę w Czechach Środkowych? – pyta czasem Mojmir swojego przyjaciela Feliksa. Kto mu ją zepsuł?

Wyciąga dziesięcioletnią fotografię z pierwszego wspólnego urlopu: obejmują się na plaży, w tle turkusowy przypływ, oboje uśmiechnięci, opaleni… Mojmir i Felix widzą niewątpliwie zakochaną, wręcz oddaną dziewczynę (topless), ja widzę samiczkę w czasie rui, której nikt nie powiedział nic o życiu.

– Kto wsadził ją do tego emancypacyjnego pociągu ekspresowego, którym dojechała aż do ręcznie szytych podpasek, ekopasztetów sojowych, zapalenia cudzych piersi, ezoteryki, odnawiania tradycji celtyckich, działalności charytatywnej i innych tego typu obrzydliwości? – pyta retorycznie Mojmir (Feliks się śmieje, ale powinien uświadomić sobie, że nawarstwianie nonsensów nie jest jeszcze równoznaczne z satyryczną hiperbolą). – Kto odebrał jej niewinność?!

Mojmir szuka winnego. Potrzebuje kogoś, na kogo mógłby skierować swój rzekomo sprawiedliwy gniew. Nie, o dziwo, nie jestem to ja. Wprawdzie według jego pokrzywionych kryteriów moralnych *spoczywa na mnie wielka część odpowiedzialności*, jednak jeśli chodzi o inicjację, mam

niepodważalne alibi: kiedy nasze drogi życia przecięły się, Hedvika już dawno była *otwarta* (słownik Mojmira). Całą indoktrynację (znów słownik Mojmira) rozpoczął Architekt i Ogrodnik (do pisania obu zawodów z dużej litery zmusiła mnie nienawistna intonacja Mojmira); podobno ja ze swoim anarchistycznym (sic!) centrum przedporodowym jedynie dokończyłam dzieła zniszczenia… Czyż pan pisarz nie jest słodziutki?

– Wiesz kto? – powtarza Mojmir.

Feliks wzrusza ramionami.

– Powiem ci: ja!

Rzeczywiście, paradoksalnie to on sam zaprowadził Hedvikę do miejsc, w których na zawsze zaraziła się *wirusem mistycyzmu* (mistycznym nasz mały Einstein nazywa wszystko, czego nie potrafi zrozumieć). To Mojmir wysłał zapytanie do Architekta, ponieważ podobały mu się jego projekty z nowoczesnym murem pruskim – ale czyż mógł przewidzieć, że sprawiające wrażenie lekkości, lecz jednocześnie solidne domy z drewna zostały wybudowane w stylu feng shui lub że sam Architekt jest aktywnym członkiem Hare Kriszna? Czy mógł przeczuwać, że na te *uduchowione brednie* (ach, Mistrzu, jakże podziwiam pańskie precyzyjne określenia) natknie się w pracowni architektonicznej, gdzie człowiek spodziewa się konsekwentnego i rzeczowego rozumowania? Czy mogło przyjść Mojmirowi do głowy, że w rozmowach na temat konstrukcji domu czy optymalnego wykorzystania przestrzeni może być miejsce na jin, jang i inne tego typu *pierdoły*? Czy mógł podejrzewać, że nawet w rysunkach technicznych płyty fundamentowej mogą skrywać się *bakterie irracjonalności*?

Ale niestety były tam.

Gdyby spotkanie z Architektem uznał za potencjalne niebezpieczeństwo, nigdy nie zabrałby na nie Hedviki – ale czy mógł cokolwiek podejrzewać?

– Nie szliśmy do slumsów w Rio de Janeiro, tylko do praskiego architekta, do cholery!

Niemniej wyrzuca sobie, że powinien zachować większą czujność. Podobno gdyby nie był takim ślepym osłem, wszystko mogłoby potoczyć się inaczej. Być może dziś w hierarchii wartości swojej żony znajdowałby się na drugim miejscu (zaraz za dziećmi), a nie na dziesiątym. I tak dalej.

Żeby zachować obiektywność trzeba przyznać, że w wystroju biura Architekta nie było prawie nic, co mogłoby wzbudzić niepokój. Wprawdzie na jednej z półek Mojmir zauważył małe figurki Buddy, ale nie przywiązywał do nich większej uwagi. Architekt, krótko ostrzyżony i ubrany po europejsku pięćdziesięciolatek, podobno wydał mu się sympatyczny. Przedstawili mu swoją wizję domu (ograniczoną wysokością hipoteki): chcieli duży salon połączony z kuchnią, kominek, sypialnię, pokój dla dzieci, oddzielną pracownię dla Mojmira i na szczęście również pokój dla gości (mieszkam w nim od lat, więc kiedy do Mojmira przyjeżdża w odwiedziny Feliks, musi spać na kanapie w salonie, chi chi!). Architekt naszkicował ołówkiem kilka możliwych rozwiązań, a dla lepszej orientacji pokazał im parę fotografii już istniejących domów. O feng shui wspomniał tylko na marginesie: przestrzenie odpowiedniej wielkości, czyste i przejrzyste linie bez strzał ostrych rogów czy siedzenia tyłem do drzwi i tak dalej. Mojmirowi wydawało się to sensowne, wręcz ciekawe. Niemniej miał wrażenie, że powinien zabrać głos.

– Panie inżynierze, wie pan, że wśród ptaków wiele samiczek ocenia samca, jeszcze zanim złączy się z nim w parę, według tego, jakie gniazdo potrafi zbudować?

– Słyszałem o tym.

– Więc pański dom weźmie udział w, że tak powiem, przetargu publicznym, dlatego proszę, żeby szczególnie się pan do tego przyłożył. Z pewnością rozumie pan, że muszę wygrać.

I tak dalej.

– Czy mógłbym poznać państwa daty urodzin? – pod koniec spotkania spytał Architekt ze swoim typowym łagodnym uśmiechem.

Mojmir chciał wiedzieć, do czego są mu potrzebne.

– Zajmuję się trochę numerologią. Przed rozpoczęciem pracy zawsze sprawdzam swoich klientów.

Hedvikę oczywiście ciekawiło, jak to robi, więc Architekt wyjaśnił jej zasady tzw. tabeli numerologicznej – a od tego był już tylko krok do chińskiego zodiaku i chińskiej medycyny (nie muszę dodawać, że gdy Hedvika mi o tym opowiedziała, Architekt od razu zdobył moją sympatię; tak, dzięki Bogu istnieją również mężczyźni, których spojrzenie na świat jest szersze niż szpara w średniowiecznej przyłbicy). Ale wracając do Hedviki i naszego tragikomicznego bohatera: po krótkim wykładzie o akupunkturze i meridianach (czyli szlakach, po których w ludzkim ciele krąży energia życiowa qi), Hedvika opowiedziała temu charyzmatycznemu mężczyźnie o swoich powracających co jakiś czas dolegliwościach urologicznych.

– Rozmawiać o swoim pęcherzu z architektem! – do dziś wścieka się Mojmir.

Architekt od razu podyktował jej numer telefonu chińskiego lekarza, który mieszka w Pradze, oraz czeską nazwę oryginalnej mieszanki ziołowej, która zawsze pomagała jego żonie (*Prześwit ciemnej głębi*).

– I gotowe! To był przełomowy moment – jest przekonany Mojmir.

Do myśli ze środkowych Czech wtargnęły całe Chiny – twierdzi. Piechur jej zdrowego chłopskiego rozumu został zaatakowany przez armię wschodniego uduchowienia! Oczywiście wtedy Mojmir niczego jeszcze nie podejrzewał, więc tylko przyjaźnie podśmiewywał się z Hedviki. Zdecydowanie nie podzielał jej nowego podziwu dla orientalnej wiedzy.

– Zawsze kiedy czułem ten modny głód chińszczyzny – twierdził – zaspokajałem go w restauracji Huang–He na Vrszowicach.

No właśnie, to cały Mojmir. Otworzenie się na nową kulturę sprowadza w najlepszym razie do kurczaka z pędami bambusa. A smażony makaron z czarnymi jajkami to dla niego już szczyt spirytyzmu...

– Jak to mówiłaś? Tao rodzi jedno, jedno rodzi dwa, dwa rodzą trzy, a trzy wszystkie istoty? – wyśmiewał się z Hedviki. – Serio? A ja na to mówię: jeden plus jeden to dwa, dwa plus dwa to cztery, a wszystko inne to bujda!

Mojmir jest przeciwny życiu w irracjonalnym nieładzie. Uwielbia porządek i nienawidzi chaosu. Żadnych tych rzekomo kultowych przestrzeni między porządkiem i chaosem po prostu nie uznaje.

– A co jeśli właśnie ta przestrzeń jest jedynym miejscem, w którym człowiek może istnieć jako ludzka całość?

– To już wolę być człowiekiem niecałkowitym niż hodować w mózgu jakieś mistyczne karaluchy.

Kiedy tak o tym myślę, widzę, że właściwie przez całych tych dziesięć lat Mojmir notorycznie zmuszał Hedvikę, by podążała za nim przez terytorium Porządku. Jeśli chce dzielić z nim życie, to tylko tam – mówił jej (nie wprost) bezkompromisowo. A zanim na to terytorium wkroczy, niech łaskawie skorzysta z wycieraczki i wytrze z podeszew ten duchowy syf (proszę, oto wizja równości płci według Mistrza!).

Po kolejnym spotkaniu Architekt zaprasza ich na obiad do indyjskiej restauracji wegetariańskiej Govinda (tę historię naprawdę uwielbiam; opowiadali mi ją oboje, więc cały ten pełen napięcia dialog znam na pamięć). Mojmir wprawdzie od razu uświadomi sobie, że do Chin dołączają jeszcze całe Indie, ale nawet twarzą w twarz z setkami milionów nowych ideologicznych wrogów nie traci rezonu.

– Dobrze, dlaczego nie – przyjmuje zaproszenie.

(Dziś już to wie.)

Swojej uprzejmości pożałuje zresztą już pół godziny później. Ku jego zaskoczeniu restauracja jest pełna ludzi. Wszyscy troje siedzą bez butów na drewnianym podwyższeniu w dość niewygodnej pozycji półsiedzącej i jedzą coś, co według Mojmira przyjemność mogłoby sprawić jedynie komuś, kto – cytując Buddę – znajduje uciechę nawet w pustym lesie, ponieważ nie pragnie niczego.

– Na przykład dobrego obiadu – dodaje zawsze Mojmir.

Piwa ani żadnego innego alkoholu oczywiście tu nie podają, więc z ukrywanym obrzydzeniem popija jakąś gorzką herbatę. Zastanawia się, czy wszystkie te nietypowe zapachy i smaki pochodzą z jedzenia, czy z faktu, że wszyscy goście siedzą bez butów. Obserwuje młodych kelnerów z wygolonymi głowami i zaczyna wątpić, czy jego życie zmierza w dobrym kierunku. Ma nieodparte wrażenie, że w zeszłym tygodniu skręcił nie tam, gdzie trzeba. Wygląda przez okno (na szczęście widać przez nie ruchliwą praską ulicę) i obserwuje tramwaje, auto rozwożące pieczywo i grupę robotników kładących asfalt. Natomiast Hedvice jedzenie bardzo smakuje. Jest cała rozpromieniona.

– To bakłażan? – pokazuje Architektowi kawałek warzywa na widelcu.

– Nie, ślimak – warczy Mojmir.

Jej nieukrywany zachwyt go irytuje. Zazwyczaj unika konfrontacji, ale tym razem to jest silniejsze od niego.

– A więc medytacja to stan bez myśli? – zaczyna. – To dziwne. Logicznie zakładałbym, że medytacja to coś w rodzaju uspokojenia i wyczyszczenia myśli. Stan, który pozwala człowiekowi, by skupić się na tym, co jest w życiu istotne.

– Bynajmniej – sprzeciwia się Architekt. – W prawdziwej medytacji świadomość jest wolna od jakichkolwiek myśli.

– Czyli coś na kształt śpiączki? Właściwie taki stan wegetacji?

Mojmir słyszy młoty pneumatyczne, pisk hamulców, dzwonek tramwajowy, karetkę – i jest za te dźwięki wdzięczny. Byłby jeszcze wdzięczniejszy, gdyby mógł zamówić sobie befsztyk. Jego wdzięczność byłaby bezgraniczna.

– Mistrz Osho twierdzi, że medytacja to zwierciadło, w którym nic się nie odbija – kontynuuje Architekt.

Mojmir połyka coś rozgotowanego, co wygląda jak ogórek, ale smakuje jak kaktus (oczywiście nie wie, jak smakują kaktusy, ale podejrzewa, że jakoś tak).

– W takim razie cmentarze są pełne medytujących – zażartuje.

Jeden z wygolonych kelnerów rzuca mu nieprzyjazne spojrzenie.

(Najwyraźniej zapomniał, że według Buddy nienawiści nigdy nie zwalczy się nienawiścią – opowiada ze śmiechem Mojmir.)

Na przekór inwektywom Architekt wciąż sprawia wrażenie zadowolonego. Hedvika przyciska kolana do siebie, ale i tak widać jej majtki. Mojmir marzy o tym, żeby ten obiad już się skończył.

– Mam coś dla pani – mówi Architekt i podaje Hedvice prezent (najwyraźniej pierwotnie był przeznaczony również dla Mojmira, ale ze względu na rozwój sytuacji Architekt zdecydował, że da go tylko jej).

Pięćdziesiąt trzy karty do medytacji z tekstami sutry, pomagające odnaleźć wewnętrzny spokój i wyciszenie – czyta na opakowaniu Mojmir.

– Co to jest sutra? – pyta z obraźliwym chłodem.

Pyta jak celnik, którego w ogóle nie interesuje zawartość waszego bagażu, ale mimo to musi o nią spytać. Pyta jak rodzic dziecka, które właśnie dostało cukierka od niezbyt godnych zaufania ludzi. Podjął stanowczą decyzję, że nie pozwoli się ogłupiać.

– Podstawowa mądrość – mówi Architekt. – Zwięzłe, łatwe do zapamiętania sedno jakiejś konkretnej nauki.

Architekt przegląda karty (zbyt długo, żeby Mojmir nie oskarżył go w duchu o cenzurę), aż wreszcie wyciąga jedną z nich.

– Na przykład ta – mówi i pokazuje ją Mojmirowi.

Nieosądzająca myśl

Obserwuje i rozumie.

Mojmir podejrzewa, że wie, dlaczego to trwało tak długo. Robi odpowiednio sarkastyczną minę. Natomiast Hedvika jest tą mądrością zauroczona i pomimo że napięcie między oboma mężczyznami nie umknęło jej kobiecej intuicji, poniekąd mało taktycznie staje po stronie Architekta (i Buddy).

– Dokładnie ten stan chciałam tu osiągnąć! – krzyczy. – Oczywiście nie umiałabym tego tak sformułować, ale o to mi chodziło! Naprawdę!

Jej prostoduszna twarz przekonuje nawet wiecznie powątpiewającego Mojmira, że jego żona mówi prawdę. Architekt się uśmiecha. Mojmir oczywiście widzi w tym uśmiechu samozadowolenie.

Kolejne, niestety nieuniknione, rozmowy na temat projektu z tym buddyjskim szamanem Mojmir umawia zawsze tak, żeby Hedvika nie

mogła na nie pojechać. Jak wiadomo mężczyźni są zazdrośni o wszystko co większe, wliczając w to również mózg.

Dlatego następne spotkanie zaplanuje na środowe popołudnie, kiedy (jak wie) Hedvika nie może wyjść z pracy, a w kolejnym tygodniu spotyka się z Architektem w porze, kiedy Hedvika ma wizytę u chińskiego lekarza. Ale Hedvika niespodziewanie pyta Mojmira, czy nie chciałby pójść do lekarza razem z nią – może dałby mu coś na hemoroidy?

– Maść czerwonej jaskini? – drwi z czterech tysiącleci tradycji chińskiej medycyny nasz czeski mędrzec i stara się zyskać czas, żeby wymyślić jakąś wymówkę. – Nie, dzięki.

– *Balsam dymiącego parowu* – poprawia go spokojnie Hedvika, która już przeczytała książkę *Na falach chińskiej medycyny*.

Mojmir pojął, że w poglądach jego żony na temat medycyny doszło do nieodwracalnych zniszczeń. Ucieka się do banalnej wymówki: twierdzi, że nie może iść do lekarza, ponieważ umówił się na obiad z Feliksem.

Pozwólcie, miłe siostry, na krótką dygresję na temat Feliksa. Jest to tak zwany najlepszy kumpel Mojmira. Podejrzewam, że wiecie, co mam na myśli: najlepszy kumpel to dla mężczyzny najstarsza karta, trumf (wprawdzie żona też jest najstarszą kartą, ale z innej gry, powiedzmy, że jeśli najlepszy kumpel to as treflowy – żona jest dżokerem; a nie można grać jednocześnie w kanastę i mariasz). Dwóch najlepszych kumpli los zazwyczaj nierozerwalnie łączy następującymi rzeczami: utratą dziewictwa na tej samej imprezie, oblaniem matury z tego samego przedmiotu, uwielbieniem dla tej samej marki alkoholu, byciem świadkiem na ślubie tego drugiego, kupnem motoru tego samego dnia. Czasem najmocniejszym spoiwem ich przyjaźni jest to, że obaj chodzili z tą samą dziewczyną (żeby nie musieli się pozabijać, decydują, że zostaną najlepszymi kumplami

i wzniosą się ponad prymitywną zazdrość). I tym podobne. W przypadku Feliksa i Mojmira przyjaźń na całe życie opiera się (oprócz wspólnej licealnej przeszłości) na żałośnie przecenianej przynależności do wyższej klasy średniej, snobistycznym umiłowaniu drogich win i jednosłodowych whisky i wreszcie na prymitywnym męskim szowinizmie, który bezczelnie prezentują jako światopogląd.

(Feliks będzie też świadkiem na ślubie Mojmira, ale nie uprzedzajmy faktów).

Kiedy tylko Hedvika znika z pola widzenia, Mojmir dzwoni do Feliksa, żeby w razie potrzeby mieć potwierdzone alibi (w przeszłości wyświadczali sobie tę przysługę wiele razy). Lecz przyjaciel najwyraźniej się waha.

– Nie mówiłeś przypadkiem, że to Kobieta Twojego Życia?

– Mówiłem – potwierdza Mojmir. – To jest Kobieta Mojego Życia.

– Hedvika, czy ta, z którą idziesz na obiad?

Mojmir stara się wymyślić jakieś wytłumaczenie.

– Nie za wcześnie na to? Po paru miesiącach związku? – pyta bezkompromisowo Feliks.

Feliksowi Hedvika też się podoba, ale uważa się przede wszystkim za jej przyjaciela (na szczęście bez wzajemności) i nie chciałby jej zdradzić… (Tylko proszę bez żadnych pośpiesznych wniosków na temat jego charakteru! Lepsze ja odzywa się czasem nawet w łajdaku.)

– Nie idę z kobietą, tylko z jednym facetem – odkaszluje Mojmir.

– Rozumiem – mówi po dłuższej chwili Feliks. – Ale trzeba było powiedzieć wcześniej. Jakieś dwadzieścia lat temu. Mogliśmy się nieźle zabawić.

I tak dalej (ostatecznie chłopaki ze śmiechem wszystko sobie wyjaśnią).

Być może zastanawiacie się, skąd mogę wiedzieć, o czym Mojmir rozmawia z Hedviką albo znać treść rozmowy telefonicznej z Feliksem? Wyjaśnienie jest proste: Hedvika ma doskonałą pamięć i intuicyjny kobiecy zmysł do detali – i zawsze opowiada mi wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Ponadto sporo doniesie się do mojego pokoju gościnnego, a dzięki tym olbrzymim oknom niejedno zobaczę, kiedy więc skompletuję swoje źródła informacyjne, mogę bez przesady stwierdzić, że jestem permanentnym naocznym świadkiem tego niezbyt szczęśliwego małżeństwa. A ta rozmowa telefoniczna? Będę z wami szczera: jeśli wyjątkowo umknie mi jakaś informacja lub dialog, z łatwością mogę je sobie wyobrazić. Przecież Mojmir to wręcz komicznie prosty człowiek. Jest przewidywalny jak każdy mizogin. Naprawdę nie muszę słuchać całej tej jego paplaniny, bo znam ją na wylot. Zresztą nigdy nie rozumiałam, dlaczego wokół literatury robi się tyle hałasu. W pisaniu książek nie ma nic trudnego – możecie mi wierzyć.

Tego wieczora w miłosnym duecie Hedviki i Mojmira po raz pierwszy zabrzmi fałszywa nuta. Cha! Ku swojemu zaskoczeniu Mojmir zastaje Hedvikę zasmuconą, ledwo odpowiada mu na powitanie. Siedzi przy małej lampce w salonie, na stoliku przed nią leżą dwie karty medytacyjne. Mojmir pochyla się, żeby przeczytać tekst.

Radość czy smutek –
cokolwiek człowieka spotyka,
podąża on wprzód
niedotknięty, wolny.

Mojmir zamierza skomentować te bzdury Buddy Siakjamuniego z odpowiednim sarkazmem, ale przesłanie drugiej karty jest poniekąd

niepokojące:

Jesteś jak żółty liść.
Posłańcy śmierci są blisko.
Powędrujesz daleko.
Co weźmiesz ze sobą?

Pierwsze, co przychodzi Mojmirowi do głowy, to myśl, że ten *Mao medycyny* (po Pekinie i patelni wok, Mao to trzecie – i ostatnie – chińskie słowo, jakie zna nasz intelektualista) błędnie zdiagnozował jakąś straszliwą chorobę. Poddaje więc Hedvikę nieprzyjemnemu przesłuchaniu, które według niego jest równoznaczne z okazywaniem troski i zainteresowania – i dowiaduje się, że jedynym jej schorzeniem jest banalny świąd grzybiczy, który w ciągu tygodnia wyleczy *Krem Szczęścia Rodzinnego.*

Więc skąd ten smutek? Mojmir nie potrafi wyjaśnić sobie jej nastroju. Hedvika milczy.

O wpół do trzeciej nad ranem Mojmira budzi cichy płacz. Zapala lampkę, idzie umyć zęby, czesze się, wraca do sypialni i siada naprzeciw Hedviki. Łagodnie, ale stanowczo nalega, żeby podała mu jakieś logiczne wyjaśnienie. Po niekończącym się kręceniu głową i dwóch falach płaczu dostaje je: kiedy wracała od chińskiego doktora, spotkała w mieście Feliksa. Na obiedzie z Mojmirem nie był. Bredził coś nieprzekonująco na temat zmiany czasu i feng shui.

– No to z kim byłeś na obiedzie? – pyta Hedvika, a w oczach ma łzy. – I przede wszystkim: dlaczego to przede mną ukryłeś? Musiałeś mieć jakiś powód, a ja boję się go sobie wyobrazić.

– Wtedy jeszcze była zdolna do zazdrości –twierdzi Mojmir. – Dziś nie pamiętałaby, z kim miałem na ten obiad iść. Zapomniałaby w tej samej sekundzie, w której bym jej to powiedział. Oddałbym pół królestwa za to,

żeby była o mnie choć trochę zazdrosna. A czy miłościwa pani wie, dlaczego? Ponieważ zazdrość jest dowodem zainteresowania!

No comment.

Mojmir nie ma więc innego wyjścia niż przedstawienie Hedvice dowodów swojej niewinności: pokazuje jej ostateczny projekt domu, który dostał dziś od Architekta, i z najdrobniejszymi szczegółami opisuje dzisiejsze spotkanie (za wstrząsające przeżycie w Govindzie zemścił się obiadem w Ambiente, gdzie celowo zamówił największy i najkrwawszy kawał krowy, jaki tam mieli, a do tego całą butelkę czerwonego wina…). Ze skruchą przyznaje, że ma awersję do Architekta i boi się, że mógłby zabrać mu Hedvikę do duchowych krain, gdzie nie potrafiłby pójść za nią.

Samiczka jest wzruszona. Jej oczy znów się śmieją.

I tak dalej.

Na ostatnie (jak mocno wierzy Mojmir) spotkanie w sprawie projektu nie może więc Hedviki nie zabrać. Jednak otwarcie prosi Architekta, żeby tym razem uprzejmie nie wspominał o Wschodzie i trzymał się raczej Zachodu.

– Czyli, żebym wyraził się zupełnie jasno – powiada bezlitośnie Mojmir – mniej Buddy i reinkarnacji, natomiast więcej paneli podłogowych, regipsów i kafelków, jeśli mnie pan rozumie.

– Ach, oczywiście – mówi Architekt.

W jego głosie słychać urazę, lecz obrażone uczucia Architekta to ostatnia rzecz, jaką przejmowałby się Mojmir. Kocha Hedvikę, a nie pana Architekta. Wprawdzie życzenie Mojmira formalnie zostaje spełnione i Architekt ani razu nie porusza w rozmowie tematu mądrości Orientu, jednak już po trzydziestu minutach – czemu Mojmir przygląda się z niezadowoleniem – zaczyna rozmawiać z Hedviką o homeopatii. Ja tego faceta zabiję! – wścieka się w duchu (skuteczności terapii homeopatycznej

Mojmir nie potrafi racjonalnie wyjaśnić, stanowi więc ona dla niego kolejny przykład mistycyzmu). Kiedy w kolejnym życiu będzie budować dom, na pewno nie zwróci się do żadnego architekta, tylko wybierze sobie z katalogu gotowy projekt, w którym mieszkają już dziesiątki innych rodzin – powtarza w duchu. Woli zamieszkać choćby w altance niż jeszcze raz tego wszystkiego wysłuchiwać.

– Na temat homeopatii mam dość jasny pogląd – mówi.

Jeśli Hedvika i pan inżynier zechcą, chętnie się nim podzieli.

– Oczywiście – zachęca go uprzejmie Architekt i spogląda na Hedvikę.

– Opiszę wam przygotowanie leku homeopatycznego: weźcie dwa miligramy siarki, na przykład, wrzućcie je do osiemdziesięciolitrowej beczki z wodą, porządnie wymieszajcie i opróżnijcie beczkę.

Kąciki ust Mojmira drżą. Architekt wzdycha.

– Potem dokładnie wypłuczcie beczkę – kontynuuje z radością Mojmir – i znów ją opróżnijcie, ale tak, żeby na dnie została odrobina wody. Powiedzmy dwieście mililitrów. I z nich wyprodukujcie cztery palety homeopatyku Sulfur.

– Obawiam się, że trochę to pan upraszcza – odważa się sprzeciwić Architekt.

Widać, że on również wolałby rozmawiać już o czymś innym, neutralnym, ale Hedvika po chwili sprowadza rozmowę na temat medycyny całościowej.

– Oczywiście – pozornie przytakuje Mojmir. – Pacjenta trzeba widzieć jako całość, nie tylko jako woreczek żółciowy czy śledzionę… Przecież to nie jest jakiś tam organ, tylko całkiem konkretny pan Nowak z całkiem konkretną historią przebytych chorób, rodzinną anamnezą, z określonym trybem życia, rodzajem pracy, psychiką i tak dalej.

Architekt przez moment naiwnie wierzy, że Mojmir po raz pierwszy powie coś sensownego. Lecz Mojmir puszcza oko do Hedviki i tym gestem rozwiewa jego nadzieję.

– Kiedy więc pan Nowak złamie sobie kość piszczelową, nie powinno się leczyć tylko tej kości, prawda? To przestarzałe podejście. Powinno się go zagipsować w całości!

Mojmir (wyobrażam sobie) śmieje się ze swojego głupiego dowcipu. Hedvika głaszcze go po grzbiecie dłoni, co – jak wszyscy wiemy – jest tradycyjnym sposobem wyrażania przez partnerkę dezaprobaty.

Lecz czeka ich jeszcze mierzenie stref geopatogennych, przy którym upiera się Architekt. Z bezbrzeżną cierpliwością wyjaśnia Mojmirowi, o co chodzi – wie przecież, z kim ma do czynienia (z ignorantem).

– Strefy geopatogenne można zmierzyć z dużą dokładnością – przekonuje go. – Zazwyczaj pokrywają się z miejscem przebiegu podziemnych cieków wodnych i dokładnie w tych miejscach wskazują je również przyrządy pomiarowe.

Architekt kładzie nacisk na słowa *przyrządy pomiarowe*, ponieważ wie, że w ograniczonym świecie fanatycznych racjonalistów takich jak Mojmir zajmują one uprzywilejowaną pozycję.

– Panie Mojmirze – mówi jak najłagodniej i nawet lekko dotyka swojego problematycznego klienta. – Niech mi pan pozwoli zmierzyć te strefy. Współpracuję z jednym chłopakiem, który zna się na rzeczy…

– Z przyrządem pomiarowym?

– Bez przyrządu, ale przecież… Nie będzie to pana nic kosztować, zrobimy to za darmo. Nie może pan nic stracić. Tylko zyskać.

Hedvika oczywiście gorliwie przytakuje, co jest jedynie kolejnym dowodem jej prostolinijności: gdyby miała choć odrobinę zmysłu

taktycznego, przytakiwałaby mniej. Zachowywałaby się tak samo sceptycznie jak Mojmir.

– Co konkretnie zyskamy? – pyta podejrzliwie pisarz.

– Lepszy sen, na przykład. Nie będzie pan musiał przesuwać łóżka po całym domu. Znam mnóstwo takich przypadków.

– Po co mielibyśmy to robić? Łóżko damy do sypialni i zostanie tam na zawsze. Słyszałem, że niektórzy ludzie mają łóżka w kuchni albo w łazience, ale ja jestem raczej tradycjonalistą. Jak to się mówi: starego psa nie nauczysz nowych sztuczek.

Architekt bez słowa chwyta się za nasadę nosa, a drugą ręką przejeżdża po krótkich siwiejących włosach. Wprawdzie tabela numerologiczna Mojmira sugerowała pewne problemy, ale że będzie to aż tak uparty baran, Architekt się nie spodziewał.

– Moment – mówi. – Proszę dać mi minutkę.

Szuka czegoś w wypchanej aktówce i wyciąga dowód koronny: plan pierwotnego zagospodarowania starej śląskiej wioski. Jest na nim plac główny, staw, kościółek, poszczególne domki. Strefy geopatogenne są oznaczone na czerwono. Wszystkie domy stoją poza czerwonymi terenami.

– Wow! – udaje oszołomienie Mojmir. – A kto im to wtedy zmierzył, żeby wszystko wybudowali tam, gdzie trzeba?

– Wprawdzie poradziłby sobie z tym każdy dobry różdżkarz, ale ludzi zazwyczaj nie było na niego stać. Na szczęście były tańsze sposoby.

– Niech pan opowiada. To mnie naprawdę interesuje.

Architekt się zaśmieje.

– Na cały teren, który miał zostać zabudowany, wpuszczano stado bydła.

– A pan wpuści tu tego swojego pomocnika?

– Tam, gdzie kładą się krowy, nie ma stref geopatogennych. Oczywiście psy lub owce również je wyczuwają.

– Czyli w strefie geopatogennej leżeć może tylko osioł.

– Pan jest po prostu niewiernym Tomaszem! – krzyczy Architekt.

Hedvika wreszcie przytula się do Mojmira (zresztą mogła na to wpaść wcześniej) i spogląda na niego błagalnym wzrokiem. Mojmir długo się zastanawia.

– No dobra, proszę bardzo, niech pan nam zmierzy te strefy.

Umawiają się na czwartek piątego czerwca – jest to wprawdzie święto Cyryla i Metodego, czyli dzień wolny od pracy, ale Architekt zapewnia Mojmira, że chętnie poświęcą ten czas dla sławnego pisarza (czy raczej jako buddyści po prostu tego święta nie obchodzą – być może myśli Mojmir, ale na szczęście zachowuje tę uwagę dla siebie).

Dnia piątego czerwca 2001 roku Hedvika po raz pierwszy otwarcie sprzeciwia się woli Mojmira. Ten słoneczny czwartek do dziś nazywany jest przez Mojmira Dniem Zdrady (kiedy usłyszałam to po raz pierwszy, nie wierzyłam własnym uszom. Mężczyźni nazywają kobiety histeryczkami, ale powiedzcie same, drogie siostry, czy któraś z was dopuściłaby się tak afektowanego patosu?). Pogoda jest bardzo ładna: na niebie nie ma ani jednej chmurki, wieje przyjemny wietrzyk, między źdźbłami traw bezgłośnie skaczą koniki polne. Działka budowlana na samym skraju miasteczka jest zaskakująco rozległa (to *zaskakująco* odnosi się do wielkości talentu Mistrza, chi chi). Hedvika, Mojmir i Architekt siedzą na kraciastym „piknikowym" kocu, który Mojmir od zawsze wozi w aucie (przy jego ogólnie znanej poligamicznej przeszłości z pewnością rozumiecie, dlaczego to niewinne słowo poddaję w wątpliwość za pomocą cudzysłowu; jednak kiedy poznał Hedvikę, miał przynajmniej tyle taktu

i rozsądku, by oddać koc do pralni i pozbyć się tych obrzydliwych plam). Hedvika rozdaje kanapki, natomiast Mojmir wyciąga z lodówki turystycznej butelkę różowego wina i dwa kieliszki (Architekt jest abstynentem i pije wodę). Sielska idylla. Jedyne, co zakłóca Mojmirowi poczucie letniej błogości, to ten młody, szczupły, śniady ezoteryk Władek, który pięćdziesiąt metrów dalej chodzi po działce z rękami wyciągniętymi przed siebie, co jakiś czas się zatrzymuje i pomarańczowym sprejem oznacza coś na skoszonej trawie. Długie włosy ma ściągnięte wyszywaną opaską. Nie ma wahadełka ani różdżki. Jego twarz – przynajmniej według Mojmira – nie wyraża żadnego wysiłku umysłowego. Gdyby chociaż mruczał abrakadabra – myśli Sinobrody. Na niebie pojawia się samolot lecący w stronę Pragi.

– Z góry to pewnie wygląda jak Pollock – rzuca Mistrz. – Może zaraz zadzwonią do nas z lotniska, że jakiś Amerykanin chce kupić naszą działkę.

I tak dalej.

Kiedy już strefy geopatogenne zostały wyznaczone, młody radiesteta wraca na koc. Cały błyszczy od potu. On również nie chce wina i łapczywie pije wodę. Potem spogląda błękitnymi oczami na niedaleki sad czereśniowy i wyraża nadzieję, że znajdzie tam parę suchych gałęzi, żeby rozpalić małe ognisko.

– Ognisko? Po co? – nie rozumie Mojmir.

– Muszę pozbyć się z rąk tej negatywnej energii – wyjaśnia Władek z orientalnym spokojem (opowiada mi później Mojmir).

Architekt potwierdza. Hedvika przyjmuje to neutralnie. Mojmir ma wrażenie, że się przesłyszał.

– Małe ognisko? – powtarza. – Żeby mógł pan sobie opalić negatywną energię?

Władek się uśmiecha. Nie po raz pierwszy ma do czynienia z niewolnikiem racjonalizmu.

– Z dłoni? – prycha jeszcze z niedowierzaniem Mojmir. Spogląda na Architekta. – Moment – mówi. – A może dalibyśmy sobie z tym spokój? Naprawdę nie obejdzie się bez tego? Nie psujmy sobie dnia takimi wygłupami.

Młodzieniec zdecydowanie kręci głową i rusza w stronę sadu. Idzie bardzo szybko, prawie biegnie.

– Ile sekund mu zostało? – pyta Mojmir Architekta. – Żeby zdążył poddać się detoksykacji? Zanim umrze?

I wtedy się to stanie: Hedvika z niemym wyrzutem posyła Mojmirowi krótkie spojrzenie i idzie za tym młodym chłopakiem. Rozumiecie? Szeregowa bibliotekarka postawiła się sławnemu pisarzowi! Razem z tym chłopakiem zbiera gałęzie i rozpala ogień. Władek wygląda, jakby dłońmi pieścił się z płomieniami. Hedvika przygląda się zachwycona.

– W dniu, kiedy cały nasz naród wspomina nadejście apostołów chrześcijaństwa – krzyczy Mojmir – moja narzeczona demonstracyjnie bierze udział w czarnej magii!

Chi chi!

Jednak wbrew ponurym wizjom Mojmira przeważająca część osobowości Hedviki wciąż zachowuje praktyczność – przykład niech stanowi choćby to, że w dalszym ciągu kupuje typowo komercyjne czasopisma o domach i meblach. Nie marzy o chacie z gliny czy ze słomy; jej wyobrażenia są całkowicie tradycyjne.

– Narośl alternatywnego myślenia zajmowała w tym okresie niewielką część jej mózgu i wydawało się nawet, że nie jest złośliwa – opowiada Mojmir swoją typową paplaniną.

Wtedy męczył go inny (oczywiście niezmiernie komiczny) problem: Hedvika poświęca wspomnianym czasopismom coraz więcej czasu. Wprawdzie Mojmira cieszy jej powrót do materializmu, ale z drugiej strony zaczyna go niepokoić, że z artykułami o domach z bali Hedvika spędza więcej czasu niż z nim. Rozmawiają na przykład tylko dziesięć – dwadzieścia minut, ale czasopisma Hedvika przegląda przez cały wieczór.

– Zawsze sądziłem, że ten dom będzie azylem dla naszej miłości, ale teraz pytam z niedowierzaniem, czy to raczej nasza miłość nie jest azylem dla tego domu?

Zabawne! Nasz ptaszek z wykształceniem uniwersyteckim naprawdę wierzy, że jest dla samiczki ważniejszy niż gniazdo i jajko! Żywi naiwną nadzieję, że kiedy dom będzie gotowy, sytuacja się poprawi, lecz ona naturalnie się pogorszy: wprawdzie Hedvika nie czytuje już tylu gazet, ale tym więcej czasu poświęca kafelkom do łazienki, firankom i szafkom kuchennym. Mojmir niby rozumie, że wszystkie te nowe i piękne rzeczy, które codziennie pojawiają się w wybudowanym domu, potrafią sprawić Hedvice większą radość niż on – stary, opatrzony Mojmir, ale jednocześnie odczuwa jakiś żal, że ciekawsze niż on są nawet firanki czy odkurzacz centralny.

A przecież czeka go jeszcze ogród.

IV

Przed Mostem Nuselskim Mojmir zjeżdża z autostrady i dobrze znaną drogą jedzie do swojego praskiego mieszkania. Tak kończą się wszystkie bunty, którym brakuje wizji. Nawet rewolucja musi mieć plan. Mojmir żadnego planu nie ma. Przy tak zwanej ucieczce z domu kieruje się przyzwyczajeniami i wygodą.

W mieszkaniu jest w miarę czysto, ale oczywiście wszędzie widać mnóstwo śladów dzieci: już w przedpokoju leży połowa zielono–białego kadłuba samolotu z klocków lego, pognieciona kartka z dziecięcego czasopisma oraz kilka kolorowych spinek i gumek do włosów. Na oparciu kuchennego krzesła wisi góra od piżamki Basi. Mojmira to wzrusza. Naturalnie od razu ogarnia go tęsknota. Zaczyna myśleć, że być może praskie mieszkanie to nie był dobry pomysł, ale ponieważ nie chce przyznać się do porażki, udaje sam przed sobą, że panuje tu cudowna cisza i spokój, że się cieszy i że lubi tu być (uświadamia sobie, że nawet tu – w Pradze często zachowuje się tak, jakby ta szurnięta baba od lat okupująca jego dom mogła go zobaczyć). Próbuje czytać, ale nie może się skupić. Jego własna narracja absorbuje go do tego stopnia, że nie potrafi śledzić jakichś fikcji. Poza tym jest głodny; przecież dorosły człowiek nie naje się połową kotlecika z płatków owsianych. Przez chwilę myśli, gdzie mógłby zjeść coś dobrego. Ma ochotę na drogi obiad, którym zemściłby się na

domowym budżecie za te wszystkie nieznośnie zdrowe posiłki. I za te wszystkie dni, kiedy jego własna żona nie pomyślała nawet, że on, jej mąż, nic nie jadł… Nie, nie należy do typu prehistorycznych mężczyzn, którzy żądają jednego czy wręcz dwóch ciepłych posiłków dziennie. O tym nie mówi. Nie oczekuje ani obiadów, ani kolacji, a tym bardziej ciepłych – pragnąłby jedynie, żeby jego żona choćby uświadomiła sobie to, że jeszcze nie jadł obiadu czy kolacji, rozumiecie? Tu w ogóle nie chodzi o jedzenie, Mojmir umie sporo dań upichcić sam, może też pójść do restauracji – chodzi tylko o to, żeby zapytała. Żeby nie zapominała, że on istnieje. Tu chodzi o to zapytanie, które stanowi dla Mojmira – i przy tym się za pozwoleniem upiera – metaforę zainteresowania Hedviki jego skromną osobą.

Może na przykład Holiday Inn? Jest najbliżej. Potem mógłby tam nawet zostać na noc. Każda pokojówka okaże mu więcej ciepła niż jego własna żona – myśli zgorzkniale (ale wie, że jest dla Hedviki niesprawiedliwy). Mógłby pojechać do jakiegoś spa i zafundować sobie dwugodzinny masaż. Ktoś wreszcie by o niego zadbał. Kiedy ostatnio masowała go żona? Przed ślubem, a potem jeszcze chyba dwa razy. Dziś masuje już tylko niemowlaki, mąż wykorzystał swój przydział. Mojmir zagląda do lodówki, a potem wyobraża sobie, jak siedzi sam w hotelowej restauracji. W końcu dzwoni do Feliksa.

– Masz w domu coś do jedzenia?

– Znajdzie się kilka francuskich serów, szynka hiszpańska, suszone pomidory i oliwki. Jest też delikatny pasztet z kaczki. Pieczywo mam wczorajsze, ale ewentualnie mógłbym ci je odświeżyć w piekarniku.

Po głosie Feliksa słychać, że cieszy się z niespodziewanej wizyty Mojmira. Samotność doskwiera, pisywano w ogłoszeniach.

– Będę u ciebie za godzinę.

Kiedy bierze prysznic, przypomina mu się królik. Dostał go od zaprzyjaźnionej ekstrawaganckiej pisarki w prezencie ślubnym. Po powrocie z wesela włożył zasikane na wylot pudełko do wanny, a kiedy rano wszedł do łazienki, oczywiście się przestraszył. Zresztą królik nie był jedynym zwierzęciem na ślubie: za sprawą teścia Mojmira naturalnie nie zabrakło koni… Teść je wyszczotkował, a do grzyw przywiązał kokardy. Potem wypolerował bryczkę i przyjechał, nic nikomu wcześniej nie mówiąc. Ubrany był w smoking i błyszczący cylinder (kiedyś pracował jako nauczyciel historii). Mojmir już przywykł do jego nietypowego sposobu komunikacji, ale tym razem nie potrafił zdecydować, czy jest to naprawdę miła niespodzianka. Dla odmiany teściowa po ceremonii opowiadała wszystkim, że wyjeżdża na dwa lata do Nowej Zelandii (teść słuchał, a jego twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu. Z dzisiejszego punktu widzenia Mojmir potrafi to docenić). W spojrzeniach niektórych gości wyraźnie było widać pytanie: dlaczego znany pisarz bierze za żonę córkę woźnicy? Nie wystarczyło mu, że się z nią przespał? Dlaczego – skoro już musi brać ślub – nie stoi tu jakaś aktorka, modelka czy choćby młoda posłanka? Dlaczego bibliotekarka?

Mojmir widzi wszystkie odpowiedzi w twarzy Hedviki. W jej oczach. W jej uśmiechu. Wystarczy spojrzeć na którąkolwiek ze ślubnych fotografii. Mojmir wkłada szlafrok, wychodzi z łazienki i otwiera album ślubny. Już choćby na tym pierwszym zdjęciu z brzegu: piękna, jakby trochę nieśmiała dziewczyna w objęciach pewnego siebie mężczyzny w średnim wieku.

Gdzie podziała się ta pewność siebie? – zastanawia się Mojmir.

V

Nie jestem jasnowidzką, ale jestem tą, która wie. Żyję z wami, w was. Jestem waszą grubą prababką, waszą matką, córką i wnuczką. Jestem waszą naturą, waszą zapomnianą dzikością, waszym pierwotnym kobiecym instynktem. Mam pięćdziesiąt pięć i dwa miliony lat. Jestem młoda jak narodzone wczoraj młode wydry. Jestem stara jak góry, jak woda, jak ziemia. Czy zauważyłyście, drogie siostry, jak wielką przyjemność sprawia wam kąpiel i jak lubicie dotykać palcami wilgotnej gliny w swoim ogrodzie? Poszukujecie tam mnie. Mego spokoju i mojej mądrości.

Hedvika również mnie poszukiwała.

Kiedy jesienią 2002 roku wyprowadzili się z Pragi, ten błotnisty teren wokół nowo wybudowanego domu rozryty kołami ciężarówek i gąsienicami bagrów z początku zbytnio Hedviki nie interesował. Wprawdzie Mojmir zauważył, że jego żona czytuje wieczorami książki typu *Nowy ogród*, ale w ogrodzie nie widział jej ani razu (bo i co miałaby tam robić w listopadzie). Mimo iż podejrzewał, że kiedy ogrodnik i jego ludzie wiosną wyrównają teren, posieją trawę i posadzą kwiaty, krzewy i drzewa, jej powściągliwy stosunek ulegnie zmianie, w swej nieskończonej męskiej głupocie wyobrażał sobie budzące się zainteresowanie Hedviki jak przebudzenie Śpiącej Królewny: otworzy oczy, trzy razy uroczo zamruga –

a potem weźmie go za rękę i pójdą na ogród cieszyć się wonią kwitnących magnolii… (Muszę przyznać, że pisanie zaczyna mi się podobać coraz bardziej). Tyle że nadejście wiosny obudziło w Hedvice dosłownie wulkan.

Pierwsze erupcje jej pasji ogrodniczej zastają Mojmira całkowicie nieprzygotowanego. Pewnego kwietniowego poranka budzi się – i ledwo udaje mu się uciec przed rozpaloną lawą pomysłów, próśb i (co zaskoczyło go najbardziej) żądań Hedviki. Jeszcze nawet nie zdążył zrobić sobie herbaty, a ona już upiera się przy tym, że nie będą używać oprysków chemicznych. Kiedy zdumiony Mojmir je śniadanie, Hedvika z zapałem opowiada mu o innym, nowym typie ogrodu. O ogrodzie, który będzie zgodny z naturą (oboje jednomyślnie twierdzą, że słowo ekoogród wtedy jeszcze nie padło, pojawiło się dopiero później). Zaspany Mojmir twierdzi, że potrafi sobie wyobrazić elektrownię, która nie jest w zgodzie z naturą albo spalarnię śmieci, która nie jest w zgodzie z naturą – ale nie ogród. Prawdę mówiąc nie ma właściwie pojęcia, z jakich powodów jakiś ogród mógłby być z naturą sprzeczny. Hedvika natychmiast wyjaśnia mu jego wręcz szkolny błąd: czy widział może kiedyś w naturze takie absolutnie równe rzędy tui, jakie rosną wzdłuż płotów większości czeskich ogrodów? Albo czy natura zabija bielinki, żeby ich larwy nie zjadały upraw? Czy pozbywa się z trawy stokrotek i mniszków? Czy natura kosi trawnik dwa razy w tygodniu, niszcząc w nim wszelkie formy życia? Czy natura zakłada trawniki od płotu do płotu, tak że biedny jeż nie ma gdzie się schować? Czy natura korzysta z herbicydów, insektycydów i fungicydów, by co dnia zabijać w ten sposób miliardy niewinnych żuków?

I tak dalej.

Mojmir kiwa głową. Ostatecznie, jeśli pominąć te opary romantyzmu, brzmi to całkiem logicznie. Nie jest aż tak tępy, by tego nie przyznać. Nie sądzi, by bielinki czy stokrotki były niebezpieczne (w odróżnieniu od

Buddy i młodych różdżkarzy). O ile mu wiadomo, bielinki ani stokrotki nie zakładają żadnych alternatywnych wspólnot, do których mogłyby zwabić Hedvikę. Bez herbicydów i im podobnych gówien obejdzie się bez wątpienia. No bo czy to się je? Nie je. Więc nie ma problemu. No a przede wszystkim: kto się bawi, ten nie rozrabia…

– Zgoda, kochanie. Popieram pomysł naturalnego ogrodu.

Hedvika obejmuje go i całuje. Warto było choćby dlatego – myśli Mojmir.

– Kto zabije choćby jednego żuczka, będzie miał ze mną do czynienia – szepcze swojej żonie do uszka (tak, w tym czasie są już małżeństwem, ale o ślubie będzie jeszcze mowa).

I tak dalej.

Mojmir nie spodziewa się, że za swoją lekkomyślną zgodę wkrótce zapłaci podatek. Nie wie jeszcze, że już za kilka miesięcy będzie miał wrażenie, że nawet te głupie różaneczniki Hedvika kocha bardziej niż jego. Przede wszystkim jednak nie przeczuwa, że nawet w zwyczajnym naturalnym ogrodzie – tak samo jak w rysunkach technicznych domu – mogą skrywać się niebezpieczeństwa zagrażające ich drobnomieszczańskiemu związkowi. Nie rozumie bowiem, że od nowego ogrodu jest niebezpiecznie blisko do nowego małżeństwa.

Dziś już to wie.

– Tak jak nowy ogrodnik żyje w harmonijnej przyjaźni ze ślimakami, gąsienicami i mszycami, tak nowy mąż nie uważa niezliczonych koleżanek żony za szkodniki, lecz za swe siostry – wyjaśnia później cierpko Feliksowi. – W szczególności dotyczy to oczywiście jej douli…

(Ale nie uprzedzajmy.)

Od tamtego dnia każdą wolną przestrzeń w ich domu okupują dziesiątki wycinków z gazet poświęconych ogrodom, szkice oczek wodnych, kolorowe plany rosariów, grządek warzywnych i sadów owocowych. Hedvika chowa do szafy sukienki, markowe bluzki i czółenka, ubiera się w stare dresy, wkłada kalosze, na głowę bierze kapelusz słomkowy (ładnie jej w nim) i wychodzi na ogród, którego – mówiąc obrazowo – nie opuści aż do zimy.

– A jeśli już wyjątkowo opuści, jedzie albo do OBI, albo do ogrodu dendrologicznego w Pruchonicach – opowiada Mojmir Feliksowi.

Tam poznaje Ogrodnika.

Ogrodnik to kulturalny siedemdziesięcioletni pan, którego Mojmir mógłby nawet polubić, gdyby nie twierdził, że każdy, dla kogo roztocza i przędziorki to jedno i to samo, kto nie przerywa rzodkiewek i kto wyrzuca liście orzecha na kompost, niszczy życie sobie i całej swojej rodzinie.

– Trudno szanować kogoś, kto kłania się w pas dżdżownicy – opowiada Mojmir Feliksowi.

Oczywiście Ogrodnik jest również zielarzem i – jakby na złość Mojmirowi – amatorsko zajmuje się też trochę ziołolecznictwem.

– Właściwie zaskoczyłoby mnie, gdyby było inaczej – konstatuje Mojmir. – Hedvika takich typów wręcz przyciąga. Lecą do niej jak muchy do gnoju.

Jeśli chodzi o niesmaczne porównania, pan pisarz oczywiście nie ma sobie równych. W swoim ograniczeniu lekceważy niepodważalne lecznicze działanie roślin, a zielarstwo nazywa ciemnotą ludu, która wprawdzie zbytnio nie pomaga, ale, miejmy nadzieję, również nie szkodzi.

– Powiem ci tak – wyjaśnia Hedvice. – Kiedy boli mnie głowa, biorę tabletkę, o której wiem, że mi pomoże. Ale nawet jeśli wezmę tabletkę pięć

razy słabszą, i tak będzie nieskończenie skuteczniejsza niż śliwki i jarzębiny, bo one nie pomagają mi w ogóle.

Na szczęście Hedvika jest na tyle mądra, że nie zwątpi pod wpływem podszytej pychą ignorancji Mojmira. Dyktuje Ogrodnikowi wciąż nowe i nowe zioła, które chce posadzić.

– Na pewno tymianek i dziurawiec. I nagietek oczywiście! – wylicza na głos. – Nagietek wspaniale goi obtarcia i oparzenia. I hemoroidy!

– Napar z nagietka cudownie działa też na żołądek i wątrobę. I na kaszel – uzupełnia Ogrodnik.

– I przy menstruacji.

Mojmir głośno ziewa. Niekończące się debaty jego żony i Ogrodnika od początku go nudzą. Przestaje słuchać.

– Hej! – Hedvika budzi jego uwagę. – Mówię, że zimą w ogóle nie powinieneś jeść cytrusów – informuje go. – Bo cytrusy wyziębiają organizm.

– Zgadza się! – chwali ją Ogrodnik.

– Mnie to nie przeszkadza – odpowiada Mojmir. – Twoja obecność wystarczająco mnie rozpala. Jeść mogę cokolwiek. Nie wyziębiają mnie cytrusy, tylko debaty o cytrusach.

Ogrodnik i Hedvika uśmiechają się. Rozmawiają już tylko we dwoje, do Mojmira nie mówią nic. A Mojmir – jakże by inaczej – jest zazdrosny.

– Szałwia i głóg mnie nudzi – przerywa im po chwili nieuprzejmie. – Możemy zmienić temat?

Proponuje, by porozmawiać o pomidorach i bazylii (z oliwą i mozzarellą), rukoli (z oliwą, orzeszkami piniowymi i parmezanem) i rozmarynie (z jagnięciną). Albo o marynowanych kurkach. Albo o słodzie z pszenicy, przemienionym w jednosłodową whisky.

I tak dalej.

Ogrodnik, który według paranoidalnych podejrzeń Mojmira cierpi na satyriazę starczą i rzekomo zakochał się w jego żonie, podarował Hedvice dwie książki: duży album *Mądrość drzew* oraz przewidywalny tytuł *Zioła dla dzieci i mam.*

W pierwszej z tych książek znajdują się wprawdzie piękne całostronicowe fotografie drzew z całego świata, ale kiedy Mojmir zagłębi się w teksty im towarzyszące, dowie się na przykład, że rdzenni mieszkańcy Ameryki Północnej nazywali drzewa *stojącymi braćmi i siostrami*. Obawia się, że kiedy tę książkę przeczyta jego żona, do jej już i tak licznej spirytualnej rodziny natychmiast dołączą całe lasy zupełnie nowych braci i sióstr: drzewa. To niepodlegające żadnej kontroli zwiększenie ilości krewnych zaczyna go przerażać. Zmusza się więc, by przejrzeć kolejne strony: według książki olcha symbolizuje wyzwolenie, grab ochronę, natomiast brzoza odnowę, a buk zrozumienie.

– Chyba powinienem zacząć wpieprzać bukwie, żeby to wszystko zrozumieć – skarży się Mojmir.

Jego mały racjonalny móżdżek po prostu odmawia przyjęcia rzeczy, których nie można zważyć lub zmierzyć.

– Zaufania i przyjaźni też nie zmierzy pan metrem. A czy to oznacza, że zaufanie i przyjaźń nie istnieją? – pytam go po latach, kiedy opowiada mi tę historię z Ogrodnikiem.

– Ale mogę je opisać! – podnosi głos Mojmir. – Ja wiem, dlaczego jednemu człowiekowi ufam, a drugiemu nie, ale nie mam bladego pojęcia, dlaczego jesion jest symbolem mistrzostwa i siły, a wierzba ucieleśnia współbrzmienie i harmonię. Dlaczego nie jest na odwrót? Niech mi to pani wyjaśni! Niech mi ktoś do cholery wyjaśni, z jakiego konkretnego powodu pistacja symbolizuje objawienie! Dla mnie symbolem objawienia już na zawsze pozostanie ten przeklęty Ogrodnik!

Owszem, to w Ogrodniku Mojmir widział wtedy głównego winowajcę (lecz już niedługo moja skromna osoba z łatwością go zdetronizuje).

– Czy on nie mógłby skosić trawy, przyciąć róż i iść w cholerę? – wścieka się. – Musi jeszcze robić mojej żonie wodę z mózgu?

O drugiej książce Mojmir twierdzi, że nie jest ani trochę lepsza. Uczepia się kilku wyrwanych z kontekstu cytatów i przy ich pomocy ośmiesza autorkę (a pośrednio również Hedvikę).

– Ostry smak pieprzycy siewnej przynosi nam przebudzenie duchowe, szczególnie jeśli ulegamy iluzji bezpieczeństwa naszych „złotych klatek" i jeśli nasza czujność duchowa podupada – czyta na głos. – Baba, która to napisała, na pewno marynuje sobie na zimę łysiczki.

Hedvika odpowiada, że jej babcia leczyła sokiem z pieprzycy choroby skórne, ale Mojmir w tym czasie ekscytuje się już fragmentem o dziurawcu.

– Był uważany za roślinę o silnym działaniu przeciw czarom i siłom nieczystym – czyta zdumiony. – Stąd też nazwa ludowa: ziele krzyżowe. Dziurawiec wkładano niemowlętom do kołyski, żeby się nie bały.

Na tak oczywistą próbę dyskredytacji dziurawca Hedvika naturalnie się nie zgadza. Spokojnie wymienia Mojmirowi niezliczoną ilość potwierdzonych działań leczniczych. Dziurawiec jest wykorzystywany jako środek uspokajający oraz w leczeniu najróżniejszych stłuczeń i egzemy – mówi, tyle że Mojmir jest jak zawsze bez reszty pochłonięty własną ekshibicją.

– Ja też się boję! Zwłaszcza sił nieczystych! Natychmiast wyściel mi łóżko dziurawcem!

Nalewa sobie szklaneczkę jednosłodowej whisky i wypija ją jednym haustem. Hedvika chce coś powiedzieć, ale Mojmir powstrzymuje ją podniesioną dłonią i zafascynowany czyta dalej.

– Dziurawiec zerwany w noc świętojańską i zawieszony nad drzwiami ochraniał dom przed piorunami, pożarem i złymi duchami. Sok z dziurawca dolany potajemnie do napoju miał pomóc w zdobyciu miłości ukochanej osoby. Dolewałaś mi kiedy czegoś do drinka?

Hedvika przestaje się spierać, ponieważ intuicyjnie czuje, że to nie ma sensu. Jak każda mądra kobieta wie, że kiedy butne męskie ego się wyszaleje, bywa tak omdlałe, że można z nim zrobić, co tylko się zechce.

– Albo przywrotnik, posłuchaj! – śmieje się Mojmir. – Jeśli kobieta nazrywa go sama przy majowej pełni, bosa i naga na znak swej czystości, ma ponoć magiczną siłę. W okresie renesansu wierzono, że przywrotnik przywraca stracone dziewictwo. W XVIII wieku kobiety kładły go sobie na piersiach, żeby przywrócił im po odkarmieniu dzieci stracony kształt.

Hedvika uśmiecha się ze zrozumieniem. Poprawnie przeczuwa, że manifestacja obrzydzenia roślinami leczniczymi potrwa u Mojmira zaledwie kilka miesięcy, a potem pozostanie po niej jedynie coraz cichsze marudzenie. I że w końcu Mojmir ze skrywanym zawstydzeniem przyjmie każdy napar i okład ziołowy, który mu przyrządzi, dziurawca nie wyłączając. Oczywiście Ogrodnik stosuje się do powszechnie uznawanej wiedzy na temat wpływu faz księżyca na ogród i ogólnie na ludzi.

– Tak jakby bez tego szkód w głowie Hedviki było zbyt mało – komentuje Mojmir.

Bo jakżeby inaczej. Człowiek, którego zdolności astrologiczne ograniczają się do rozpoznania Wielkiego Wozu i Gwiazdy Polarnej, bez wahania gardzi mądrością wielu narodów zbieraną przez tysiące lat na podstawie codziennej obserwacji gwiazdozbiorów i niewiarygodnie dokładnych obliczeń ich ruchów. Nawet tak oczywiste dowody oddziaływania księżyca jak codzienny przypływ i odpływ nie wystarczają, by Mojmir uwierzył w prawdziwą siłę rytmów natury. Wręcz przeciwnie –

potwierdzona niezliczoną ilość razy teoria o tajemnej mocy luny doprowadza go do szaleństwa. Czuje się dosłownie osaczony przez nieprzyjaciół – alternatywców, którzy wkroczyli do jego życia tylko po to, by zepsuć mu żonę. Najpierw Architekt, a po nim ten Ogrodnik.

A przecież na scenie jeszcze nie pojawiłam się ja.

Ze mną sprzecza się o siłę księżyca dopiero ex post.

– Oczywiście już w szkole dowiedziałem się, że przypływ jest spowodowany przez księżyc, ja jedynie nie wierzę, że, jak twierdzi pani i señor Ogrodnik, fazy księżyca mają wpływ również na wyniki zabiegów chirurgicznych, podpisywanie umów czy rąbanie drewna… To bzdura! – wykłóca się.

– Bynajmniej, Mistrzu, to jest, jak to pan z upodobaniem nazywa, fakt obiektywny.

– Nie zgadzam się na dzielenie życia z kimś, kto odkurza albo gotuje tylko po pełni księżyca… Chryste Panie! Odmawiam uwierzenia w to, że kiedy księżyc robi się coraz cieńszy, pranie przy użyciu takiej samej ilości proszku będzie czystsze! To nie jest fakt obiektywny, madame, to jest teleshopping!

– Energia rytmów natury jest odczuwalna wszędzie – powtarzam mu. – Czy się to panu podoba, czy nie.

– Czyli w bębnie pralki automatycznej też?!

– To jest energia trudna do zmierzenia, co pana, jak każdego technokratę, który na próżno stara się rozkazywać wiatrowi i deszczowi, oczywiście irytuje, ale to nie znaczy, że ona nie istnieje.

I tak dalej.

Hedvika nie daje się wyprowadzić tym szaleńczym sceptycyzmem z równowagi. Wciąż uczy się życia w harmonii z cyklami przyrody, tyle że nie mówi o tym przy Mojmirze. Zioła zrywa, kiedy księżyc się dopełnia lub

podczas pełni, a kiedy księżyc się cofa, wsypuje je do woreczków i słoików (i przechowuje w ciemności). Nigdy nie zbiera kwiatów ani liści, jeśli lecznicza siła kryje się w owocach. Korzenie wykopuje wczesną wiosną, kiedy rośliny nie znajdują się jeszcze w stadium pełnego rozwoju, lub jesienią, kiedy bylina się kurczy. I tak dalej. Wam, drogie siostry, nie muszę tego wyjaśniać. Nie będę przekonywać przekonanych.

Mojmir to zupełnie inny przypadek. Niestety spostrzeże, że Hedvika podlewa kwiaty, krzewy, drzewa i warzywa wyłącznie w pierwszych dniach po wysadzeniu, a potem w ogóle.

– W naszej szerokości geograficznej to jest zbyteczne – wyjaśnia Mojmirowi cierpliwie.

– Czyli nie podlewasz nawet truskawek? Ani nawet pomidorów?

– Nie – stoi przy swoim Hedvika. – Tylko by się rozleniwiły.

Wizja leniwego, czyli spersonifikowanego pomidora najwyraźniej przekracza limity niewolniczo-realistycznej wyobraźni pana pisarza.

– Podlewać powinno się tylko w czasie krótkiego lub słabego deszczu – dodaje Hedvika.

– Ty podlewasz w czasie deszczu?! – jęczy Mojmir.

Jego żona bez wątpienia zwariowała – myśli. Dyskretnie rozgląda się po przyległych ogrodach. Boi się, czy tej rozmowy nie słyszał któryś z sąsiadów.

Zresztą pomidory mogą być Mojmirowi zupełnie obojętne. Gorsze jest to, że w podobny lunarny sposób jego żona rzekomo zaczyna podchodzić również do seksu.

– Zauważyłem, że woli kochać się w czasie, kiedy księżyc jest w znaku Skorpiona – oświadcza Feliksowi w kawiarni Louvre.

– A to niby dlaczego?

– Bo wtedy energia duchowa kieruje się bardziej do wewnątrz, budzi szczególne doznania i prowadzi uczucia w tajemnych kierunkach, rozumiesz?

– Nie.

– Tajemnicza siła luny. Rytm natury.

Mojmir dolewa sobie wina.

– Byłoby to całkiem zabawne, gdyby to nie akurat moja żona zupełnie na poważnie kierowała się całym tym gównem.

Wzrok Feliksa wyraża współczucie.

– Księżyc znajduje się w Skorpionie jedynie dwa, maksymalnie trzy dni – kontynuuje Mojmir. – Z drugiej strony muszę przyznać, że wtedy jest naprawdę świetnie… Oczywiście jeśli akurat w tych dniach nie ma menstruacji albo tego swojego świądu.

– Aha.

– Wiesz, do czego dojdzie, kiedy zestawisz kalendarz lunarny, kalendarz menstruacyjny i skłonność do grzybicy?

Feliks się zastanawia.

– Do braku seksu?

– Bingo. Coś ci powiem.

Mojmir rozgląda się po kawiarni i ścisza głos.

– W życiu bym nie uwierzył, że przed pieprzeniem będę wyglądać przez okno i studiować lunę… Ale robię to. Naprawdę to robię. Kiedy jestem napalony, śledzę znaki zodiaku… Ja to naprawdę robię!

Feliks obserwuje Mojmira zatroskanym wzrokiem.

Lecz pasja ogrodnicza, która obudziła się w Hedvice, ma również całkowicie praktyczne konsekwencje: rzeczy takie jak bluzki, czółenka czy

torebki nagle przestają wydawać się jej ważne (i to zupełnie niezależnie od fazy księżyca).

– Stało się coś niewiarygodnego – często mawia w tym czasie Mojmir. – Kopciuszka już nie bawią suknie.

Na swój sposób jest to logiczne. Dla stokrotek, brzóz, mszyc i ślimaków kobiety się nie stroją.

– Albo dla męża – dodaje Mojmir.

– Pieścisz się z Matką Ziemią? – krzyczy do niej, kiedy Hedvika z wyraźną radością zagłębia brudne palce w spulchnionej wilgotnej glinie, ale w jego uśmiechu jest gorycz.

Nie może wiedzieć, że ogród udziela Hedvice głębokich duchowych lekcji. Cokolwiek dzieje się w ogrodzie, dzieje się też wśród ludzi: niedostatek, piękno, chwast, szkodniki, owoce, susza, śmierć. Ogród to doskonałe miejsce do medytacji. Hedvika obserwuje, jak rośliny wschodzą, rosną i umierają – Mojmir widzi tylko włosy Hedviki związane chustką, jej nieprzemakalną kurtkę przypominającą worek, te stare ortalionowe outdoorowe spodnie i oczywiście mały wypłowiały plecak, ten *nieodłączny garb jej obecnego uroku*. Posmutniały wspomina, jak w czasie przygotowań do ślubu Hedvika przywiązywała uwagę nawet do tych najdrobniejszych szczegółów swojej jedwabnej kremowej sukni. Teraz przez siedem dni w tygodniu chodzi ubrana jak przewodnik grupy turystycznej i na dodatek ciągle się gdzieś śpieszy – akurat teraz do sklepu ogrodniczego. Bo dokąd by indziej. Mojmir patrzy, jak Hedvika wsiada do swojego niewiarygodnie brudnego auta (myjnie z powodów ekologicznych bojkotujemy) i zastanawia się, w jakim trójkącie bermudzkim znika naturalna kobieca próżność.

– Naprawdę nie żądam, by żona znanego pisarza chodziła w strojach od Versacego, ale z drugiej strony chyba nie musi na Boga ubierać się jak

grzybiarka, prawda? – skarży się Feliksowi (udaje ironiczny dystans, ale w rzeczywistości boi się bulwaru i jego policji modowej).

Mężczyźni narzekają zazwyczaj, że ich żony wyrzucają pieniądze na kosmetyki i ubrania, lecz Mojmir paradoksalnie cierpi przez to, że Hedvika wydaje za mało. Szczerze pragnie, żeby była bardziej rozrzutna. Widzicie to, damy?! Z nostalgią wspomina czasy, kiedy Hedvika w czasopismach takich jak „Elle" czy „Marianne" (dziś dzięki mnie czyta tylko „Moją Psychologię", „Rodzinę i Szkołę" i biuletyn „Ruch Ducha") z zachwytem pokazywała mu dżinsy Diesel lub jakieś nieprzyzwoicie drogie kozaczki i po długich namowach pozwalała mu nawet je sobie kupić… Dziś już nie kuszą jej żadne przyjemności tego typu, dobrze wie, że radość byłaby krótkotrwała. Nawet najpiękniejsze kozaczki włożyłaby maksymalnie dwa razy, a potem i tak na zawsze wylądowałyby w szafie. Dlaczego miałaby cieszyć się z letniej sukienki Diora, skoro przez całe lato nosi porozciągane podkoszulki z ekobawełny? Do przeszłości należą również regularne wizyty Hedviki w znanym salonie fryzjerskim i kosmetycznym. Obecnie włosy przycinam jej za darmo ja, na twarz wystarczają nam obu zioła, a paznokcie z łatwością obcinamy sobie same (zamiast iść na pedicure, wolimy odwiedzić chińskiego lekarza).

A Mojmir się wścieka. Wszelkie jego wyobrażenia o kobiecym świecie, kobiecych ambicjach i problemach są bowiem oparte na szowinistycznej ideologii rodem z *Pretty Woman.* Pod fatalnym wpływem tego głupiego amerykańskiego filmu Mojmir naiwnie wierzy, że zdanie, które sprawia kobietom największą przyjemność brzmi: kup sobie coś do ubrania. Oczywiście nie licząc zdania: wyjdziesz za mnie? Dlatego wszystkie otrzymane w gotówce honoraria za spotkania autorskie zawsze Hedvice wręcz wciska.

– Kup sobie coś!

– Po co mi to dajesz? Nie potrzebuję teraz żadnych pieniędzy.

Mojmir każe jej wziąć banknoty – i znów niepoprawnie zaczyna wierzyć w cud.

– Prawdopodobieństwo, że zamiast sukni balowej albo płaszcza od Coco Chanel kupi sobie podhodowany dąb symbolizujący hegemonię i moc albo ewentualnie kosiarkę strunową jest wprawdzie, przyznaję, bardzo duże, ale człowiek nie może przestać marzyć, prawda?

W zeszłym miesiącu po powrocie ze słoweńskiego festiwalu literackiego podarował jej okrągły tysiąc euro.

– Naprawdę wciąż pan wierzy, że pańska żona wróci z Pragi z bielizną Palmers? – docinałam mu.

Zgadnijcie, co sobie kupiła?

Powiem wam: namiot Big Family, pięć śpiworów i pięć karimat (bardzo mnie ucieszyło, że pomyślała też o mnie; jeszcze tego samego popołudnia rozłożyłyśmy namiot w ogródku, przebrałyśmy siebie i dzieci w dresy i spędziłyśmy w nim noc. Mojmir oczywiście odmówił).

A jednak dwa czy trzy razy w roku ten podstarzały chłopiec uwielbiający bajkowe historie doczeka się: jego żona na jedną jedyną noc zmienia się w Kopciuszka. Kiedy nie może już wytrzymać ciągłych nieprzyjemnych docinków, zgadza się, by towarzyszyć mu na tej czy innej premierze teatralnej lub filmowej, ewentualnie pójść z nim na jakieś snobistyczne przyjęcie przed Bożym Narodzeniem. Prosi mnie, żebym zajęła się dziećmi, jedzie z Mojmirem do Pragi i w ich dawnym gniazdku miłości ubiera się w nową sukienkę koktajlową za dziewięć tysięcy koron (Mojmir twierdzi, że *wygląda w niej fantastycznie i miała ją na sobie tylko raz*). Pierwszy raz od pół roku używa szminki czy tuszu do rzęs i sama jest przyjemnie zaskoczona swoim na wpół zapomnianym wyglądem. Mały diament,

uwolniony właśnie z wielomiesięcznej niewoli aksamitnego pudełeczka, odbija promienie światła z radosnym posłuszeństwem pieska, którego wreszcie zabrano na spacer. Wychodzi z łazienki. W przedpokoju stoi zapach Calvin Klein w garniturze Hugo Boss. Sinobrody. Jego karetę zdobią wstęgi.

– Ładnie wyglądasz – obowiązkowo chwali go Hedvika.

Pan wszelkiego stworzenia jest tak szczęśliwy (tak sobie to wyobrażam), że ledwo utrzymuje mocz.

– Ty też. Bardzo.

Pomaga jej zapiąć łańcuszek z diamentowym wisiorkiem. Wciąż się jej przygląda. Oczarowanie i wyrzuty mieszają się w jego spojrzeniu bezgłośnie jak martini z wódką. Przyglądają się sobie nawzajem w lustrze.

– Właściwie dlaczego nie wychodzimy tak częściej? – pyta Hedvika prostodusznie, co w jej mężu *natychmiast wzbudza chęć połamania jej obu rąk kijem baseballowym*. Mojmir liczy w duchu do dziesięciu i uśmiecha się.

– Jestem zawsze do usług.

I tak dalej.

Na szczęście w Kopciuszka zmienia się jedynie w wyjątkowych sytuacjach, a zresztą po powrocie z Pragi wszystko szybko wraca do normy. Hedvika zmywa makijaż, związuje włosy chustką, naciąga stare dresy i ortalion i idzie grabić liście lub przycinać wrzos.

Wkrótce nadejdzie zima i skończą się wszelkie prace ogrodowe. Wprawdzie georginie, chryzantemy i astry jeszcze mają kwiaty, ale grządki z przekwitłymi roślinami jednorocznymi Hedvika już zlikwidowała, rozrzuciła na nich kompost i przykryła je. Cebulki mieczyków, begonii, sprekelii i tygrysówek wykopała i schowała do piwnicy. Potem wysadzi

ostatnie byliny i kilka małych iglaków, wszystkie wrażliwe rośliny okryje gałązkami iglastymi – i zacznie się nudzić.

Co Hedvika będzie robić przez całą zimę, kiedy ogród będzie przykryty śniegiem?

No przecież dzieci.

(Ale oczywiście najpierw muszą się pobrać.) Jesteście rozczarowane, drogie siostry? Spodziewałyście się opisu bajkowych scen ślubnych? Zaczęłyście mięknąć? Czekałyście na tort z pięciu pięter? Ciekawiło was, jak była ubrana panna młoda? W suknię ołówkową – wystarczy? Czy miała woalkę? Pytacie poważnie? Przestańcie. Zawsze kiedy przeglądam ich album ślubny, chce mi się zakryć oczy łapami i wyć. Żyję z nimi siedem lat. Widzę tę woalkę odsłoniętą. Co dnia obserwuję skutki tej uroczystości.

Wszystkie nieszczęśliwe kobiety brały kiedyś ślub. Ja też.

I odmawiam przysparzania tym powolnym egzekucjom reklamy.

VI

Feliks mieszka sam w czteropokojowym dwupoziomowym mieszkaniu z widokiem na pół Smíchova. W tynku nad wjazdem do garażu pojawiły się niedawno dwie głębokie rysy. Feliks schodzi otworzyć Mojmirowi i podąża wzrokiem za jego spojrzeniem.

– Sąsiad zapomniał, że ma rowery na dachu.

Mojmir natychmiast wyobraża sobie ten zepsuty powrót z rodzinnej wycieczki. Może sąsiad też ma problemy. Podaje Feliksowi rękę i wita się z portierem.

– Małżeństwo to opium ludzkości – stwierdza w windzie.

Feliks go obserwuje.

– Tego odkrycia dokonaliśmy z Aleną już wiele lat temu – mówi po chwili. – Z tym, że ona wyciągnęła z tego odpowiednie wnioski.

Zdjąć buty Mojmir musi jak zawsze jeszcze na klatce. Podłogi z prawdziwego dębu są wypolerowane, a we wszystkich pomieszczeniach panuje pozazdroszczenia godny porządek (wczoraj była tu sprzątaczka). Feliks to perfekcjonista. Zanim podpisał odbiór mieszkania, kazał ponownie pomalować dwa pokoje, wymienić włączniki światła, dwie pary drzwi i granitowy blat kuchenny. Teraz szykuje Mojmirowi spóźniony obiad.

– Buteleczkę wina?

– Trzy.

Mojmir chodzi po mieszkaniu i jak wiele razy wcześniej – porównuje. Gdziekolwiek by nie spojrzał – na boki, w górę czy w dół – jego wzrok nigdy nie pada na nic rozpraszającego, nic irytującego. Nie ma tu tablic korkowych, na podłodze nie leżą zabawki ani rysunki, w kuchni nie jest rozlane kakao, nie walają się chrupki kukurydziane. Nie ma tu wazoników, dzwoneczków ani drewnianych aniołków. Nigdzie nie widać nawet najmniejszego śladu psiej sierści. Nie przesiadują tu wyemancypowane kobiety. Panuje cudowna cisza.

Feliks wyznaje pogląd, że cztery pokoje to dokładnie tyle, ile potrzebuje jeden samotny mężczyzna. Mojmir nie może się z nim nie zgodzić. W pokoju dziennym Feliks ma kino domowe i dużą lodówkę na wino, na piętrze jest sypialnia, a w pozostałych dwóch pokojach urządził sobie pracownię i siłownię.

– Jednym z plusów mieszkania samemu jest to, że wiesz, gdzie co masz – mówi.

Mojmir mu zazdrości.

– Kiedy mieszkałem z Aleną i dziećmi, nigdy nie mogłem nic znaleźć. Doprowadzało mnie to do szału.

Otwiera butelkę barbaresco. Mojmir zaczyna wyliczać rzeczy, które doprowadzają do szału jego. Lista jest długa, ale Feliks zna ją już na pamięć.

– Przede wszystkim powinieneś pozbyć się tej grubej baby – radzi. – To jest podstawowy krok.

– Nie możesz powiedzieć, że jest gruba, choć niezaprzeczalnie jest. Nie możesz jej powiedzieć, że prawie się nie rusza i że za dużo je, chociaż to prawda. Odpowie ci, że dusza przejawia się w różnych formach i rozmiarach i że ty tego nie pojmujesz.

Feliks napije się w milczeniu wina.

– Na pewno powiedziałaby ci też, że atakowanie fizycznej strony kobiety jest równoznaczne z niszczeniem jej prawowitej dumy z przynależności do swoich bliskich. Z przynależności do matki kuleczki i wujka sadełka, rozumiesz?

– Nie. Ale wiem na pewno, że nie jest normalne, żeby wizyta trwała siedem lat.

– To nie jest normalne. To coś wyjątkowego, jak twierdzi moja żona. Wyjątkowa przyjaciółka, która zastępuje jej matkę. Oczywiście pytałem, czy madame doula nie mogłaby zastępować jej matki tylko w weekendy, ale jakoś się ten pomysł nie przyjął.

– Daj pod ten kieliszek podkładkę.

– Chciałbym mieć takie problemy jak ty.

– Potem zostają ślady.

Cisza zaczyna wydawać się Mojmirowi przygnębiająca. – Włącz jakąś muzykę. Albo porno.

– Jedźmy do Toskanii – proponuje Feliks. – Skoro już masz wolne.

Mojmirowi zdaje się, że przyjaciel przyjął jego ucieczkę od rodziny dość pragmatycznie.

– Kiedy? Dolej mi.

– Jutro?

Mojmir się zastanawia. Nie nad Toskanią; wie, że nigdzie nie pojedzie.

– Problem nie tkwi tylko w tej babie. To nie jest takie proste.

Opowiada Feliksowi scenkę z ostatniego rodzinnego wyjazdu do Austrii, który, jak twierdzi Mojmir, w wymownym skrócie oddaje prawdziwy problem jego małżeństwa z Hedviką: po obiedzie zostawiają córki (na ich prośbę) w pokoju zabaw, a zatem mają niespodziewaną

godzinę wolnego czasu. Wreszcie mogą spokojnie porozmawiać, a dziewczynki nie będą przerywać im pięć razy na minutę żadnym pytaniem ani prośbą. Siadają przy barze. Zamawiają martini. Cieszą się spokojem i chwilową wolnością. Mojmir zaczyna opowiadać żonie coś zabawnego, ale w tej samej chwili Hedvika dostaje SMS. Czyta go i odpowiada; pisze szybko, ale mimo to Mojmir musi czekać prawie minutę.

– To w sprawie księgowości Centrum Matki – wyjaśnia mu żona.

Mojmir kiwa głową ze zrozumieniem i opowiada dalej. Uczucie idylli powraca. Wznoszą toast. Uśmiechają się do siebie. Gładzi dłoń swojej żony. Po chwili przychodzi kolejny SMS, Hedvika długo na niego odpowiada. Mojmir milknie. Żona wyczuwa jego podrażnienie.

– Przepraszam – mówi. – To też było ważne. Organizujemy giełdę dziecięcą.

Wybacza jej. Ponownie starają się nawiązać rozmowę. Potem przychodzi trzeci SMS.

– Przepraszam, przepraszam – mówi Hedvika i błyskawicznie odpowiada.

Mojmir ześlizguje się z krzesła barowego i bez słowa idzie do pokoju.

– Żeby nie być śmiesznym, rozumiesz? – mówi Feliksowi.

– Oczywiście, też przez to przechodziłem – konstatuje Feliks jakby z odrobiną pogardy. – Przy czym te wiadomości, które dostawała Alena, bynajmniej nie dotyczyły żadnej księgowości.

– Czyli jeszcze nie jest ze mną tak źle.

– No właściwie nie.

– Dzięki za zrozumienie.

– Oprócz tej straszliwej baby oczywiście.

VII

Opowieści to lek. Opowiadam wam historię, która doda wam sił, byście mogły odkryć nieskrępowane kobiece ja. Opowiadam wam historię o odważnej kobiecie, która odnalazła drogę ku rzece płynącej pod rzeką. Drogę ku Rio Abajo Rio. O kobiecie, która kwitnie własną spójnością i własną naturalnością.

– I o jej mężu, który prawie przez to zwariował – najprawdopodobniej dodałby Mojmir.

Los chciał, że Hedvika usłyszała pieśń, którą dla niej śpiewałam. Wybrała mój kurs przedporodowy i w ten sposób pozwoliła mi wkroczyć do swego życia.

– Pieśń?! Los?! – niedawno przedrzeźniał mnie drwiąco Mojmir. – Mówi pani poważnie, madame? Moja żona wybrała pani kurs jako jeden z dwóch, które znalazła w Internecie. Zapewniam panią, że nikt nie słyszał żadnej pieśni. To nie był los, tylko niefart! Zwykły pech!

Właśnie odkrył, że zjadłyśmy mu z Hedviką ćwierć kilo szynki parmeńskiej, na którą miał chęć na kolację, co naostrzyło grot jego przez lata otępiałego sarkazmu.

– O losie można by mówić, gdyby spadł na panią meteoryt. Lub gdyby wygrała pani główną nagrodę w loterii. Nie muszę chyba dodawać, której

z tych rzeczy życzyłbym pani bardziej?

Trzaska drzwiami od lodówki i z demonstracyjnym obrzydzeniem wgryza się w dwudniową bułkę (wypalałyśmy z Hedviką ceramikę, więc nie miałyśmy czasu iść na zakupy). Oczywiście celowo kruszy na podłogę, a talerzyk podany przez Hedvikę ignoruje.

– To nie był żaden przypadek, to było pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo – kontynuuje z pełnymi ustami.

– Dziękuję za wyjaśnienie, Mistrzu.

– To było po prostu pół na pół, a to jest rozpaczliwie mała szansa, by czegoś uniknąć. Ale przynajmniej nie muszę się obwiniać, że mieliśmy nieskończoną ilość możliwości. Przynajmniej tyle.

Rzeczywiście, nie mogli mnie uniknąć. Moje spotkanie z Hedviką było nam pisane. Jej drobną twarz, której niecodzienny urok jest w pełni widoczny dopiero wówczas, gdy pojawia się na niej ten olśniewający uśmiech, zauważyłam natychmiast – i tak samo szybko nawiązała się między nami nić porozumienia. Do dziś łączy nas coś, co bardzo trudno opisać słowami.

– Ale spróbuję – powiedziałby pewnie Mojmir (i z całą pewnością arogancko wyszczerzyłby do mnie zęby). Może Odwieczna Kobiecość? Albo bezpośrednie pokrewieństwo z Matką Ziemią? Albo nie, lepiej: przeczuwała pani, że w mojej żonie wkrótce obudzi się biegnąca z wilkami! Że stoi przed panią kobieta wciąż zdolna do odnalezienia pozornie zagubionej leśnej dróżki, na której przypomni sobie tę dziką i jednocześnie mądrą twórczą istotę, którą była przed wiekami!

Pamięć Mistrz ma dobrą, to mu trzeba przyznać. Owszem, przeczuwałam to wszystko, ale niech sobie o tym myśli, co chce. Już na pierwszych zajęciach wiedziałam, że Hedvika poprosi mnie, żebym towarzyszyła jej podczas porodu – i nie myliłam się.

Jestem Babą Jagą, do której przyszła po ogień poznania.

Wprawdzie pan pisarz nigdy nie wyróżniał się przesadnym samokrytycyzmem, ale w odróżnieniu od jeszcze bardziej zadufanych w sobie mężczyzn (nie ma ich zbyt wielu), potrafił przynajmniej pojąć, że jeśli nie chce przy porodzie tylko przeszkadzać, również powinien zapisać się na kurs. Zresztą Hedvika też go o to prosiła. Zapewniała, że wszyscy ojcowie będą chodzić na zajęcia ze swoimi partnerkami (co potem się potwierdziło), lecz przez zbieg okoliczności na pierwszych zajęciach Mojmir był jedynym mężczyzną na sali. Piłkarska jedenastka ciężarnych kobiet siedzących na dmuchanych piłkach – a obok nich Mistrz na skrzypiącym krześle… Chi chi!

– Trudno wyobrazić sobie bardziej przerażające przyjście na świat niż to, które położnictwo zgotowało kilku ostatnim pokoleniom – rozpoczęłam tradycyjnie swój wykład.

Słuchał mnie z większą uwagą, niż się spodziewałam, ale mimo to w moich badawczych spojrzeniach pozostał pewien dystans. Nie dziwcie się mi, przez te wszystkie lata pracy jako doula widziałam już setki ojców, w tym różnych wątpliwych celebrytów. Zresztą celebryci to po politykach drudzy najgorsi ojcowie. Nawet swej największej nieprzyjaciółce nie życzyłabym, by musiała nad rodzącą matką kłócić się z aktorem lub piosenkarzem ryczącym, że w tej fazie porodu Madonna już dawno dostała epidural… Po tego typu doświadczeniach zawsze podchodzę do sławnych ojców sceptycznie. Kiedy będę pewna, że pan pisarz nie zacznie mi przy pierwszych komplikacjach cytować sceny porodu z Johna Irvinga, chętnie zmienię nastawienie – myślałam.

Zmieniłam je wcześniej. Muszę przyznać, że bardzo miło mnie zaskoczył. Do Hedviki zwracał się z dużą czułością, do mnie uprzejmie.

Nie wiem, jak udało mu się mnie zmylić, ale byłam święcie przekonana, że należy do garstki nowoczesnych mężczyzn, którzy potrafią szanować kobiety. Owszem, wiedziałam, że jest rozwiedziony, więc w jednej z ciemnych komnat jego przeszłości leży kobieta, której uczucia zostały zamordowane, lecz z drugiej strony nic nie wskazywało na to, że on też jest złym Sinobrodym zabijającym w kobiecie jej naturalne instynkty. Nie wyglądał na kogoś, kto chce zniszczyć światło młodej kobiecej duszy, miast wzmacniać jego blask.

Opinia Mojmira na temat tak zwanych porodów alternatywnych, łącznie z porodem do wody, była jak najbardziej pozytywna. Nie sprzeciwiał się propagowanej przeze mnie demedykalizacji i rehumanizacji porodów, a kiedy podczas wykładu oświadczyłam, że poród to nie choroba i że absurdem jest, żeby w XXI wieku kobieta rodziła na plecach i z nogami w strzemionach, przytakiwał głową. Zadawał pytania, które zdradzały wtajemniczenie. Wiedział, jak naturalny i niewymuszony bywał poród w wielu minionych kulturach. Wiedział, że samice antylopy przestają troszczyć się o swoje młode, jeśli podczas porodu poda się im eter i chloroform. I tak dalej.

Wobec mojej roli douli jako przewodniczki podczas ciąży, przy porodzie oraz w połogu (owszem, przyznaję, że trochę się to przeciągnęło, chi chi), na początku wyrażał pełną aprobatę. W mojej książce przeczytał fragment poświęcony tej kwestii, rozumiał więc, że dobra doula nie stara się podważać pozytywnego wpływu ojca podczas porodu, a wręcz przeciwnie – chce go wzmocnić. Zgadzał się (lub dobrze udawał), że osobiste doświadczenie nie jest dla douli najważniejsze i że mimo iż sama nie mam dzieci, jestem biologicznie i psychicznie zestrojona z przyszłymi matkami. Dobrowolnie przyznawał, że rola ojca przy porodzie ma znaczenie raczej symboliczne, ale nie umniejszało to jego potrzeby

obecności na sali porodowej. Bez najmniejszych konfliktów, ba – z humorem, wzajemnie wyznaczyliśmy sobie swoje kompetencje.

– Jesteśmy jak dwa meksykańskie kartele narkotykowe, które rozdzielają strefy wpływów – żartował wtedy.

Kiedy krótko po pierwszym porodzie Hedviki nasze relacje zaczęły stawać się dość napięte, przypominałam sobie czasami to porównanie. Żartowałam z Hedviką, że jej mąż pewnie przyniesie mi niedługo złamaną zapałkę albo pustą łuskę naboju – ale obie czułyśmy, że w naszym dowcipkowaniu jest coś przygnębiającego.

Czy już wtedy przeczuwałam, że będę musiała prowadzić z nim potyczki codziennie przez siedem lat?

– Trudno wyobrazić sobie bardziej przerażającą lekcję na temat ciąży i porodu niż ta, którą właśnie przeszedłem – powiedział mi Mojmir po zakończeniu pierwszych zajęć.

Owszem, celowo poddałam go próbie wytrzymałości zawierającej również pewien element cwaniackich szykan wobec nowicjusza (zauważcie łaskawie, drogie siostry, że w swoich wspomnieniach staram się być obiektywna). Ze złośliwą radością wykorzystałam obecność dwóch kobiet, które już były matkami i które rodziły (mówiąc eufemistycznie) w typowym szpitalu, i poprosiłam je, żeby opowiedziały kobietom mającym rodzić po raz pierwszy oraz panu pisarzowi o swoich przeżyciach. Wiedziałam, że dzięki temu Mojmir zostanie zmuszony do wysłuchania tych wszystkich historii o chemicznym przyśpieszaniu porodu, rutynowo wykonywanych nacięciach krocza, standardowych lewatywach i goleniu, o przysypiających lekarzach, o tamponach pozostawionych w macicy, o gwałtownym oddzielaniu noworodków od matek, zbytecznych cesarskich cięciach i równie nonsensownej amniotomii (nakłuciu błon płodowych) – i tak też się stało. Dwie inne kobiety z mojej inicjatywy zaprezentowały mu

w bezpośredniej bliskości orientalny taniec brzucha, następnie zafundowałam mu przeżycie wspólnej kobiecej medytacji, a na koniec zaproponowałam, żeby własnoręcznie zapoznał się z kapturkami do karmienia i wkładką używaną w czasie połogu. Nie, nie oszczędzałam go. Podczas nauki techniki masażu relaksacyjnego bezkompromisowo oddzieliłam go od jego atrakcyjnej żony i przydzieliłam mu inną ciężarną kobietę, której piękno spoczywało, że tak powiem, raczej w jej wnętrzu, a Hedvikę masowałam ja (moim doświadczonym palcom oddała się bardzo chętnie).

I tak dalej.

Muszę przyznać, że wszystkie próby Mojmir przeszedł bez większych problemów. Nie pozwolił sobie na podważanie autentyczności opowieści z porodówek i publicznie oświadczył, że „tradycyjny" poród nierzadko może okazać się dla kobiety wstrząsającym doświadczeniem – a na jego twarzy ani na chwilę nie pojawił się ten sarkastyczny uśmiech, który dziś widzę za każdym razem, gdy tylko się odezwę. Podczas masowania ciężarnej brzyduli nie przestał zachowywać się jak dżentelmen, tańca brzucha dwóch kobiet w siódmym miesiącu nie porównał – jak bez wątpienia zrobiłby to dzisiaj – do ruchu wielorybów ugrzęzłych na mieliźnie, panował nad sobą nawet w chwili, kiedy grałam na didgeridoo – instrumencie australijskich aborygenów (kiedy powiedziałam, że macica to pierwsza szkoła muzyczna dziecka, ironicznie podniósł brwi, ale pozostawił to bez komentarza). Jeśli wyczuł, że tak trochę mszczę się na nim za tych wszystkich aroganckich położników, butnych urzędników i uzurpatorskich mężów, z którymi walczę przez całe swoje życie, w ogóle nie dał tego po sobie poznać.

Po pierwszych zajęciach zaprosili mnie z Hedviką na obiad. Zachowanie Mojmira było przyjemnie uroczyste. Jego opowieści nie były tak zabawne,

jak można by się było spodziewać, ale nie nudziłam się. Obserwowałam ich ukradkiem: ich związek nawet po dwóch latach najwyraźniej nie wyszedł poza stadium wzajemnego zakochania, czego mogłam im tylko (z radością) zazdrościć. Na szczęście Hedvika jedynie co jakiś czas pogłaskała go po ręce lub oparła głowę na jego ramieniu, ale Mojmir czuł nieodpartą potrzebę dotykania jej praktycznie bez przerwy; mimo to słuchał mnie z zainteresowaniem, które (tak mi się wydawało) nie wynikało wyłącznie z grzeczności. Zapłacił za mnie i pomógł mi włożyć płaszcz.

Zdał egzamin. Nie wzbudzał podejrzeń. Uśpił moją wilczą czujność.

Jak mu się to udało? Kto nauczył go takiej samokontroli? – zastanawiacie się. Gdybym nie zauważyła karty do medytacji, która dzięki szczęśliwemu przypadkowi wypadła ze skórzanego kalendarza Mojmira, kiedy wychodziliśmy z restauracji, być może nawet ja nie umiałabym odpowiedzieć na to pytanie.

Nieosądzająca myśl

Obserwuje i rozumie.

Rozumiecie? Jak prawdziwi mistrzowie sztuk walki, Sinobrody wykorzystał energię jednego przeciwnika (buddyzm) i zwrócił ją przeciw drugiemu (porody alternatywne). W pewnym sensie była to fascynująca lekcja. Tego dnia po raz pierwszy uświadomiłam sobie, jak bardzo może być niebezpieczny. Pojęłam, że będę musiała skorzystać z całej swej erudycji i doświadczenia, by móc go pokonać.

Pojęłam, że muszę w sobie obudzić dziką kobietę.

Pan pisarz, podobnie jak inni histeryczni ojcowie, obawiał się, że nie dojedzie na porodówkę na czas. Kiedy tylko Hedvika zgodnie z moją radą ostatecznie zdecydowała, że będzie rodzić w szpitalu w Vrchlabí,

bezbrzeżna fantazja powieściopisarza natychmiast zaczęła kreślić wielkie apokaliptyczne płótna z motywem porodu na poboczu gdzieś przed Novą Paką, czy w lepszym przypadku na brudnym tylnym siedzeniu praskiej taksówki. Na próżno zapewniałam go, że od pierwszych skurczów do porodu mijają zazwyczaj całe godziny, zatem wspomniane powyżej ryzyko jest prawie równe zeru.

– Problem tkwi właśnie w tym *prawie* – odpowiadał mi z uśmiechem. – Bowiem prawie zerowe nie znaczy zerowe, a dla nas, pedantów, to jest kluczowa różnica.

Pomimo moich (w tamtym okresie jeszcze ostrożnych) drwin upierał się, że do Vrchlabí pojadą co najmniej tydzień przed terminem i będą czekać na poród w jakimś przytulnym pensjonacie oddalonym od tamtejszego oddziału położniczego o nie więcej niż dziesięć minut jazdy.

– To będzie taki nasz urlop w górach – twierdził.

Kiedy tylko na chwilę zniknął, Hedvika zapytała mnie szeptem, czy nie mogłabym do tego karkonoskiego pensjonatu pojechać z nimi. W moim sercu eksplodowała dzika radość, ale dzięki Bogu potrafiłam się opanować. Udałam lekkie zawahanie, a potem powiedziałam, że głównym zadaniem douli jest sprawienie, by ciężarna kobieta ani przez chwilę nie poczuła się osamotniona, więc jeśli takie jest jej życzenie, chętnie je spełnię i otworzę dla niej objęcia swych uczuć.

Przyjechała po mnie w pierwszy wrześniowy piątek. Kierował oczywiście Sinobrody: ośmiocylindrowe ego. Wewnątrz smród spalin, na zewnątrz metalik. I tak dalej. Obserwowałam ich ukradkiem zza firanki. Zaparkował i pomógł Hedvice wysiąść. Uniosła rzęsy i natychmiast odnalazła moje okno. Zamachałam jej w miarę możliwości neutralnie, lecz mą duszę przepełniało wzruszenie i współczucie. Obyś nie przychodziła zbyt późno, dziewczynko – myślałam. Zadumany pisarz kontemplował

front kamienicy, jakby omszała fasada mogła dać odpowiedź na pytanie, dlaczego cały tydzień, a nawet więcej, ma spędzić z akuszerką (wprawdzie Mistrz doskonale rozumie różnicę między doulą i akuszerką, ale celowo nazw tych odmiennych ról używa zamiennie; akuszerka brzmi trochę jak ze średniowiecza, dzięki czemu bardziej podkreśla stopień mojego rzekomego zacofania). Słyszałam, jak winda rusza. Czy wiedziałyście, drogie siostry, że delfiny mają w ciele sonar, dzięki któremu z łatwością mogą stworzyć dowolny obraz ultrasonograficzny? Wiedziałyście, że w obecności kobiety ciężarnej delfiny widzą i słyszą nie tylko serce matki, ale także serce płodu? Wiadomo, że ludzie i delfiny mają wiele wspólnego – ale wierzcie mi, dobra doula jest prawie jak delfin. No nic. Nie wytrzymałam i wyszłam do windy im naprzeciw. Objęłyśmy się bez słowa, a mimo to obie mówiły do mnie przez całą tę piękną chwilę – ona i jej jeszcze nienarodzona córeczka. Wciągnęłam je do środka, chwyciłam skrzypce i z tego wielkiego zachwytu zagrałam malutkiej kilka kołysanek. Potem puściłam swoją ulubioną płytę z dźwiękami mis tybetańskich, co obie przyjęły z radosną wdzięcznością. Sinobrody w tym czasie znosił do auta moje liczne bagaże. Kiedy wrócił, celowo poprosiłam go, żeby wszedł dalej, by mój konspiracyjny wysiłek nie poszedł na marne – przez cały poprzedni dzień starałam się bowiem nadać swojemu mieszkaniu pozorów poukładanego domostwa: schowałam większość talizmanów i amuletów, około trzydziestu książek, wszystkie rzeźby i obrazy z lesbijskimi motywami oraz ten wielki japoński szkic piórkowy przedstawiający poród miednicowy. Usunęłam również pamiątkowe pępowiny, karty do tarota, kolekcję kamieni leczniczych, esencje Bacha oraz oczywiście czaszkę wilka, zęby wilka i tę grafikę malowaną krwią menstruacyjną. Natomiast z szuflady wyciągnęłam kopię zeznania podatkowego oraz kilka niedawno zapłaconych rachunków i rozłożyłam je na stole w kuchni.

Zgodnie z oczekiwaniami Mojmir stanął przed biblioteczką i wodził oczami po tytułach książek w mojej nowej aranżacji. Jego wzrok zatrzymał się nagle na obszernej publikacji *Biegnąca z wilkami.*

Błąd, przeleciało mi przez głowę. Im starsza jestem, tym głupsza czasami bywam.

– Pozwoli pani?

Wziął gruby tom do ręki i przeczytał fragmenty pozytywnych recenzji na okładce. Jego mina pozostała neutralna, ale byłam pewna, że w duchu ocenia książkę z pogardą (co wkrótce się potwierdziło). Postanowiłam wykorzystać to, że znajdujemy się na moim terenie i rozpoczęłam niespodziewany kontratak.

– Czy na pewno nie przeszkadza panu, Mistrzu, że będę tam z wami przez cały czas?

– Oczywiście, że nie. Chodzi przecież o życzenie mojej żony – odpowiedział z dwuznacznym uśmiechem gracza pokerowego.

Dwa razy stuknął paznokciem w okładkę.

– Mogę pożyczyć? Wziąłbym ją ze sobą.

– Dlaczego nie? – odparłam w miarę możliwości obojętnie. Starałam się zachowywać taktownie: wprawdzie na spacery po górach, na zakupy i do kina chodziłam z nimi, ale naturalnie miałam własny pokój (zapłacił za niego Mojmir), a po dziesiątej w pełni szanowałam ich prywatność. Jeśli moje towarzystwo (ostatecznie ponad dwutygodniowe) mimo to irytowało Mojmira, nie dawał tego po sobie poznać. Mimo że w jego uwagach już czasami pojawiał się sprzeciw, a niekiedy nawet sarkazm, do porodu nie dopuścił się wobec mnie żadnej prawdziwej niegodziwości. Podczas naszych potyczek słownych jeszcze nie iskrzyło tak, by doszło do pożaru, którego nie dałoby się opanować; te okazjonalne ogniska zawsze udawało się nam z Hedviką ugasić. Muszę przyznać, że jego docinki nawet mnie

bawiły, ponieważ dodawały naszej konwersacji przyjemnej pikanterii (podobnie jak wasabi podawane do sushi – najprawdopodobniej powiedziałby Mojmir. Ja tych rzeczy nie jadam).

Jak pewnie przeczuwacie, najbardziej spieraliśmy się o wspomnianą książkę, którą Mojmir przeczytał już w ciągu pierwszych dwóch dni pobytu.

– I co pan o tym myśli? – nierozważnie wyzwałam go na pojedynek, kiedy mi ją oddawał. Dlaczego nierozważnie? Bo znów go nie doceniłam. Był doskonale przygotowany.

– Co myślę o tym leksykonie czarów? O tej wiązance jungowskich bajek?

– Najwyraźniej mówi pan o innej książce – odpowiadam.

Siedzimy w ogródku kameralnej restauracyjki, a kelner właśnie przyniósł nam kwaśnicę.

– Po pierwsze: zaczęła to pisać w latach siedemdziesiątych i obawiam się, że po tej książce to widać.

Mojmir wskazuje na swój talerz.

– Gdybym miał porównać ją do zupy, byłby to zimny wywar z hippisowskich koralików.

– Tak pan myśli?

Jestem zaskoczona jego surowością.

– Oczywiście w oczy rzuca się również typowa amerykańska zdolność do zrobienia, proszę szanowne panie o wybaczenie, z gówna kulki. Gdyby skróciła to powiedzmy o cztery piąte, nie dowiedzielibyśmy się mniej. To są prawdziwe menuety paplaniny! Ciągłe zakręty prowadzące do miejsc, w których byliśmy już tysiąc razy.

– Ja też chciałabym to przeczytać – wtrąca Hedvika.

Naturalnie tego Mojmir boi się najbardziej. Dlatego jeszcze zwiększa obroty.

– Ale ja to rozumiem. Kiedy kobieta mówi, odpoczywa. Kiedy mówi mężczyzna, przekazuje informacje. Kiedy ja chcę odpocząć, lecę na przykład na Kanary. W milczeniu.

Rzuca nam obu uśmiech bazyliszka.

– Czyli według pana książka jest zbyt długa i rozwlekła – staram się mówić jak najspokojniej. – Dobrze. W takim razie niech pan nie myśli o objętości książki oraz o rzekomym braku zdolności autorki do zwięzłego wyrażania się i powie nam, co pan myśli o treści.

– Ale to są dwie nieodłączne rzeczy. Rozumiem, że pani Clarissa Pinkola Estés, pi ejdż di, stara się wyrażać metaforycznie, więc nie można wszystkich tych absurdalnych połączeń wyrazowych brać dosłownie, ale jeśli podczas tej seryjnej produkcji porównań nieprzerwanie myli dokładność i oszczędność poezji z liryczno–histerycznym gadulstwem, ma to nieodzowny wpływ również na to, co stara się nam przekazać.

Te zdania, które pozornie z wysiłkiem rzeźbi na naszych oczach, z pewnością przygotował sobie wcześniej. Te pauzy na zastanowienie, to szukanie jak najdokładniejszych słów – to wszystko to tylko komedia.

– Czyli według pana na co?

– Na przykład na to, że światło życia, luz de la vida, nie znajduje się w kobiecym sercu czy mózgu, a w los ovarios, w jajnikach. Oraz że miejsce najgłębszego kobiecego poznania znajduje się również tam.

– To spore uproszczenie, nie sądzi pan? – sprzeciwiam się słabo.

– Albo że kobieta–dzikuska jest inkubatorem nieoszlifowanych pomysłów. W inkubatorach niczego się nie szlifuje, pani wie to lepiej niż ja. Albo że kobieta jest tylną nogą lisa. Dlaczego nie przednią? Proszę mi to wyjaśnić!

Udaje zdziwienie, podczas gdy drapieżnik w jego wnętrzu wyje z zachwytu: wie, jak bolesny cios mi właśnie zadał.

Jednak aż do porodu w swoich wypadach wobec mnie musiał się pilnować, miał bowiem świadomość, że będę mu jeszcze potrzebna. Jeszcze nigdy nie asystował przy porodzie. Jego pierwsza żona rodziła na początku lat osiemdziesiątych, kiedy obecność ojców na sali porodowej była czymś zupełnie nie do pomyślenia (zazwyczaj nie mieli wstępu nawet do budynku, w którym znajdował się oddział położniczy i do swoich żon ryczeli pijani spod okien). Z jego rosnącym niepokojem zwiększała się moja przewaga. Pozwalałam sobie na coraz więcej. Zaproponował na przykład krótką przechadzkę po okolicy, ale ja zabrałam mu mapę i przeciągnęłam ich oboje dziewięć kilometrów przez las (jak wiadomo kobiety nie potrafią czytać map).

Zgodnie z oczekiwaniami zaczął panikować.

– Od najbliższej cywilizacji dzieli nas minimalnie godzina! – zwracał mi uwagę.

– Spokojnie, tatuśku.

– Jestem stosunkowo spokojny. Chciałbym jedynie wiedzieć, co pani zrobi, jeśli zaraz zacznie się poród.

– Poradzę sobie.

– Jak konkretnie? Proszę wybaczyć mi moją ciekawość.

– Zejdziemy z tej oznakowanej trasy turystycznej, żeby nikt nam nie przeszkadzał, wygrzebiemy w igliwiu mały dołek i w nim bez pośpiechu urodzimy.

– Doskonale! Ależ mi ulżyło! Wręcz nie potrafię opisać słowami, jak bardzo się cieszę, że jest tu pani z nami. Nie mam pojęcia, co bym bez pani

zrobił. Bez pani doświadczenia i erudycji pewnie rodzilibyśmy bezpośrednio na tych igłach!

Przez korony świerków nad naszymi głowami przebłyskuje słońce. Ciepło pachnie żywica. Hedvika uśmiecha się do mnie. Obie czujemy nad Mojmirem kosmiczną przewagę – panowie, ja wiem, że nie umiecie wyobrazić sobie tego stanu ducha. Spróbuję przybliżyć wam to za pomocą porównania, które chyba moglibyście pojąć: to jest jak stan połowicznej grawitacji. Jak gdyby prawo przyciągania ziemskiego w niektórych chwilach obowiązywało kobiety tylko w połowie. Już rozumiecie? Właśnie tak się czasem czujemy.

– Niech mi pani natychmiast odda tę mapę! – żąda Sinobrody.

Boi się zupełnie niepotrzebnie. Kiedy zacznie się zbliżać czas porodu, będę wiedzieć.

Budzę się dokładnie w chwili, kiedy Hedvika czuje pierwsze bóle. Mój sonar w ciemności pokoju rejestruje każdy jej ruch. Czuję jej zapach, słyszę jej ciężki krok, wyczuwam puls tych dwóch podekscytowanych, nieposkromionych serc: dużego i maleńkiego. Hedvika potarła zapałkę i wznieciła czerwony ogień twórczego życia. Leżę i czekam, aż jej włosy połaskoczą mnie po twarzy (z pewnością, damy, wiecie, że kobiecy naskórek jest do dziesięciu razy wrażliwszy niż męski). Teraz.

– To chyba już – szepcze.

Otwieram swoje objęcia. Głaszczę ją po włosach i po brzuchu, po czym sprawdzam, jak duże jest rozwarcie. W kolejnej minucie przybiega Mistrz. Tupie jak słoń i krzyczy coś bezsensownie. Zapala światła. Walczy z ciemnością. Apeluje do naszego rozumu. Inżynier ludzkich dusz w akcji.

– Jedziemy! Szybko!

Ma na sobie kurtkę i buty. Nie zdziwiłabym się, gdyby spał w ubraniu. Pisarze, znawcy życia…

Jednak w trakcie porodu współpracuje wzorowo: zwilża ręcznik i przykłada go żonie na czoło. Dodaje jej otuchy i uśmiecha się do niej. Masuje ją i wietrzy salę. Mierzy temperaturę wody w wannie. Robi mi herbatę miętową, której nie można nic zarzucić, a ordynatora rozśmiesza jakąś rzekomo wesołą opowiastką. Nie przeszkadza. Wkłada do magnetofonu nową płytę ze śpiewem wielorybów. Kiedy tańczymy z Hedviką taniec brzucha, w odróżnieniu od pielęgniarki powstrzymuje się od komentarza.

Ordynator zna mnie od lat, a przede wszystkim stoi po naszej stronie barykady (wielu innych lekarzy, jak pewnie się domyślacie, jest po stronie przeciwnej), więc w tym szpitalu naprawdę nie zdarza się, że kobieta prze z całych sił, a dwie siostry nad nią omawiają ostatni odcinek *Więzi rodzinnych*… Oszczędza się nam tu lewatyw i nacięć, jak również tradycyjnego niesmacznego spiskowania lekarza i męża przeciw rodzącej i douli. I tak dalej, i tak dalej. Poród trwa dość długo, ale na szczęście nikt (oprócz coraz bardziej podenerwowanego Mojmira) nigdzie się nie śpieszy. Letnia burza też nie trwa przecież pięć minut. Hedvika jest na skraju wytrzymałości, ale w przerwach między skurczami nie przestaje się do mnie uśmiechać. Ordynator i ja też się uśmiechamy. Jedyny, kto się nie uśmiecha, to Mojmir.

O wpół do trzeciej rano przychodzi na świat Sara. Już dawno nie widziałam tak pięknego noworodka. I gdzie tu sprawiedliwość? – myślę w duchu, ponieważ dzięki Hedvice znam okoliczności poczęcia: Mistrz na jakiejś degustacji wypił dwa litry wina, zżarł ćwierć kilo szynki, a potem sapiąc wlazł na tę niebogą dziewczynę, która, o dziwo, nie tylko go nie zrzuciła, ale jeszcze dziewięć miesięcy później urodziła mu niebieskookiego aniołka… Naprawdę nie pojmuję, dlaczego ten wieprz

literacki ma u Pana Boga taką protekcję. Przyznajcie same, drogie siostry: czyż nie byłoby bardziej sprawiedliwe, gdyby po takiej inseminacji urodziło się im raczej prosię?

Do pierwszego otwartego konfliktu między mną i Sinobrodym dochodzi trzeciej nocy po porodzie w naszym wspólnym pokoju.

Leżę na przystawce obok ich podwójnego łóżka, przy boku Hedviki (mała jest na poduszce między rodzicami); jeszcze nie śpię. Sinobrody, który najwyraźniej nie zrozumiał, że nowo upieczona matka wciąż potrzebuje mojej obecności i zrozumienia, nagle podpiera się na łokciach, nachyla się ku mnie nad swoją śpiącą żoną i szepcze wściekle:

– Mówię to niechętnie, ale pani obecność w moim życiu zaczyna wydawać mi się nieznośna.

Jego niespodziewany atak słowny, całkowicie ignorujący intymność i nabożność chwili, zastaje mnie nieprzygotowaną.

– Być może przy porodzie w normalnym szpitalu nie są respektowane podstawowe potrzeby emocjonalne rodziny, lecz z kolei pani absolutnie nie respektuje moich potrzeb! – syczy na mnie. – *Mojej* intymności! Ma pani głęboko w nosie *moje* uczucia!

Przygląda mi się nienawistnie. Oczywiście – zaczął być zazdrosny.

Jak wszyscy mężczyźni, którzy uważają żonę za swój nietykalny majątek i którzy nie wiedzą, że kochać nie znaczy posiadać, odmawia dzielenia się Hedviką. Męczy go egoistyczne poczucie, że jem z jego talerza. Hedvika się budzi, ale on już wpadł w pasję i nie zwraca uwagi na żonę i dziecko.

– Pod pretekstem pomocy bliźnim zaspokaja pani swoje własne potrzeby. Pani małżeństwo się rozpadło, czemu w ogóle się nie dziwię,

więc wykorzystuje nas pani jako zastępcze źródło emocji. W domu odłączyli pani prąd, więc podłączyła się pani do nas na czarno.

Hedvika mruga wystraszona.

– Co też pan mówi! – staram się uśmiechać.

– Wie pani, kim pani jest? Grubym ucieleśnieniem moich najgorszych wyobrażeń na temat podstępnego militarnego feminizmu!

Słowo „grubym" dotyka mnie straszliwie. To najgorszy rodzaj agresywnego męskiego prostactwa. Owszem, mam rozłożyste ciało – tak jak moi przodkowie. Zdanie wygłoszone przez Sinobrodego oznacza dalekosiężny atak nie tylko na mnie, ale też na moich bliskich, którzy już zmarli, jak również tych, którzy przyjdą po mnie. Na szczęście Hedvika natychmiast wyczuwa skalę mojego wewnętrznego zranienia. Ostrożnie siada i obejmuje mnie. Śpiewamy cichą, płaczliwą pieśń za moje ciało, któremu nie jest dane się radować, i razem się kołyszemy.

– W ten sposób nie spali pani zbyt dużo kalorii – drwi ze mnie Mojmir. – Musi się pani więcej ruszać. Uruchomić mięśnie brzucha.

Mój szloch się wzmaga. Hedvika spogląda na Mojmira tak, że wreszcie milknie, a potem ta dobra dusza też się rozpłacze. Nie bój się płakać, siostro – myślę. Płacz stworzy rzekę wokół twej duchowej łodzi i przeniesie ją przez skały i mielizny na jakieś lepsze miejsce.

– Wspaniale! – wścieka się Mojmir. – Dokładnie tego brakowało do pełni doskonałości: dwie nieszczęśliwe zapłakane kobiety! Finał! Smyczki!

– Pan nigdy nie zrozumie, jak ciężko być kobietą! – krzyczę na niego.

– Ha! I znowu to samo! Los kobiety! – ryczy Mojmir i oczywiście zaczyna cytować swoją ulubioną książkę. – Ileż w pełni osobistych klęsk chowa się jak kurczaki pod wielką kwoką wszechobecnego kobiecego nieszczęścia? Rozumie pani, madame? Nie trzeba szukać błędów u siebie,

prawda? Przecież za pani zwały tłuszczu odpowiedzialna jest kobieca niedola.

I tak dalej.

Zatem baby blues w kolejnych dniach śpiewamy razem obie. Wzajemnie się pocieszamy.

(Mojmir później obłudnie zaprzecza, że był aż tak surowy.

– Nigdy nie powiedziałem „grube ucieleśnienie"! – broni się. – Zdecydowanie nie!

– Niestety ja zapamiętałam to właśnie tak.

– Robi pani ze mnie większego głupca niż jestem – kręci głową. – Nie jestem mizoginem i pani dobrze o tym wie. Przypisuje mi pani poglądy, których nie wyznaję, jak również słowa, których nigdy nie wypowiedziałem.

– Nawzajem – odcinam się.

– Pani przesada jest wręcz absurdalna. Co pani nie pasuje, to pani przemilczy. Chciałbym przypomnieć, że półprawdy stanowią element kłamstwa!

– A ja chciałabym przypomnieć, że takie półprawdy nazywa się sztuką fabulacji. Powinien pan coś o tym wiedzieć.)

Rankiem po opisanym wyżej incydencie do Vrchlabí przyjeżdża Feliks; Mojmir idzie go zakwaterować w pensjonacie – i przez pozostałe dwa dni z nim tam zostaje, więc podczas gdy my kąpiemy wieczorem Sarę w rumianku, oni w jakimś barze w Szpindlerowym Młynie dosłownie kąpią się w szampanie (nazajutrz cały dzień rzygają). Mężczyźni… Czy trzeba cokolwiek dodawać?

Hedvika kocha Mojmira, lecz miłością naturalnie darzy również mnie. Potrzebuje nas obojga. Kiedy zbliża się koniec naszego pobytu na oddziale położniczym, jest coraz bardziej rozdarta. Są w niej dwie kobiety: zewnętrzna osoba i wewnętrzna criatura.

– Istota zewnętrzna żyje w świetle dnia; jest praktyczna i cywilizowana. Dzięki niej dzwonisz do ojca, odpowiadasz koleżankom na SMS-y i tak dalej – wyjaśniam jej. – Natomiast criatura przebija się na powierzchnię z bardzo daleka. Pojawia się nagle i równie szybko znika, ale zawsze wnosi coś oryginalnego i znaczącego.

– Dokładnie tak – komentuje zgryźliwie Mojmir. – A ja wam powiem, co: oryginalną i znaczącą degradację roli męża.

W dniu odjazdu Hedvika pyta Mojmira, czy na czas połogu mogłabym zamieszkać u nich w domu. W pokoju gościnnym naturalnie.

– Jedynie po moim trupie! – reaguje zgodnie z oczekiwaniami.

Hedvika taktycznie zwraca mu uwagę na to, że w nadchodzących tygodniach ma kilka spotkań autorskich w kraju i za granicą, więc i tak prawie nie będzie go w domu.

– Ale tu chodzi o zasadę – spiera się Mojmir. – Dlaczego miałaby u nas zamieszkać?

Moja obecność przy tej rozmowie w ogóle go nie krępuje. Wstyd mi za niego.

– Żebym nie była sama – mówi Hedvika. – To chyba oczywiste, prawda?

Wykorzystuję jego chwilową defensywę, by poinformować go, że umiem poradzić sobie z ewentualną depresją poporodową, potrafię pomóc przy problemach z karmieniem piersią i mogę nauczyć Hedvikę wiązać chustę.

– Wiązać chustę?

Jego głos brzmi pusto. Hedvika wyjaśnia mężowi, że chodzi o noszenie dziecka w chuście indyjskiej.

– Nie da się tego nauczyć przez telefon?

– Nie da – Hedvika uśmiecha się pobłażliwie. – Przez telefon naprawdę nie da się tego nauczyć.

Mojmir zamyka oczy. Zrozumienie dwoistej natury kobiety skutkuje czasem tym, że mężczyźni zamykają oczy i wzywają na pomoc niebiosa. Oddycha głęboko. Po chwili rozchyla powieki i spogląda na mnie.

– Żeby doszło do wtajemniczenia Wasylisy, musi ona odwiedzić Babę Jagę – mówi bardzo powoli, z wyraźną samokontrolą. – Podczas sprzątania u czarownicy uczy się, jak sprzątać własne przestrzenie duchowe. Uczy się służenia irracjonalności, co jest do życia niezbędne, prawda? Pozwolić umrzeć temu, co ma umrzeć. I tak dalej. Bla bla bla. To byłbym jeszcze w stanie zrozumieć, gdybym wcześniej spożył kilogram bielunia. – Nagle podnosi głos: – Ale nigdzie w tej pani książce nie wyczytałem, żeby Baba Jaga wprowadzała się do Wasylisy! Nie ma tam o tym ani słowa!

Dzielnie wytrzymuję jego oskarżające spojrzenie. Jestem zdecydowana, by nie pozwolić oddzielić się od swojej wiary w instynkt. Hedvika gładzi go po potylicy.

– To tylko na kilka tygodni – mówi pojednawczo.

Mojmir zawyje i kładzie głowę na jej nabrzmiałe piersi.

– Czyli coś jakby tymczasowe stacjonowanie wrogich wojsk – raczej stwierdza, niż pyta.

Jednego nie można mu odmówić: intuicji.

Obecnie mieszkam u nich siódmy rok.

VIII

– Sam sobie gotuję z tego co sam kupię, aż dziw, że jeszcze nie mam tego w dupie – mówi Feliks.

Mojmir słyszał to już setki razy. Na dworze zaczyna siąpić. Mojmir wstaje, przechodzi przez pokój i zapala światło. Potem znów siada. Butelka wypita.

– Spadamy stąd? – pyta Feliksa.

– Po co?

– Psychologowie to polecają: wyjście z mieszkania. Przy depresji.

– Nie wiem. Raczej nie.

Obaj milczą.

– Diabeł morski, znasz go? – odzywa się po chwili Mojmir. – Ryba.

– Nikt nas sobie nie przedstawił.

– Samiec w ciągu życia przyrasta do samicy tak bardzo, że w końcu traci całą swoją odrębność i staje się jedynie jądrami na jej ciele…

– No i?

– Niczego ci to nie przypomina?

– No dobra – mówi Feliks. – Spadamy.

Dzwoni po taksówkę. Jadą do centrum i wysiadają pod winiarnią Monarch. Wchodzą do środka i rozglądają się. Siedzą tu między innymi

cztery rozkoszne kobiety koło trzydziestki; jedna z nich rozpoznaje Mojmira, lecz on celowo wybiera stolik na drugim końcu sali i na dodatek siada do nich plecami. Cztery kobiety w kupie za bardzo przypominają mu Centrum Matki. Zamawia Brunello di Montalcino z winnicy Banfi i talerz serów francuskich. Pada coraz mocniej. Feliks jest wyraźnie zadowolony: jeszcze kilka godzin temu sądził, że czeka go całkowicie samotne popołudnie i wieczór, a teraz jego plany na najbliższą przyszłość wyglądają dość obiecująco. Lecz Mojmir nie potrafi się rozluźnić. Ma poczucie winy, że nie jest z dziećmi, że nie chroni ich przed tym deszczem – nie wiadomo dlaczego dręczy go wizja, że gdzieś teraz mokną. By ponownie rozdmuchać swój wątły płomyczek oburzenia, w duchu przypomina sobie niektóre krzywdy, które wyrządziła mu Hedvika w ostatnich dniach i miesiącach.

– A ta baba z wami też je? – pyta Feliks, żeby coś powiedzieć. – Codziennie je z wami obiad i kolację?

To dobry temat do odnowienia sprawiedliwego gniewu.

– Nie zawsze. Dzięki Bogu czasem gdzieś rodzi albo kogoś szkoli i nie ma jej nawet przez tydzień. Ale kiedy jest w domu, je z nami nawet śniadania.

– Boże daj cierpliwość.

– Ale wszyscy ją uwielbiają, rozumiesz? Moja żona ją uwielbia, moje dzieci ją uwielbiają, sąsiedzi ją uwielbiają… Najwyraźniej jestem jedynym człowiekiem, który jej nie znosi.

– Można powiedzieć, że masz swoje powody.

Mojmir przytakuje.

– Nasi goście ją uwielbiają! – mówi z niedowierzaniem. – Wprawdzie kiedy do nich dotrze, że ta kobieta z nami mieszka, są na początku trochę zmieszani i nie wiedzą, co o tym myśleć, ale potem wszystkim wydaje się to wspaniałe… Zawsze!

– Mnie się to nie wydaje wspaniałe.

– Listonoszka ją uwielbia! – krzyczy Mojmir tak głośno, że obsługa obraca się w stronę ich stolika. – Kiedy wychodzę do niej ja, jest wyraźnie zawiedziona. Kiedy po pocztę idzie ona, listonoszka rozmawia z nią spokojnie nawet pół godziny.

– Hm.

– Stoją razem przy furtce, wskazują na nasz dom, czyli pośrednio na mnie, i śmieją się!

Wydaje się, że stosunki doul i listonoszek niezbyt Feliksa interesują. Jego spojrzenie podejrzanie często wraca do czwórki kobiet.

– Poznały cię.

– Zapomnij o tym – mówi Mojmir.

– Nawet na chwilę?

– Dziś naprawdę nie. Na spotkanie autorskie nie mam siły.

Po wypiciu pierwszej butelki Feliks zamawia Château Margaux Premier Cru 2000.

– Lahoutová się rozwodzi, wiesz? – informuje Mojmira.

– Słyszałem.

– Harry też jest już rozwiedziony.

– Zdarza się.

– A jak teściowa?

– Wypuszczą ją po połowie odsiadki – mówi Mojmir z winem w ustach. – Za dobre zachowanie.

Feliks się śmieje.

– W końcu to nauczycielka.

Piją w milczeniu. Mojmir obserwuje krople na oknie.

– A milczące kobiety? – mówi Feliks. – Na milczące kobiety masz nastrój?

– Masz na myśli milczące kobiety nagie?

– No.

– Nie. Sorry.

– Przejdzie ci.

Jedzą kolację w restauracji Kogo, a potem przenoszą się do pobliskiego klubu ze striptizem. Żaden z nich nie jest tu po raz pierwszy. Mojmir patrzy na wysoką brunetkę na scenie i rozgląda się po ciemnej pustawej sali. Łącznie siedzi tu dziewięciu mężczyzn.

– Stowarzyszenie trutni – mówi półgłosem.

Jeden z mężczyzn niezdecydowanie podnosi rękę na przywitanie. Mojmir się śmieje. – Uszanowanie, doktorze! – woła.

– To mąż tej baby – wyjaśnia Feliksowi. – Zamów coś strasznie drogiego, a ja w tym czasie się z nim przywitam.

IX

Na długiej liście rzeczy, o które obwinia mnie Mojmir, jedno z głównych miejsc zajmują problemy z seksem. Naturalnie, podobnie jak inne zarzuty, ten również jest nieuzasadniony. Owszem, czasem rozmawiamy z Hedviką do późna, a kiedy mam miesiączkę, bywam na tyle nadwrażliwa, że muszę mieć przy sobie kogoś bliskiego, ale z drugiej strony mam wystarczająco dużo taktu i rozsądku, by nie mieszać się do ich życia intymnego. Mojmir oczywiście uważa inaczej.

– Jeśli połączymy nieodpowiednią konstelację luny, menstruację, grzybicę mojej żony i miesiączki douli, na seks małżeński pozostaje nam jeden jedyny dzień w miesiącu – opowiada nasz prozaik Feliksowi.

Jak zwykle przesadza. Zresztą pół roku po narodzinach Sary Hedvika ponownie zachodzi w ciążę.

– Czy poczęcie niepoprzedzone praktycznie żadnym seksem można określić jako niepokalane? – pyta Mojmir swojej żony, kiedy słyszy tę radosną nowinę. – Ciekawiłoby mnie, czy Kościół dopuszcza w tej kwestii jakieś ułamki tolerancji. Bo jeśli tolerowałby ćwierć seksu tygodniowo, powinnaś ubiegać się o beatyfikację.

Twierdzi, że mogłaby objawiać się młodym dziewczynom. On i Feliks chodziliby na czele procesji świętej Hedviki.

I tak dalej.

Jako główna przedstawicielka ogólnonarodowej kampanii Popieram Poród Naturalny podejmuję taktyczną decyzję o wykorzystaniu wątpliwej sławy pana pisarza do propagowania tej akcji.

– W żadnym wypadku – gasi mój zapał Mojmir. – Niech pani o tym zapomni.

Natomiast Hedvika jest tym pomysłem zachwycona. Długie tygodnie przekonuje Sinobrodego, żeby tak się przed tym nie bronił. Dlaczego nie chce przysłużyć się ewidentnie dobrej sprawie? Być może tysiące czeskich kobiet nawet nie wie, że można rodzić bez stresu, pośpiechu i lewatywy! Iluż kobietom zaoszczędziłby blizn po cesarskich cięciach i nacięciach krocza, ile dzieci przyszłoby na ten świat bez szoku, w całkowitym spokoju, wprost na piersi swej kochającej matki? Na szczęście Mojmir nie należy do całkowitych idiotów, którym pyszałkowatość uniemożliwia przyjęcie do wiadomości faktów potwierdzonych statystykami. Racjonalne argumenty zazwyczaj do niego docierają, więc w końcu zgadza się bez przekonania.

Kiedy jednak pół roku później przed drzwiami oddziału porodowego wita go jedenastoosobowa grupa przedstawicieli mediów, traci nerwy. Prowadzimy trudne rozmowy negocjacyjne: *kretyni z gazet bulwarowych* muszą natychmiast zniknąć, więc akredytację na poród otrzyma jedynie sześciu dziennikarzy z tak zwanych poważnych czasopism. Fotografowanie Mojmir surowo ogranicza do zdjęć przed porodem i po porodzie.

– Bez zdjęć z porodu to nie ma sensu – sprzeciwiam się.

Hedvika mnie popiera. Mojmir chwyta ją za łokieć i odciąga na bok.

– Naprawdę chcesz tym wszystkim facetom pokazać swojego nieogolonego bobra? – szepcze jej w takim szale, że większość obecnych to słyszy.

Cóż dodać? Troglodyta w marynarce od Armaniego.

– Robimy to w słusznej sprawie – zapewnia go Hedvika, a ja razem z nią.

Dziś Mojmir twierdzi, że to właśnie altruizm jest jednym z powodów rozpadu jego małżeństwa.

– W słusznej sprawie, to są kluczowe słowa – krzyczy na swoją żonę. – Wszystko, czym szkodzisz naszemu małżeństwu, robisz w tak zwanej słusznej sprawie! W słusznej sprawie rozmawiasz przez telefon pięćdziesiąt razy dziennie, w słusznej sprawie padasz ze zmęczenia, w słusznej sprawie całkowicie zapominasz, że istnieję!

Od kiedy narodziła się Basia, Hedvika całą swoją miłość, energię i czas poświęca dzieciom, więc Sinobrody czuje się odtrącony. Staje się milionowym przegranym w odwiecznej walce oksytocyny i prolaktyny (w którym matczyny hormon prolaktyna oczywiście zwycięża zawsze).

– Po pierwszej kwarcie przegrywam dziewięć zero – mówi Feliksowi.

W tym okresie prolaktyna jest drugim największym wrogiem Mojmira (zaraz po mnie). Ulega on nawet bezpodstawnemu przekonaniu, że Hedvika cierpi na zakłócenia równowagi hormonalnej i ma wielki niedobór oksytocyny, więc trzeba będzie podawać ją jej w zastrzykach (na szczęście ginekolog ma na tyle rozumu, żeby przy piwie wyperswadować mu ten pomysł).

Hedvika co wieczór masuje dziewczynki różnymi olejkami aromatycznymi.

(Nasycenie dziecka dotykiem jest równie ważne jak dbanie o jego żołądek – czyta Mojmir w podręczniku masażu niemowląt.)

– Mnie od ślubu masowała zaledwie dwa razy, ale nasze dzieci masuje codziennie! – skarży się Feliksowi.

– Na co to pomaga?

– Powiem ci: limfa krąży w nich jak górski potok, więc za trzydzieści lat zostaną dyrektorkami banków, ewentualnie malarkami światowej sławy. Jeśli bowiem znasz odpowiednie techniki ucisku i masz odpowiedni olejek, możesz nawet z małego beztalencia wymasować przyszłego prezydenta!

I tak dalej.

Basia, tak jak przedtem Sara, chodzi na kurs pływania dla niemowląt. Pierwsze lekcje odbywają się w domu pod okiem instruktorki. Na kolejne Hedvika jeździ na basen do Pragi. Dwudziestopięcioletnia instruktorka ma całkiem ładną powierzchowność (jeśli staniecie obok niej przed lustrem, będziecie mieć ochotę podciąć sobie żyły). Ponadto za każdym razem rozbiera się do podkoszulka ze skandalicznie głębokim dekoltem, więc kiedy wykonuje z dzieckiem wszystkie te zanurzenia i kołysania, piersi dosłownie wypadają jej do wody. Pan pisarz oczywiście uczęszcza na lekcje z niezwykłym zapałem, a nawet otwarcie z instruktorką flirtuje. Wątpię, czy zauważyłby, gdyby Basia zaczęła się topić. Hedvika naturalnie przejrzała prawdziwą przyczynę jego zainteresowania pływaniem dla noworodków, ale, o dziwo, nie przeszkadza jej to.

– Spokojnie, niech sobie popatrzy – mówi prostodusznie.

Martwię się o nią. Dostrzegam drzewo tam, gdzie ona widzi tylko nasionko. Podniecanie się w obecności własnej żony sutkami nauczycielki pływania wydaje mi się skrajnie niesmaczne i bez ogródek mówię o tym Mojmirowi. Jak zwykle mnie wyśmieje.

– Jasne. Jeśli kobieta poczuje pożądanie, to ma motylki w brzuchu, tak? Jeśli to samo pożądanie poczuje facet, to jest świnią… No więc gdzie jest to wasze równouprawnienie?

Nie wiem, skąd bierze się w nim ta zuchwałość, by w ogóle porównywać pożądanie kobiety i mężczyzny. Mam dziwne przeczucie. Czuję je w los

ovarios. Jestem Matką Wieków i nie zaskoczy mnie nic – ale niestety swoimi obawami z nikim się nie podzielę.

Nawet się nie obejrzymy, kiedy pierwsze wilczątko skończy cztery lata, a drugie trzy. Pierwotne wyobrażenia Mojmira na temat ojcostwa zaczynają zgodnie z oczekiwaniami (moimi) rozmijać się z rzeczywistością. Kiedy urodziła się Sara i Basia, marzył o tym, jak za parę lat wsadzi je do swojego volvo i zabierze na wycieczkę. Wyobrażał sobie, że będą grzecznie siedzieć w fotelikach, podziwiać krajobrazy i ładnie się przy tym uśmiechać. Obie będą pięknie ubrane i uczesane. Mojmir będzie przyglądać się im w lusterku wstecznym, a na dłuższych prostych odcinkach drogi odwróci się i wesoło puści do nich oko. Dziewczynki co jakiś czas zadadzą jakieś mądre pytanie, które go rozbawi. Pasażerowie pozostałych aut będą ich obserwować ze wzruszeniem i zazdrością.

W rzeczywistości wygląda to następująco: dziewczynki na żadną wycieczkę nie mają ochoty. Chcą zostać w domu i oglądać bajkę o Dzwoneczku. Kiedy Mojmir wkłada je do auta, marudzą albo wręcz się wyrywają. Cała kurtka Basi jest brudna, bo w tej czystej wyrwał się zamek. Sara nie umyła zębów. Ani jedna nie jest uczesana. Przez całą drogę uparcie milczą lub sprzeczają się z nim. Jeśli akurat wyjątkowo mają dobry humor, zadają nieznośną ilość infantylnych pytań. Śpiewają! Hałasują! Kopią w siedzenia, wyrywają kartki z atlasu samochodowego i rozmazują po szybie białą czekoladę, którą mimo wyraźnego zakazu Mojmira przemyciły do auta. Mojmir musi się do nich odwracać nawet na krętych, niebezpiecznych odcinkach. Chce się im pić i jeść. Muszą się wysikać, zrobić kupę, zwymiotować.

Mojmir jest rozczarowany. Kiedy wieczorem układa je do snu, wygląda tak, jakby na całej planecie nie było ojca, który kochałby swoje dzieci mocniej i bardziej bezinteresownie niż on. Lecz pozory mylą. Jego miłość

do dzieci jest pełna wahań i alibizmu. Po co miałby się starać, skoro opłaca Hedvice nianię (mnie)? No i te jego szowinistyczne teorie: do równouprawnienia ojcostwa i macierzyństwa doprowadzono według niego sztucznie, nie istnieją ku temu żadne przesłanki biologiczne. Ojciec nie zacznie czuć do swoich dzieci miłości tak spontanicznej jak ich matka tylko dlatego, że życzą sobie tego feministki… Ojcowie nie są męskimi matkami i on nie zamierza udawać nic podobnego. Będzie sobą. Będzie bawić się z dziećmi tylko dwie godziny dziennie.

I tak dalej.

Później jego nicnierobienie osiąga szczyt – przestaje się nawet wykręcać. Już nawet nie dyskutuje. Nie tylko nie trudzi się, by ugotować dzieciom obiad czy zabrać je na całodzienną wycieczkę, on już nawet nie stara się wyjaśnić, dlaczego tego nie robi. Poddaje się. Zamyka się w swoim pseudoartystycznym wnętrzu. Milczy. Nie mówi – pisze. Jak inni mężczyźni chodzą na ryby lub sklejają modele samolotów z drzewa balsowego, tak Mojmir w swoim domowym warsztacie produkuje papierowe bestsellery. Jego życie zostało zastąpione przez hobby. Zamiast otworzyć się na niezmierne bogactwo i piękno świata, zajmuje się majsterkowaniem literackim na piętnastu metrach kwadratowych. Wprawdzie twierdzi, że na wygnaniu do skromnie urządzonej pracowni znalazł się przeze mnie, ale świadomie okłamuje Hedvikę, mnie i samego siebie. Nie stracił żadnego domu, jego jedynym prawdziwym domem zawsze była, jest i będzie pracownia. Zamykałby się w niej na całe dnie, nawet jeśli mnie by tu nie było – we mnie znalazł jedynie wygodną wymówkę.

Izoluje się w pracowni podobno również dlatego, że obecny stan domu strasznie go irytuje. Wiadomo od zawsze, jak kocha porządek, harmonijne przestrzenie i czyste linie, ale teraz, kiedy tylko wstanie z łóżka, musi

brodzić w porozrzucanych zabawkach, koralikach, zapiekanym müsli, homeopatykach, literkach magnetycznych, foliach, pudełkach po ekoherbatnikach i wiklinie do robienia koszyków. Nie może sobie nawet umyć tyłka, bo albo w łazience jestem ja, albo w bidecie suszy się osiem pluszowych zwierzątek, które żona pozwoliła dzieciom wziąć do wanny. Mojmir z westchnieniem idzie do kuchni, lecz żeby zjeść śniadanie i przeczytać gazetę, musi najpierw pozbierać ze stołu ścinki tkanin i sznurków, kolorowe gumki do włosów, kilka patyczków do uszu, klej i gipsowe odlewy śladów zająca. Chi chi. Ponieważ wystrój domu zrezygnowany pozostawił żonie (podobno nie miał siły walczyć o każdy kawałek ściany czy półki), jego wzrok musi teraz stawić czoła świecznikom i świeczkom, lampionom, moździerzom, różom z papieru, suszonej lawendzie, agatom, chalcedonom, muszlom i kamyczkom z plaż, zdjęciom dzieci, zwierząt i latarniom morskim w skórzanej ramce.

– Nie uważam się w tym temacie za specjalistę – cytuje Hedvice Grahama Greena – ale mam wrażenie dużej koncentracji bezguścia.

Jak to się stało, że jego dom (praskie mieszkanie nie wygląda wcale lepiej) stał się dziwacznym połączeniem klasy szkolnej, willi w Prowansji i Starego Bielnika (babunia to ja?**) – pyta Mojmir sam siebie. Gdzie popełniłem błąd? Jak mogłem do tego dopuścić? Nie wie. Przerasta go to wszystko. Nawet jego analityczne myślenie nie pomaga mu w rozwiązaniu tak złożonego problemu. Bo czy w takim burdelu da się myśleć?

Nie będzie tym małym tyranom usługiwać – oświadcza. On nie. Nie zamierza ulegać modnemu kultowi dziecka. Owszem, kocha je ponad wszystko, na świecie nie istnieje nic, co byłoby dla niego ważniejsze niż Basia, Sara i Hedvika (oczywiście oprócz pisania – dodaję w duchu) i stara się zapewnić im najlepsze możliwe warunki życia, ale odmawia zmienienia się w owcę, która codziennie sama podrzyna sobie gardło przed ołtarzem

Wielkiego Dziecka… Za rozsądny stopień samoofiarowania uważa dwie-trzy godziny dziennie, a to i tak jest szalenie dużo.

Hedvika cztery razy w tygodniu wozi obie córki na zajęcia (angielski, tenis, ceramika i szkoła muzyczna), a w weekendy prawie zawsze zabiera do jakiegoś muzeum, zamku, teatru lub na wystawę. Regularnie jeździ też z nimi do aquaparków, IQ parków, dinoparków, parków linowych i miasteczek westernowych. Przecież ciągle dzieje się coś ciekawego. Na przykład pokaz rzemiosł średniowiecznych. Jeśli macie oczy szeroko otwarte, zrozumiecie, że świat to cudowne, czarujące miejsce. Hedvika ma oczy otwarte: serfuje po Internecie i wypisuje sobie, kiedy odbywa się bal karnawałowy dla dzieci, gdzie najbliżej można pojeździć na kucyku i kiedy w naszej okolicy pojawi się lokomotywa parowa. Nieprzypadkowo jej ulubiony portal internetowy nazywa się: Uciec przed nudą. Dokąd uciec przed nudą? Tu Mojmir nie ma wątpliwości. W lewo i parę kroków prosto.

I jest w pracowni, gdzie nie nudził się jeszcze nigdy.

Pan pisarz zabiera swoje kochane dzieci raz w miesiącu do kina na jakiś rodzinny film (podczas którego opychają się popcornem) i co jakiś czas czyta im bajkę lub wymyśla jakąś prymitywną zabawę – i to wszystko. Czego od niego chcemy? Żeby jeździł na wystawy kalarep? Żeby sprawdzał w Internecie, kiedy w ośrodku wychowania ekologicznego Toulcův Dvůr, w tym *meeting poincie praskich ekożon*, narodzi się kolejne koźlątko?

Podczas gdy on się wykręca, Hedvika (tak jak ją nauczyłam) podtrzymuje ogień pod swoim życiem twórczym. Gotuje coraz oryginalniejsze potrawy. Angażuje się w coraz więcej rzeczy, więc logicznym jest (owszem, kobieta również jest zdolna do elementarnej logiki), że pojawia się konieczność odpowiedniego gospodarowania czasem. Planowania. Zgodnie z moją wskazówką zaczyna więc korzystać

z MaMy Kalendarza, który w odróżnieniu od tych wszystkich egoistycznych menadżerskich kalendarzy z prawdziwej skóry jest zrobiony z papieru podlegającego recyklingowi, a przede wszystkim ma oddzielne tabelki również dla pozostałych członków rodziny. Nie znajdziecie w nim wprawdzie kursu jena japońskiego ani międzynarodowych numerów kierunkowych, ale zawiera za to fazy księżyca, dokładny czas wschodu i zachodu słońca, rozkład zajęć oraz na każdy tydzień jakieś duchowe motto, które Sinobrody zazwyczaj stara się obrócić na swoją korzyść.

– Jestem kobietą i jestem tu po to, żeby trzymać rodzinę razem – cytuje żonie na przykład Fitzgeralda. – Masz to w kalendarzu, więc to rób, na Boga.

I Hedvika to robi – tylko trochę inaczej, niż to sobie wyobraża on. Jej zaraźliwy zapał naprawdę łączy rzeczy i ludzi. Poznaje Jovankę i Ksenię, dwie sympatyczne mamy, które mają łącznie siedem latorośli w wieku zbliżonym do Sary i Basi, i na większość wyjazdów zaczynają jeździć razem. Oczywiście jestem trochę zazdrosna, ale zawsze przypominam sobie, że jeśli nie chcę stracić Hedviki, muszę pozwolić jej na wystarczającą swobodę. Pan pisarz też zna tę podstawową psychologiczną prawdę, tyle że jakoś nie potrafi wprowadzić jej w życie, więc cierpi i odreagowuje to tak, że obie koleżanki żony obgaduje przy Feliksie.

– Nasze czasy są według pani Jovanki nerwowe, egoistyczne i bezduszne, więc koniecznie należy odnowić stare dobre tradycje. Trzeba wrócić do lat, kiedy życie miało swój porządek i ustalone rytuały, ludzie chodzili powoli, witali się ze sobą miło i nie robili zakupów w hipermarketach. Nieważne, czy byli to starzy Słowianie, starzy Rzymianie, Celtowie, Wikingowie, Toltekowie, Siuksowie, czy Tuaregowie.

Feliks uśmiecha się prześmiewczo (wyobrażam sobie).

– Bowiem Jovanka nie boi się łączenia zwyczajów całkowicie odmiennych kultur. Tylko takie kobiety jak ona potrafią jednego dnia oskubać i upiec gęś na Dzień Świętego Marcina, a z jej pierza zrobić dzieciom wierną kopię pióropusza plemienia Nawaho.

Ksenia ma pięcioro dzieci i jest rozwiedziona, co – jak sądzą wszyscy oprócz Mojmira – jest sytuacją bardzo wymagającą, w której Ksenia radzi sobie nad podziw dobrze: jeździ z całą piątką dzieci na rowerach, swoim siedmioosobowym autem rozwozi je na aerobik, na basen i na aikido, i jeszcze ma czas, żeby uczyć się hiszpańskiego, pomagać niewidomym i trzy razy w tygodniu prowadzić zajęcia pilatesu.

– Przez trzy tygodnie radzi sobie z tym wszystkim nad podziw dobrze – uściśla sarkastycznie Mojmir. – A czwartego tygodnia regularnie przechodzi załamanie. I cykl się powtarza.

Wymowne jest to, że swój stosunek do Ksenii Mojmir opiera wyłącznie na tym, jaki jest aktualnie stosunek Hedviki. Jeśli Hedvika szczerze martwi się o koleżankę, Mojmir przynajmniej częściowo to podziela, lecz kiedy tylko w opinii żony zaczyna przeważać zachwyt i podziw, Ksenia zaczyna go irytować (tyle na temat rzekomej niezależności męskiego myślenia).

Jeszcze bardziej denerwuje go cała ta drobnica, której w jego domu jakby wciąż przybywało. Nie ma dwójki dzieci, nagle ma ich dziewięcioro – a jeśli z wizytą przyjdą jeszcze dzieci z sąsiedztwa, spokojnie może ich tam biegać i wyć choćby dwanaścioro! Mojmir już stracił orientację, które dziecko należy do której matki. Myli rodziców i wszystkie imiona. Zuzia? Amalka? Ester? Karolinka? Też nie? No to jak do cholery to dziecko ma na imię?! Czy ktoś wie?

Ucieka przed nimi. Przypomina sobie swoją sportową młodość i zaczyna regularnie biegać. Wprawdzie twierdzi, że musi poprawić

kondycję i wypocić stresy, ale wszystkie wiemy, że tak naprawdę jest to ucieczka.

Od coraz częstszych wizyt i wspólnie spędzanych weekendów jest już tylko krok do wspólnych urlopów. Sinobrody ich nie znosi, ale musiał podporządkować się tyranii większości. Jak każdy hedonista wcześniej jeździł nad morze *na luzie*, jak zwykł to nazywać – lecz właśnie ten luz (termin zastępczy dla dwutygodniowego walania się pod palmami i wyżywienia all inclusive) znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Jego jacht o nazwie Dolce Vita co roku atakuje banda małych piratów, którzy latają po tekowym pokładzie, wymiotują na skórzaną tapicerkę, brudnymi od słodyczy rękami mażą po przyciemnianych szybach i zrzucają nierdzewne pojemniki na szampana (ten jacht to tylko metafora). Mojmir nie ma gdzie się schować. Siedzi jak wygnaniec w hotelowym holu, ponieważ w jego apartamencie superior family suite dziewięciu małych szczyli właśnie urządziło sobie kącik dla dzieci.

I tak dalej.

A będzie gorzej.

** Odwołanie do miejsca, w którym rozgrywa się akcja powieści *Babunia* autorstwa Boženy Němcovej.

X

– No i jak tam, doktorze, jeszcze pan nie tęskni?

Mojmir od zawsze traktuje lekarzy bardzo uprzejmie, ale z mężem douli się nie patyczkuje. W końcu ta baba, która siedem lat okupuje jego dom, jest prawowitą małżonką doktora – myśli. Sześćdziesięcioletni anestezjolog robi urażoną minę.

– Rozmawia pan ze mną jak z człowiekiem, którego pies regularnie przekopuje się do pańskiego ogrodu.

– To niezwykle trafne porównanie. No to tęskni pan, czy nie tęskni?

Doktor uśmiecha się smutno.

– Oczywiście, że tęsknię, jeśli w ogóle jest pan w stanie uwierzyć, że ktoś może tęsknić za podstarzałą grubą feministką – podkreśla.

Mojmir naturalnie zauważa tę aluzję, ale nie daje zepchnąć się do defensywy.

– Niech mi pan nie wmawia, że przez wszystkie te lata był pan jej wierny – mówi. Wyciąga rękę w stronę nagiej dziewczyny na scenie, która właśnie kończy swój występ. – Że wystarcza panu tej hokej bez krążka.

– Niestety jestem monogamistą. Widok tych pięknych kwiatuszków raduje me nadwątlone serce, ale nigdy nie potrafiłem ich zerwać.

Mojmir nie wygląda na przekonanego.

– Panu z pewnością wydaje się to nie do pojęcia – dodaje doktor. – Jeśli przypomnieć sobie te wszystkie instruktorki pływania…

Bez wątpienia rozmawiają z żoną więcej, niż podejrzewałem – myśli Mojmir. Na scenę wchodzi ładna Słowaczka, z którą kiedyś Mojmir rozmawiał tu o swoich książkach.

– Ale panie doktorze, czy pan wie, że ja tych sytuacji nie wyszukuję? One mnie zawsze jakoś znajdą same. Zanim zacznie pan wygłaszać przepełnioną zgorszeniem tyradę: nie sądzi pan, że można by to uznać za okoliczność łagodzącą?

– Nie.

– Proszę posłuchać, ja mam w miarę silną wolę. Oprę się czekoladzie na wystawie, umiem sobie jej odmówić nawet wtedy, gdy leży na półce w kuchni, ale kiedy ktoś tę czekoladę rozpakuje i podsunie mi pod nos, po prostu nie wytrzymam i ją ugryzę… Naprawdę tak trudno to zrozumieć?

– Zrozumieć nie. Lecz trudno usprawiedliwić.

– Panie doktorze, piękna dziewczyna dwa razy w tygodniu dosłownie machała przede mną cyckami w wodzie… Pan by się oparł?

– Niestety tak. Kocham swoją żonę.

– Ja też. Ale na nieszczęście jedno nie wyklucza drugiego.

– Przyznaję, że mój przypadek może być beznadziejny.

– To dlaczego nie przekona jej pan wreszcie, żeby do pana wróciła?

– Przecież pan wie, że próbowałem wiele razy.

Jak miało to już miejsce przy poprzednich spotkaniach z mężem douli, oburzenie Mojmira powoli ustępuje i w końcu zaczyna być mu żal tego opuszczonego biedaka.

– Dlaczego my im nie wystarczamy? Panie doktorze, niech mi pan powie: dlaczego facet dziś kobietom nie wystarcza?

– Gdybym to wiedział, zostałaby ze mną.

Z tym nie można się nie zgodzić – przyznaje w duchu Mojmir.

– Co robimy źle?

– Wiele rzeczy. Chcemy przesadnie dominować. Poniżamy je. Przywłaszczamy je sobie. Zamykamy je w złotych klatkach. Nie słuchamy ich. Zbyt dużo milczymy. Rozkazujemy. Zakazujemy. Jesteśmy zazdrośni. Niestety w większości spraw kobiety mają rację. Jesteśmy im winni historyczne przeprosiny.

– Pan już też jest zainfekowany.

– Osiemdziesiąt procent przestępstw związanych z użyciem przemocy popełniają mężczyźni. Kobiety mają dwadzieścia pięć procent niższe wynagrodzenie niż mężczyźni na tych samych stanowiskach. I tak dalej.

– Ja żadnych przestępstw nie popełniam. Nie decyduję o wynagrodzeniach.

Słowaczka schyla się zwinnie po bieliznę i schodząc ze sceny macha do Mojmira porozumiewawczo. On odpowiada jej tym samym gestem i rzuca okiem na Feliksa, do którego przed chwilą przysiadła się drobna rudowłosa dziewczyna. U przechodzącej kelnerki zamawia drink dla siebie i doktora. Potem wypowiada pytanie, które zadaje sobie od siedmiu lat.

– Panie doktorze, dlaczego ona od pana odeszła?

Doktor najwyraźniej nie musi długo zastanawiać się nad odpowiedzią.

– Dwa wykluczające się spojrzenia na życie. Nasze poglądy permanentnie tworzyły mieszankę wybuchową, jak na przykład wodór i tlen. Atmosfera, w której żyliśmy, była śmiertelnie niebezpieczna.

– Poglądy na co?

– Prawie na wszystko. Sytuacja bez wyjścia.

– Na co konkretnie? Na przykład?

Doktor mlaśnie.

– Na przykład na poród w domu – odpowiada niechętnie. – Żona gorąco je propagowała, ja porównywałem je do samobójstwa w obecności położnej.

– Dziś już pan tak nie myśli?

– Dziś złagodziłbym to sformułowanie. Na przykład na rosyjską ruletkę pod okiem specjalisty.

– No tak – mówi Mojmir, jednocześnie obserwując kolejną striptizerkę (tej dziewczyny jeszcze tu nie widział). – W odróżnieniu od mężczyzn kobiety mają połączone obie półkule mózgowe, więc czasem po prostu dochodzi u nich do zwarcia. Być może to jest przyczyna.

Doktora to rozbawi.

– To oryginalne wytłumaczenie.

– Mam jeszcze jedno pytanie: czy miał pan kiedyś wrażenie, że pańska żona jest lesbijką?

– Na Boga, skąd to panu przyszło do głowy?

– Sam nie wiem – odpowiada Mojmir z lekkim napięciem w głosie. – Może stąd, że od siedmiu lat dzielę się z nią swoją żoną?

Doktor poważnieje.

– Może sprawia to takie wrażenie – przyznaje jakby przepraszająco. – Ale tak nie jest. Naprawdę nie.

– Czy ta sytuacja wydaje się panu normalna?

– A co jest normalne?

– Kiedy w zimie pada śnieg, a w lecie jest ciepło. Albo kiedy małe dzieci nie potrafią wymówić r. To jest normalne. Albo kiedy żona żyje z mężem, a nie z doulą.

Zresztą *normalne* to słowo kluczowe – mówi Mojmir doktorowi. W czasie, kiedy poznał Hedvikę, była całkowicie normalną dziewczyną. Kiedy odprowadzał ją do domu po pierwszej randce, zjedli na Placu Wacława kiełbasę. Oboje! Gdyby zaproponował jej to dzisiaj, stwierdziłaby, że zwariował. Czy naprawdę chce dobrowolnie opychać się karcynogenami? Po raz sto pięćdziesiąty poinformowałaby go, że w tej kiełbasie jest jedynie sześćdziesiąt procent mięsa. A i to nie jest pewne! I nie wiadomo jakiego! Prawie połowę składników kiełbasy stanowi zmielona skóra, ścięgna, kości, barwniki chemiczne, emulgatory, stabilizatory i inne świństwa. Oczywiście Mojmir ma na podorędziu dziesiątki innych przykładów.

– Kiedy po raz pierwszy ze sobą spaliśmy, normalnie wyciągnęła mi go ze spodni, normalnie wzięła go do buzi i za chwilę przeszliśmy do sedna. I o ile mnie pamięć nie myli, oboje byliśmy zadowoleni.

Anestezjolog odkaszluje z zakłopotaniem.

– Dziś chce ode mnie, jeśli już te dwa razy w miesiącu dojdzie do jakiegoś seksu, żebym najpierw wymasował jej stopy, pozapalał lampki aromatyczne i wymyśla inne tego typu bzdury! Nie twierdzę, że zapach mandarynki nie jest przyjemny, ale czy ktoś może mi łaskawie wytłumaczyć, jaki na Boga ma związek mandarynka z bzykaniem?!

Doktor wydaje z siebie krótki śmiech, lecz Mojmirowi to nie wydaje się śmieszne. Ani trochę. Co można widzieć zabawnego w tym, że jego żona jest dziś zupełnie innym człowiekiem niż dziewczyna, którą dziewięć lat temu poprosił o rękę? Czy to nie jest raczej przerażające? Tej nowej, wyemancypowanej kobiecie z pewnością by się nie oświadczył. Jednak najgorsze jest to – wyjaśnia zapalczywie doktorowi – że niestety również tę obecną, niezbyt pożądaną postać Hedviki wciąż kocha.

– Więc niech pan o nią walczy – motywuje go doktor. – Zanim będzie za późno. Niech pan nie popełni tego samego błędu co ja.

XI

Decydująca scena, która będzie miała wpływ na wiele kolejnych lat ich małżeństwa, rozpoczyna się niewinnie: Hedvika w typowym dla siebie pośpiechu odwozi obie córki na zajęcia teatralne i nie może znaleźć kluczyków do auta.

– Nie widziałeś ich gdzieś?

Mojmir przez chwilę przygląda się jej gorączkowemu bieganiu po domu, ale w końcu nie wytrzymuje, wstaje znad czytanej gazety, sięga do kieszeni płaszcza ogrodowego i z przesadnym obrzydzeniem grzebie palcami wśród ogryzków, zużytych chusteczek higienicznych, pomarszczonych kasztanów, pozostałości lizaków (w foliowym opakowaniu po chusteczkach) oblepionych szkiełkami z pierścionków, otoczaków działających przeciw zmęczeniu i nabijających Hedvikę energią, połamanych psich sucharów i używanych plastrów z obrazkami Kubusia Puchatka i małymi plamkami zaschniętej krwi. Przypadkiem są tu również kluczyki.

– Jesteś cudowny. Skąd wiedziałeś, że tam będą? – pyta Hedvika.

Gbur Mojmir stwierdza, że odpowiedź nie jest konieczna, i ponownie zasiada do gazety. Po powrocie Hedvika siada Mojmirowi na kolanach, co wyraźnie sprawia mu przyjemność. Mają całą godzinę tylko dla siebie (dzieci są na zajęciach, a ja w sanatorium).

– Kiedy kobieta po pięciu latach małżeństwa może wybrać między przedpołudniowym seksem i czytaniem, co wybierze? – sonduje delikatnie Mojmir. – Czytanie, prawda?

– Seks – odpowiada niespodziewanie Hedvika.

Mojmir chwyta ją za rękę i prowadzi po schodach na górę. Dom jest dziwnie cichy i opustoszały. Podczas gdy Mojmir myje nad bidetem żołądź i napletek (tę obrzydliwą i wybiórczą czynność mężczyźni nazywają ogólną higieną osobistą…), Hedvika uświadamia sobie, że kiedy obie córki dorosną, dom pozostanie cichy i pusty już na zawsze.

– Chciałabym mieć jeszcze jedno dziecko – wyznaje Mojmirowi tuż po stosunku (fabulacja sprawia mi przyjemność, ale Sinobrodego podczas kopulacji naprawdę nie zamierzam sobie wyobrażać).

Jak zawsze, kiedy informuje męża o czymś naprawdę istotnym, również teraz Hedvika na niego nie patrzy. (Kiedy mówi, że spaliła się żarówka albo że nie działa Internet, patrzy mi normalnie w oczy, ale kiedy prosi mnie o trzecie dziecko, wciska twarz w poduszkę – skarży się Mojmir.)

Sinobrody aż zadrży z przerażenia. Spogląda na żonę, by upewnić się, że cały jego płyn fizjologiczny co do jednego plemnika znajduje się tam, gdzie powinien: na szczupłych plecach Hedviki (czy ktoś może się dziwić lesbijkom?).

– Nie mówiłaś przypadkiem, że dwójka wystarczy?

– No tak, mówiłam, ale…

– Jedno dziecko to mało, dwoje to dużo – Mojmir cytuje jej Hřebejka.

Potem poważnieje.

– Troje dzieci to szaleństwo – mówi stanowczo. – Na troje dzieci po prostu nie wystarczy mi sił. Naprawdę.

Hedvika pojmuje definitywnie, że nie będzie mieć więcej dzieci. Została gwałtownie oddzielona od swojej najgłębszej natury. Jej najważniejsze kobiece sny są mordowane za fasadą bogactwa. Lecz właśnie w tym kluczowym momencie sprzeciwia się. Nieokiełznana siła jej kobiecej duszy przedziera się na powierzchnię: siada na łóżku i z zawzięciem spogląda Mojmirowi w oczy.

– W takim razie zostanę przynajmniej doulą! – krzyczy bezkompromisowo. – Zrobię sobie dwuletni kurs!

Oboje wciąż są nadzy, co nadaje walce ich poglądów niemal biblijnego charakteru. Z przymkniętym okiem jestem skłonna uznać, że doszło do zderzenia dwóch energii twórczych, choć są one oczywiście niewspółmierne: pan Gryzipiór rękami i nogami broni swojego wątpliwego *spokoju do pracy*, podczas gdy do Hedviki właśnie z impetem wpływa Rio Abajo Rio – dzika podziemna rzeka pomysłów. Spiętrza się w niej i szuka ujścia. Tworzenie jest jak olśniewający duch, który objawił się każdej z nas, lecz mimo to nie da się go opisać, ponieważ trudno ustalić wspólną wersję tego, co właściwie widziałyśmy w tym cudownym blasku.

– Pytasz mnie, czy mi to oznajmiasz?

– Oznajmiam ci to!

Nasz najpopularniejszy prozaik nie zdobywa się na odpowiedź. Żeby zyskać czas, czy może żeby sprawdzić, w jakiej fazie znajduje się obecnie luna i kiedy żona będzie mieć kolejną menstruację, bierze z szafki nocnej jej MaMy Kalendarz i otwiera go za pomocą szkarłatnej zakładki. Pierwsze, co widzi, to motto tygodnia autorstwa Olgi Tokarczuk: *zdałam sobie sprawę, że zawsze lepsze będzie to, co jest w ruchu, niż to, co w spoczynku; że szlachetniejsza będzie zmiana niż stałość; że znieruchomiałe musi ulec rozpadowi, degeneracji i obrócić się w perzynę, ruchome zaś – będzie trwało nawet wiecznie.*

Apostoł rozumu Mojmir, który dwa lata temu w Bolonii postawił swojej polskiej koleżance dwie absurdalnie drogie szesnastoletnie whisky, irracjonalnie odbiera to jako ordynarną niewdzięczność. Bezsilnie przegląda kalendarz.

Ma wrażenie, że spiskują przeciwko niemu wszystkie kobiety świata.

Z psychologicznego punktu widzenia wydarzyło się następujące: dzikuska w Hedvice zapragnęła kolejnego dziecka, ale ponieważ jej Rio Abajo Rio trafiło na betonową tamę kategorycznego NIE! wypowiedzianego przez Sinobrodego, nieokiełznana siła wody natychmiast znalazła sobie inne koryto.

Jeśli zostanie doulą – zrozumiała Hedvika – będzie mieć tyle dzieci, ile tylko zapragnie. I to bez Mojmira.

Jednak Sinobrody nie chce poddać się bez walki. Najpierw stara się wmówić żonie, że dwoje małych dzieci, dom i wielki ogród oznaczają taką ilość obowiązków, że Hedvika po prostu nie da rady zajmować się czymkolwiek innym. Podmywa jej wiarę w siebie. Stosuje metodę odłożenia na potem: jak dzieci trochę podrosną, to może wtedy… Zastawia pułapki: jeśli chodzi o dom i ogród, niniejszym udziela jej pełnomocnictwa na wszystko. Może sobie zamówić altanę, on za to zapłaci. Mogliby przestać kosić tylną część ogrodu i zrobić z niej piękną łąkę górską… Niech ten lubieżny Ogrodnik założy jej jeszcze jedno rozarium, nawet większe – ma jego błogosławieństwo. Albo nie – prawie krzyczy Mojmir – nie łąka górska, niech Hedvika zaprojektuje sobie medytacyjny ogród japoński!

Już sama zgoda na coś podobnego wymownie świadczy o stopniu jego obaw. Nasz mały książę obawia się, że Kopciuszek mógłby odkryć lepsze bale niż ten, który organizuje on.

– Prawie trzy tysiące metrów kwadratowych! – ponownie podkreśla wielkość ogrodu (w którym chce ją zamknąć). – Czy taka przestrzeń nie umożliwia wystarczającej kreatywności?

– Czyż to nie jest wystarczająco duży wybieg dla wilka? – włączam się po powrocie z sanatorium do jego kilkudniowego monologu.

– Pani niech łaskawie milczy, madame! Na szczęście pani nie ma tu prawa głosu, przynajmniej taką mam nadzieję. Zatem ta dyskusja pani nie dotyczy, jasne?

– Tak, Mistrzu.

– Skoro już tradycyjnie wspomniała pani o wilkach; czy wiedziała pani, że starzeją się wyjątkowo szybko? Nie? Pani nie wie, że szczyt ich sił przypada na wiek dwóch lat?

– Nie. A pan skąd to wie?

– Dokształciłem się specjalnie dla pani. I oto, madame, kolejny dowód na to, jakim bezsensem jest pani wilcza książka. W wieku pięciu lat wilki są staruszkami! Pięciu lat! Wilczyce oczywiście też. A ileż to pani ma lat?

Niemiłosiernie lustruje moją siwiznę i zmarszczki.

– Zaledwie kilka więcej niż pan – odpowiadam niewzruszona.

– Kobiety nie biegają dlatego, że są wilczycami, ale dlatego, że chcą schudnąć, co, mówiąc na marginesie, przydałoby się również pani. Nie stawiają uszu, mają w uszach empetrójki. Zresztą zapewniam panią, że nikt tu nigdy nie widział żadnego wilka. Jedynego wilka mam między pośladkami!

I tak dalej.

Jednak Hedvika z łatwością przejrzała jego podstępną taktykę, nawet bez mojej pomocy. Zapewnia męża, że bez problemu poradzi sobie z dziećmi, domem, ogrodem – i kursem.

– To tylko pięć weekendów w roku – uspokaja go. – I nie będzie tam ani jednego mężczyzny – dodaje, a w jej oczach pojawia się złośliwy błysk.

Mojmira ta informacja cieszy, ale udaje urażonego tym, że Hedvika przypisuje mu tak prymitywne uczucie jak zazdrość. Niemniej uznaje, że pięć z pięćdziesięciu dwóch weekendów to nie aż tak dużo. Już wie, że ostatecznie zgodzi się na kurs żony, ale chce ją jeszcze trochę pomęczyć.

– Nie jestem tym pomysłem zachwycony. Mam wątpliwości, ale oczywiście nie będę ci niczego zabraniać.

– No więc jak? – pyta Hedvika niezwykle prostodusznie. – Mogę się zapisać czy nie?

– Powierz to energii kosmicznej, jak radzi ci twój ulubiony Coelho – uśmiecha się złośliwie Mojmir. – Jeśli naprawdę będziesz tego pragnąć, cały wszechświat połączy siły, żebyś mogła to osiągnąć.

Popularnego brazylijskiego pisarza, którego żona Sinobrodego bardzo lubi, on nie cierpi z całego serca. Podoba się Hedvice, więc jest oczywiście szarlatanem i kiczarzem.

– Nie mówiłeś przypadkiem, że wszechświat jest lodowaty, obojętny i ma nas gdzieś bardzo głęboko? – odpowiada sprytnie Hedvika.

– Mówiłem – uśmiecha się jej mąż. – Ale co jeśli się mylę? Przecież znasz mój przesadny sceptycyzm…

Upaja się swoją władzą jak początkujący nauczyciel (wystarczy wejść do klasy, a trzydzieścioro dzieci posłusznie wstaje…). Hedvika jest rozczarowana. Tłumi w sobie wściekłość, ale skutek jest podobny do zamknięcia ognia w płóciennym worku. Już rozumie, że lepiej ten ogień przyjąć i ugotować na nim coś dobrego. Wstaje i idzie objąć swego męża. Głaszcze go po plecach tak długo, dopóki cała ta nagromadzona złość i władczość nie wyparuje.

– Mogę, prawda?

– Przecież dobrze wiesz, że możesz.

Mężczyźni…

Później zgodnie z oczekiwaniami Mojmir zaczyna żałować swojej decyzji.

– Czym właściwie zajmuje się taka doula? – pyta go Feliks.

Wyobrażam sobie, że siedzą w praskim barze o dziwacznej nazwie Baretta i zamawiają właśnie kolejne dwie drogie whisky. Mojmir po kilku próbach wreszcie dolicza się, że przepili już ponad tysiąc koron, dzięki czemu poczuje wyższość nad studencikami, którzy przez cały wieczór siorbią tu tanie wino – coś już w życiu osiągnął.

– Co znaczy być doulą? Już mówię – powiada ze znanym pijackim patosem. – Bycie doulą oznacza spotykanie się na długie godziny z zupełnie obcymi ludźmi, którzy są, będą albo byli w ciąży, i pytanie ich o poglądy i odczucia.

– Ach tak.

– Dla porównania: mnie o poglądy i odczucia żona nie pyta. Wiesz dlaczego?

– Bo je zna.

– Dokładnie! Ale żeby doule mogły pytać o odczucia innych kobiet, muszą uporządkować najpierw odczucia własne. Muszą pracować również nad sobą. Dlatego w pierwszym roku przechodzą tak zwany trening autodoświadczalny, oczywiście pod okiem specjalistów. Psychologów. Terapeutów.

Mojmir spogląda na Feliksa i robi znaczącą pauzę.

– Więc co ona mi wciska, że tam nie będzie żadnych facetów?!

– Tym bym się nie przejmował.

– Nie przejmował? Łącznie pięć sesji z terapeutą?! Z psychiatrą?!

Feliks dobrze wie, jakie niebezpieczeństwo oznaczają w oczach Mojmira ci psychologiczni zdobywcy. Psychiatra to według Mojmira koń trojański przed murami jego małżeństwa. Psychiatrzy są jeszcze gorsi niż Coelho.

– Coelho to zwykłe pozłacane gówno, ale każdy psychiatra to w rzeczywistości penis zakryty płaszczykiem z Freuda! – twierdzi.

Bogu dzięki Coelho jest w Brazylii czy przynajmniej na targach we Frankfurcie, ale psychiatrzy są tu – w Pradze! Siedzą naprzeciwko jego żony, patrzą jej w oczy, a nawet trzymają za ręce!

– To nie jest żadna psychologiczna praca z ciałem, a zwykłe obmacywanie! Oni nie robią palcówki, oni tylko testują reakcje!

– Czekaj, palcówki? – całkiem sensownie powątpiewa Feliks.

– No a nie? Nie czytasz gazet? Nie czytałeś, jak docent Ogier, czy jak tam się ten zboczeniec nazywa, stymulował swoją pacjentkę psychoseksualnie? To już kurwa ci psychotronicy mogą robić, co im się żywnie spodoba? Jak to możliwe, że za coś takiego nie wyrzucą go z tego ich towarzystwa? Czemu oni nie robią żadnych inspekcji? Powinno tam bez zapowiedzi normalnie wpaść komando i skontrolować, czy pacjentka nie jest zahipnotyzowana i czy nie ma majtek przy kolanach! – Tak ostro tam raczej nie będzie.

– To się dopiero okaże. W każdym razie ja będę teraz przez cały weekend zajmować się dziećmi, podczas gdy moja żona będzie gdzieś z jakimś kurduplem głęboko oddychać, żeby dostać się do swego wnętrza!

Zazdrość jest obrzydliwa i niebezpieczna zawsze, ale w przypadku Mojmira stanowi jeszcze większe zagrożenie, ponieważ jest świadoma. On ma wiedzę. W odróżnieniu od większości tępych zazdrośników, których wieczne śledzenie własnych partnerek można przynajmniej po części wyjaśnić zaćmieniem mózgu, Sinobrody jest w swej zazdrości całkowicie

poczytalny, z pełną świadomością swoich słów i czynów. Zna mechanizmy wywołujące zazdrość, wie również, że podejrzeń zazdrosnego człowieka nie da się obalić żadnymi dowodami. Jest świadomy paranoidalnego charakteru swych natrętnych wizji – lecz to, że potrafi dokładnie opisać patologiczną zazdrość, w żaden sposób nie przeszkadza mu w oddawaniu się jej z sadomasochistyczną rozkoszą.

Mimo iż po raz kolejny upewnił się, że również tym razem na kursie nie będzie (poza jednym podstarzałym otyłym terapeutą) żadnych mężczyzn, nie wytrzymuje nieobecności Hedviki przez cały kolejny weekend. W sobotę po obiedzie pakuje obie córki do auta i bez zapowiedzi wyrusza na nasze gospodarstwo położone w centrum Masywu Czeskomorawskiego, by pozbyć się męczących go podejrzeń. Żeby pozbyć się wizji, w których naga Hedvika chodzi w transie po rozpalonych węglach, namiętnie mamrocze niezrozumiałe słowa i wije się w pogańskich orgiach. A przy tym bez ustanku wali w bębny (ponieważ kiedy przed naszym wyjazdem Mojmir wziął mnie na przesłuchanie, dowiedział się, że tym razem w programie jest między innymi gra na bębnach). Te bębny zaniepokoiły go szczególnie (nawet trochę bardziej niż indiański wigwam potowy). W mojej książce o kobietach-wilkach wyczytał bowiem, że pieśni i bębny od zawsze wykorzystywano do wprowadzania w inny stan świadomości. Wie, że bębny zrobione z ludzkich kości przywołują zmarłych, a bębny, które są szczególnie piękne – piękno. Bez wątpienia dowiedział się również, że nie można z góry przewidzieć, co zostanie wybębnione u konkretnej osoby i jakie bramy jej duszy ulegną otwarciu. Szczerze boi się piękna, które mogłaby wybębnić sobie jego żona. Nieznane bramy go przerażają – szczególnie jeśli tuż za nimi stałby jakiś ezoteryczny długowłosy guru z wyszywaną opaską na głowie. Jakiś nowy mesjasz, który wszystkim obecnym kobietom łącznie z Hedviką wręczy bilety lotnicze na cały

wszechświat, oczywiście w zamian za oddanie duchowe i cielesne (zwróćcie uwagę, drogie siostry: zazdrosne bębnienie serca potrafi całkowicie odmienić świadomość nawet mężczyznom uważającym się za racjonalnych).

Córeczki mają tego dnia dobry humor, naturalnie cieszą się, że zobaczą się z mamą. Po drodze cała trójka gra w futbol słowny. Mojmir uśmiecha się do nich w lusterku wstecznym, ale w duchu nie przestaje rozważać poszczególnych aspektów rozwodu. Dom wspaniałomyślnie zostawi Hedvice i dzieciom, on zostanie w Pradze, ale dziewczynkami będą się opiekować na zmianę, przy tym się będzie upierać. I tak dalej.

Mężczyźni…

Przyjeżdżają w czasie przygotowań do kolacji: właśnie obieramy ziemniaki i cukinie na placki. Ja i uczestniczki kursu jesteśmy przyzwyczajone do niespodziewanych najazdów kontrolnych, więc również w przypadku Mojmira dość przekonująco udajemy, że nawet do głowy by nam nie przyszło, że motywem wizyty pana pisarza może być coś tak żenującego i niegodnego mężczyzny jak zazdrość. Z przyjaznym zrozumieniem przyjmujemy jego wyjaśnienie, że zabrał dzieci na wycieczkę i nagle uświadomił sobie, że właściwie są całkiem niedaleko… (czterdzieści pięć kilometrów? – myślę zjadliwie, ale z uwagi na Hedvikę zostawiam tę złośliwą uwagę dla siebie.) Hedvika i dwie inne kobiety zajmują się dziewczynkami. Mojmir rozgląda się podejrzliwie. Bębny walają się w kącie i wyglądają niegroźnie. Terapeuta również jest starszy i grubszy, niż nasz Otello się spodziewał; a poza tym w czasie popołudniowej medytacji uciął sobie drzemkę, więc teraz przypomina bardziej niedźwiedzia brunatnego obudzonego z zimowego snu. I naprawdę nie mamy tu żadnego alkoholu… Mojmir jest zadowolony z niewinnego charakteru naszej damskiej grupy: odnosi się do mnie miło, co jest

przyjemną odmianą, ale przede wszystkim jest dosłownie zanurzony w miłości do swojej wiernej żony. Bez przerwy jej dotyka.

Kiedy chwilę później słyszy zbliżający się dźwięk bębnów, jego czujność powraca. Kobiece stado natychmiast wyczuwa jego niepokój: zatrzymują się ręce na tarkach, wilczęta milkną, rozmowa cichnie. Do pokoju wchodzi Władek: z afrykańskim bębenkiem, długimi włosami i opaską na głowie.

– Czuję placuszki! – mówi zadowolony.

Sinobrody otrząsa się jako pierwszy. Piętnaście lat spotkań autorskich wykształciło w nim umiejętność reagowania na nieprzewidziane sytuacje.

– Siemanko – wita z fałszywym uśmiechem swojego domniemanego konkurenta i rozgląda się po pozostałych. – Wybaczcie mi na moment, muszę rozpalić na podwórzu ogień.

Nikt poza Hedviką, Władkiem i mną nie rozumie tej aluzji. Mojmir rzuca Władkowi wyzywające spojrzenie.

– Negatywna energia, rozumiesz? Mam w sobie tego świństwa pełno. To nagły przypadek.

Gwałtownie odwraca się do Hedviki i do mnie.

– Wy dwie pójdziecie ze mną – oświadcza.

Idziemy za nim aż na skraj lasu, gdzie zatrzymujemy się zdyszani. Hedvika mówi zgodnie z prawdą, że nie wiedziała, że Władek tu będzie. Biedulka jest gotowa przysiąc na zdrowie swoich dzieci, ale Mojmir jej nie wierzy. Podejrzewa, że właśnie został kolejnym z milionów zdradzanych mężów. Głupim tuzinkowym rogaczem, który nabrał się na prymitywną sztuczkę własnej żony. Jego bezsilny gniew obraca się przeciwko mnie.

– Jeśli pieprzy się z tym chłopakiem pod pani pełną zrozumienia kuratelą, zrobię sobie bęben z pani pomarszczonej skóry!

Duma nie pozwala mu zabrać żony do domu. Gdyby teraz wsadził ją do auta, przy wszystkich przyznałby się do zazdrości. Byłaby to publiczna kapitulacja. Mojmir znalazł się na skraju swych sił, a mimo to musi udawać, że jest silniejszy psychicznie i ma większą pewność siebie niż o wiele przystojniejszy i młodszy Władek (są chwile, kiedy nie zazdroszczę mężczyznom ich losu…). Bierze dzieci za rękę i już bez dalszych scen odjeżdża.

(To zadanie aktorskie będzie mnie kosztować pięć lat życia – przyznał potem Feliksowi.) Dzieci w aucie usypiają. Mojmir kładzie je do łóżka w ubraniu, w którym spędziły cały dzień, włącza komputer i po raz pierwszy w życiu otwiera skrzynkę e–mailową swojej żony (oczywiście Hedvika nie ma tam żadnego hasła). Weekendu na gospodarstwie dotyczą łącznie trzy e–maile, lista uczestników jest w załączniku każdego z nich, imię młodego różdżkarza powtarza się trzy razy. Nasz książę dławi się własnym poniżeniem i wściekłością.

Kopciuszkowi – mówiąc z delikatnością właściwą panu pisarzowi – *chuj w bombki strzelił.*

A oto doskonały przykład przerażającej męskiej logiki:

1/ mąż urządza żonie sceny zazdrości i odmawia spania z nią, ponieważ ona nie czyta załączników e–maili;

2/ ponieważ z nią nie sypia, zaczyna ją zdradzać;

3/ dopiero własna zdrada pozwoli mu odpuścić żonie to, że go nie zdradziła.

(Z kim zdradzi Hedvikę? No przecież wiecie.)

XII

Anestezjolog opuszcza klub zaraz po rozmowie z Mojmirem, ale pisarz i Feliks zostają aż do zamknięcia lokalu. Obaj się upijają. Mojmir między innymi tańczy na scenie, zachęcany wesoło przez dwójkę japońskich turystów. Na szczęście się nie rozbiera. Potem długo opowiada rudowłosej striptizerce (pewnie i tak jest farbowana – myśli) o rozkwicie i upadku własnego małżeństwa. Feliks w tym czasie drzemie przy stole.

Kiedy wychodzą na dwór, zaczyna świtać. Chwilę krążą po opustoszałym centrum, a potem usadawiają się w zadymionej całodobowej spelunce, gdzie zamawiają becherovkę z tonikiem.

– Lahoutová się rozwiodła – z trudem mówi Mojmir Feliksowi. – Wiedziałeś o tym?

– Przecież to ja ci o tym powiedziałem.

– Harry też jest już rozwiedziony.

Feliks musi wyjść na powietrze. Mojmir płaci przy barze i zostawia barmanowi absurdalnie wysoki napiwek, mimo to (a może właśnie dlatego) ten patrzy na niego z pogardą. Jeszcze przez chwilę chodzą bez celu, a potem opadają na ławkę przed kawiarnią, którą otwierają o ósmej; tu potem zjedzą śniadanie.

Podwójna kawa trochę Mojmira otrzeźwia. Pragnie jechać do domu, ale wie, że najpierw musi się przespać. Nie może przyjechać do żony i dzieci

w takim stanie. Przez okno kawiarni widzi w dali nadjeżdżającą osiemnastkę; pośpiesznie żegna się z Feliksem i ku własnemu zaskoczeniu udaje mu się dobiec na tramwaj.

W wagonie pełnym ludzi jadących do pracy Mojmir natychmiast usypia i głośno chrapie. Przesypia swój przystanek przy nuselskim ratuszu, a na pętli budzi go motorniczy. Mojmir się wystraszy. Obawia się nieprzyjemności, ale tramwajarz rozpoznaje go i traktuje przyjaźnie.

– Długa noc, Mistrzu, co?

Mojmir niepotrzebnie odpowiada dość szczegółowo. Rozmowa nieodwracalnie zmienia się w spotkanie autorskie z czytelnikiem w mundurze komunikacji miejskiej. Po jej zakończeniu kierowca robi pisarzowi zdjęcie. Czy to nie ten motorniczy znany z tego, że fotografuje wszystkich celebrytów, których wiózł? – zastanawia się Mojmir (gdzieś o nim czytał), a jednocześnie wyobraża sobie tytuł, jaki mógłby się pojawić w „Błyskawicy" (*Pijany w biały dzień!*).

Uświadamia sobie, że znajduje się niedaleko od Pankrácu i że jest środa. Spogląda na zegarek. Być może to nie jest dobry pomysł, ale skoro już na wzór mistyka Jaroslava Duška zdecydował, że będzie *kierować się intuicją, nie analizując jej*, nie powinien robić żadnych wyjątków – myśli Mojmir. Do hotelu Panorama idzie piechotą. Nadzieja, że po drodze wytrzeźwieje, okazuje się być złudna: przy wejściu boleśnie zderza się z przeszkloną ścianą. Młodsza z dwóch portierek pyta go z bezczelną wyższością abstynentów, czy nie potrzebuje łóżka.

– Bynajmniej – mówi Mojmir w skupieniu. – Idę na kurs pływania dla niemowląt. Zajęcia chyba jeszcze trwają?

Ze swojej wymowy jest dość zadowolony, ale obu portierkom i tak drżą kąciki ust. Starsza z nich pyta, gdzie w takim razie ma niemowlę.

– Muszę skonsultować z panią instruktorką poważny problem dotyczący naszego małego delfinka – mówi Mojmir z miną, którą błędnie uważa za kokieteryjną. – Córeczce przy zanurzaniu za szybko wypływa płetwa ogonowa, przez co za każdym razem traci szybkość. Rozumieją panie.

– Której córeczce? – pyta młodsza portierka. – Sarze czy Basi?

Patrzy mu prosto w oczy. Jeśli chciała go zawstydzić, udało jej się to. Mojmir kiwa głową, uśmiecha się jak Mick Jagger (tak mu się przynajmniej wydaje) i idzie w stronę wind.

– Co za miła niespodzianka! – wita go jedna z matek, kiedy tylko Mojmir niepewnym krokiem wysiądzie na najwyższym piętrze. W życiu nie widział tej kobiety. Spod wielkiego ręcznika wystaje jej mokry strój kąpielowy i cellulit. Dziecko, które trzyma w ramionach, ma fioletowe wargi. Do cholery, czy ja jestem majątkiem publicznym? – myśli skwaszony Mojmir.

– Karolek się pani przeziębi – mówi mdło.

– Ela – śmieje się dama. – Czemu zawdzięczamy pańską wizytę?

– Rozpuście.

Kobieta zamruga. Na szczęście pojawia się instruktorka.

– Potrzebujesz czegoś?

W odróżnieniu od pozostałych matek ma strój dwuczęściowy. Nie ma cellulitu ani fioletowych warg. Mojmir ściąga koszulkę, instruktorka stara się go powstrzymać i jednocześnie szybko odciąga go w stronę basenu, by oddzielić go od kobiet idących z dziećmi do przebieralni. Jeszcze na odległość udziela matkom wskazówek dotyczących kolejnych zajęć. Mojmir korzysta z jej nieuwagi, błyskawicznie zrzuca spodnie i slipy i wślizguje się do ciepłej wody. Dopiero tam zauważa, że zapomniał ściągnąć skarpetki i że obserwują go dwie zszokowane kobiety. Rzuca im

wyzywające spojrzenie. Instruktorka wyjaśnia coś tym matkom przepraszająco, a potem brodzi w stronę Mojmira.

– Ty normalnie zwariowałeś!

Mojmir klęka w płytkiej wodzie, a jej powierzchnia sięga mu do ust.

– Pokołysz mnie.

Instruktorka parsknie. – Mówisz poważnie?

– Tak.

Opada jej w ramiona, musi go chwycić.

– Tu są kamery – mówi dziewczyna.

– Mam gdzieś kamery.

Instruktorka znów się zaśmieje.

– Naprawdę mam cię kołysać?

– Tak.

Ona również klęka, podbiera go pod łopatkami i pod udami i zaczyna kołysać tak, jak robiła to w wannie z jego córkami.

– Jeszcze piosenka.

– Żartujesz?

– Nie. Proszę.

Oczy ma wciąż zamknięte. Instruktorka się waha, ale po chwili Mojmir słyszy dobrze znaną melodię:

Huziu hoł, krowy idą, niosą mleczko pod wodą.

Piękno – myśli Mojmir. Wielkie piękno.

Kiedy wychodzi, tę samą piosenkę znacząco nucą obie portierki. Nawet mimo przesłony alkoholu czuje się żenująco. Nagle wyda mu się, że pojawił się jeszcze jeden głos. Odwraca się: owszem, instruktorka śpiewa razem z portierkami. Śmieją się.

Kobieto, imię twe brzmi Zdrada – myśli Mojmir.

XIII

Niczego niepodejrzewająca Hedvika jedzie na kilka kolejnych spotkań kursu dla doul, odbywa również ustaloną ilość spotkań z terapeutą, niemniej zdecydowaną większość jej dni wciąż zajmuje monotonna karuzela obowiązków związanych z dziećmi, domem, ogrodem i mężem. I zgodnie z prawdą (lecz niezbyt rozsądnie) pewnego wieczora mówi o tym Mojmirowi. Chodzimy akurat na czworaka i zbieramy jakieś piętnaście kilogramów klocków lego.

– Dokładnie w tej kolejności – od razu dodaje podrażniony Mojmir, ale nieczyste sumienie każe mu pomóc nam w sprzątaniu.

Hedvika robi zdziwioną minę. W swej prostoduszności nie spodziewała się, że jej słowa mogłyby Mistrza dotknąć. Natomiast Mistrz nawet nie przeczuwa, że jego sytuacja jest wciąż całkiem niezła: w tym czasie zajmuje w hierarchii wartości swojej żony piąte miejsce (po dzieciach, domu, ogrodzie i doulach). Nie umie sobie wyobrazić, że może być jeszcze dużo gorzej.

– Monotonna karuzela obowiązków? – kontynuuje. – Popraw mnie, jeśli się mylę, ale czy mieć męża, dzieci i dom z ogrodem nie było jeszcze zupełnie niedawno twoim życiowym snem?

Owszem, było, musi przyznać Hedvika. Naprawdę kiedyś myślała, że to mogłoby jej wystarczyć do życiowego spełnienia, ale teraz widzi, że nie

wystarcza. Przecież Mojmir chyba nie chce, żeby okłamywała samą siebie? Nie, oczywiście, że nie chce – odpowiada Mojmir. Dlatego też zgodził się na kurs dla douli. Dlatego nie zabrania jej, by dokończyła ten kurs, mimo że, jak wszyscy wiemy, nie przyniosło to na razie nic dobrego… Na twarzy Hedviki pojawia się smutek i rozpacz. Mojmir nie wytrzymuje tego widoku. Odbiera żonie plastikową palmę, żyrafę oraz słonia i bierze ją za rękę. Moją obecność jak zawsze ignoruje. Jestem częścią domowego inwentarza. Jestem wielką szafą, która zabiera miejsce i przeszkadza, ale do której już się przyzwyczaił.

– Jeśli dobrze rozumiem – mówi łagodnie – chciałabyś zapisać się na kolejny kurs.

Hedvika niepewnie kiwa głową.

Żona rybaka, myśli być może Mojmir, ale na szczęście postanawia zachować to niesprawiedliwe porównanie tylko dla siebie.

– Co to będzie tym razem? Czekaj, niech zgadnę: seks tantryczny? Gra na bębnach?

Pokazuje nam obu, że jest ponad to. Że jest silniejszy niż Władek. Nie patrzy w moją stronę, chociaż to właśnie mnie chce przekonać, że na temat (rzekomej) zdrady Hedviki potrafi żartować (jego prawdziwych zdrad ta umiejętność oczywiście nie dotyczy).

– Tkanie dywanów orientalnych?

– Nie.

– Batikowanie?

– Nie.

– Spawanie?

– Chciałabym zostać doradczynią laktacyjną. Pomagać matkom karmiącym piersią.

– A co w tym jest na Boga skomplikowanego? Czy to nie jest najbardziej naturalna rzecz na świecie? Czy widziałaś kiedyś, żeby żyrafa albo słonica potrzebowały takich porad?

– Zdziwiłbyś się.

Popieram ją i opisuję Mistrzowi najróżniejsze możliwe komplikacje, lecz nawet to go nie przekonuje.

– Skomplikowane jest również kładzenie podkładów kolejowych. Czy z tego powodu zostaniesz robotnikiem kolejowym?

– Demagogia – mówię.

Jego spojrzenie przypomina mi, że w ilości napaści rabunkowych z użyciem przemocy płeć męska prowadzi z kobietami w stosunku piętnaście do jednego.

– Bynajmniej, to czysta logika. Czy moja żona ma się poświęcać wszystkiemu, co jest skomplikowane? Albo wszystkiemu, co zasługuje na uwagę? Zajmować się wszystkimi problemami, w których, jak to się mówi, przyda się każda pomocna dłoń? Naprawdę ma robić zupełnie wszystko?

– Zostanie doulą – poprawiam go. – Dzieci i karmienie piersią są ze sobą poniekąd powiązane, Mistrzu, jeśli pan tego nie zauważył.

– Powiem pani, co zauważyłem; i to nie tylko ja.

Idzie do pracowni i zaraz wraca z wycinkiem z jakiejś gazety.

– Kobiety opisują swoje życie jako prąd wydarzeń, w którym ich działania zostały określone przypadkowymi zdarzeniami – czyta nam. – Kobiety mają problemy z jasnym określeniem swoich celów, planów i motywów. Sposób, w jaki opowiadają o swoim życiu, przypomina nurt źródła, które w każdej chwili może zniknąć w piasku.

Milczy przez dłuższą chwilę.

– I to napisała kobieta – podkreśla triumfalnie i wychodzi.

(Pozostałych dziesięć kilo lego sprzątamy już same.)

Mimo to w końcu się zgadza, bo czuje się winny. Nie może *bzykać się z instruktorką* (wyobrażam sobie, że mniej więcej w ten sposób opowiadał o tym Feliksowi) i jednocześnie zakazywać Hedvice kursów… Jego żona jest mile zaskoczona, że kładł tak krótki opór. Ja nie.

– Naprawdę nie rozumiem, po co do rzeczy tak banalnej z technicznego punktu widzenia jak karmienie piersią budować sieć poradni – wyznaje Mojmir mojemu mężowi parę miesięcy później (z pewnością nie muszę wam wyjaśniać, po co ci dwaj się spotkali: żeby naradzić się, jak wykurzyć mnie z domu Hedviki). – Gdyby każda matka dostała na porodówce małą ulotkę z informacją, jak należy to robić, kilkoma odpowiedziami na Frequently Asked Questions i listą możliwych problemów: mleko nie leci, leci mało mleka, leci za dużo mleka, berbeć nie chce pić – nikt nie potrzebowałby żadnych poradni ani doradczyń! Niech pan powie sam, panie doktorze, czy nie mam racji?

Mój mąż wciąż jest oczarowany faktem, że po raz pierwszy w życiu rozmawia z celebrytą, więc usłużnie przytakuje.

– Jedna głupia ulotka – kontynuuje Mojmir – i moja żona nie spędzałaby całych dni na wydzwanianiu w sprawie zapaleń piersi i masowania sutków. Jedna jedyna ulotka i czułbym się mniej odrzucony.

(Zauważcie, damy: to, że wciąż bzyka się z instruktorką, w żaden sposób nie umniejsza jego „uzasadnionego" oburzenia.)

Lecz z tym wydzwanianiem zbytnio nie przesadził: kiedy tylko Hedvika skończy kurs i w okolicy rozniesie się, że została doradczynią laktacyjną, nie ma dnia, żeby Mojmir nie wysłuchał dwóch długich rozmów telefonicznych o podawaniu piersi, odciąganiu mleka, zapaleniu sutka, białych sutkach, laktatorach, odbijaniu, tkankach gruczołowych,

nieprzybieraniu na wadze, ząbkowaniu, odstępach między karmieniami, chwycie tancerza i pozycji na leżąco. Dobrze mu tak! Po kilku miesiącach tego przymusowego szkolenia musi przyznać, że cały problem bagatelizował. Już wie, że pozornie łatwe karmienie piersią jest czynnością dość skomplikowaną, która może porządnie wymęczyć matkę i dziecko, ale próżność nie pozwala mu przyznać tego na głos.

Muszę zgodnie z prawdą powiedzieć, że nie byłyśmy z Hedviką obecne również przy następującej tragikomicznej scenie, zatem w dużej części stanowi ona wytwór mojej niedawno obudzonej fantazji literackiej. Niemniej wydarzenia rozegrały się naprawdę, fikcyjne są jedynie dialogi (choć znam Sinobrodego na tyle dobrze, że w ogóle by mnie nie zdziwiło, gdyby moje zmyślone i jego prawdziwe słowa się pokrywały).

Ale do rzeczy: ten sierpniowy tydzień spędzałyśmy z Hedviką i dziećmi na pewnej szumawskiej ekofarmie. Wspaniałe, niezapomniane dni! Pola pełne zbóż swym szumem wzywały nas, żebyśmy w nie weszły. Woda niedalekiego jeziora tańczyła z nami po zmroku, a błyskawice raz po raz ucieleśniały przed nami przemijalność życia. Przy świetle księżyca na polankach pojawiały się wilki, a my piłyśmy z nimi ze wspólnego źródła. I tak dalej. Lecz kluczową okolicznością tej opowieści jest to, że w tamto miejsce nie dociera sygnał satelitarny (kiedy musiałyśmy zadzwonić, wchodziłyśmy na najbliższe wzgórze), więc Daria, zrozpaczona matka, która potrzebowała pomocy z karmieniem piersią, nie mogła dodzwonić się do Hedviki. Dlatego wieczorem wybrała się do niej do domu (z płaczącym dzieckiem w chuście).

Podejrzewam, że kiedy zadzwoniła do drzwi, Mojmir akurat masturbował się przy jakimś filmiku z rosyjskimi studentkami. Szybko umył ręce (miejmy nadzieję) i zirytowany poszedł otworzyć.

– Niestety żona jest na Szumawie – oświadczył Darii (jej imienia jeszcze nie znał).

Dziecko wciąż kwiliło. Sinobrody bez wątpienia chciał jak najszybciej pozbyć się niezapowiedzianej wizyty. Jak często mawia: nie ma przecież obowiązku brania na swoje podstarzałe barki wszelkich brzemion tego świata… Cóż więc zmusiło go, by zmienić plan? Dziecko na chwilę ucichło? Czy może zmianę spowodowały smutne oczy Darii? Czy była w tej chwili kobietą, którą trzeba uratować?

– A jaki… konkretnie problem… ehm… pani ma?

Daria już chce odpowiedzieć, ale nagle zawaha się, czy powinna zwierzać się z tak intymnych spraw obcemu mężczyźnie (nie powinna).

– No bo – wyjaśnia Mojmir – wprawdzie nie jestem żadnym doradcą laktacyjnym, ale słyszałem już jakichś pięćdziesiąt rozmów na temat karmienia, więc jeśli pani problem pokrywa się z tymi, o których słyszałem…

– Strasznie mnie bolą sutki! – wyrzuca z siebie młoda matka. – Naprawdę już nie mogę wytrzymać!

Mojmir kiwa głową.

– Boże, co za wstyd! – śmieje się Daria, ale w oczach ma łzy.

– To normalne – uspokaja ją Mojmir. – Według statystyk zaczyna się około dwudziestego karmienia, ale po kilku dniach objawy powinny minąć.

– Ja karmię już dłużej. I ciągle boli.

Mojmir zastanawia się przez chwilę.

– W takim razie istnieją chyba cztery możliwości. Przynajmniej ja słyszałem o czterech. Pierwsza: być może nie daje mu pani sutka wystarczająco głęboko do buzi albo nie podkłada sobie pani nic pod ramię. W obu tych przypadkach sutek co chwilę wypada i powstają na nim małe pęknięcia, tak zwane ragady – wykłada Mojmir i nie potrafi powstrzymać

uśmiechu dumy. – Druga: wędzidełko języka pani dziecka może być zbyt krótkie, co oczywiście można wyleczyć. Trzecia: może pani źle odciągać mleko laktatorem. Czwarta: może pani mieć wilgotne wkładki w biustonoszu lub nie zostawiać po karmieniu odsłoniętych piersi do wyschnięcia. Więcej nie wiem.

– Wie pan dużo. Z pewnością wie pan więcej niż ja.

Pisarz lekko się kłania (drogie siostry, mogę się założyć, że to zrobił). Młoda matka przygląda się mu.

– Czy wpuści mnie pan, pomimo że pańskiej żony nie ma w domu? – pyta. – Żebym mogła pokazać panu ten koszmar.

Pytacie, czy sugeruję kolejną zdradę? Nie. Nie mam pojęcia, co się tam później wydarzyło. Naprawdę nie mogę wiedzieć wszystkiego.

Daria jest jedną z tych młodych kobiet, dla których macierzyństwo było całkowitym zaskoczeniem. Jeszcze wczoraj tańczyły w klubach, a dziś siedzą w domu i podcierają pupę dziecka. Na próżno starają się dotrzymać kroku innym matkom i podzielać ich zachwyt nad pierwszymi ząbkami i pięknym stolcem… I tak dalej. Jak wiemy, Mojmir znajduje się w podobnej sytuacji. To, co spontanicznie połączy Darię i Mojmira, to przygłupie bluźniercze gadki o rodzicielstwie i dzieciach.

Zostaną tajnymi spiskowcami. Na *spotkaniach matek i ojców* (wymyśliła je Hedvika) szepczą między sobą o swoich egoistycznych odczuciach. Daria, która podobno przez całe życie uwielbiała czytać, wyznaje Mojmirowi, że z powodu dziecka nie ma praktycznie czasu na książki, do czego nie może się przyznać nikomu innemu, ponieważ podobne skargi są uważane za coś w rodzaju zdrady ojczyzny.

– Naturalnie – przytakuje Mojmir. – Dla swoich dzieci powinniśmy dać się pokroić.

– Dzieci są wszystkim, my niczym – mamrocze Daria cicho, tak żeby nie usłyszał jej mąż.

– I właśnie dlatego nie możemy opuścić żadnego pokazu garncarskiego na zamku Okoř. Dlatego musimy jechać z nimi półtora tysiąca kilometrów do Disneylandu – popisuje się Mojmir, który z dziećmi w Disneylandzie ani na zamku Okoř nigdy nie był. – Dlatego musimy wozić je na sześć zajęć w tygodniu – kontynuuje, mimo iż on sam wozi dzieci na zajęcia zaledwie raz w miesiącu.

– I czekać tam na nie całymi godzinami – wzdycha Daria.

– No oczywiście, ponieważ jeśli nie chodziłyby na ceramikę, na karate i na flet, ich przyszłość byłaby zagrożona.

Daria się uśmiecha.

– W świecie zwierząt na porządku dziennym jest zabijanie młodych z przyczyn ekonomicznych i czasowych – wtajemnicza ją Mojmir. – Dzieciobójstwo należy do zaskakująco częstych zjawisk. Kiedy młode stają się dla rodziców ciężarem lub kiedy skończy się pokarm, zostają po prostu pożarte. A przy okazji – ścisza głos – czy wiedziała pani, że poligamia najwyraźniej rozwinęła się u zwierząt jako strategia?

– Nie.

– No tak. Dzięki poligamii samice zyskiwały większą pewność, że żaden samiec w stadzie nie ma powodu, żeby zabić ich młode.

Mojmir ześlizguje się wzrokiem na jej opalony płaski brzuch (wszystkie jej dżinsy mają tak wulgarnie nisko osadzony pas, że wystają jej nie tylko biodra, ale też połowa pachwin). Daria spogląda na małego Tomaszka, który na pomarańczowym dywanie układa z ojcem puzzle z filmu *Madagaskar*.

– Nie zrobiłby pan chyba czegoś tak strasznego? – mówi z udawanym lękiem.

Mojmir wzrusza ramionami. Daria sprawdza, czy mąż wciąż jest pochłonięty poszukiwaniem brakujących elementów układanki i pochyla się w stronę pisarza. Prawie dotykają się czołami. On czuje jej perfumy, ona whisky z jego oddechu.

– Zrobię wszystko, by do tego nie dopuścić – szepcze mu.

I tak dalej.

Kiedy ich znajomość znalazła się w tak niebezpiecznym stadium? – spytacie może. Gdzie leży ten pomarańczowy dywan?

Tam, gdzie Daria przez kilka lat na próżno próbowała (według swoich własnych słów) stać się tą dobrą mamą z jogurtu dla dzieci. W Centrum Matki.

Właściwie Darię na srebrnej tacy zaserwowała Mojmirowi sama Hedvika.

XIV

Mojmir budzi się chwilę po południu. Wstaje z wysiłkiem, idzie do kuchni i bierze tabletkę przeciwbólową. W łazience korzysta z płynu do higieny jamy ustnej o smaku mięty, a potem człapie do okna. Dzieci akurat wracają ze szkoły. Ich widok przypomina mu opowieść Hedviki o tym, jak w siódmej klasie pojechała na obóz narciarski: matka nie zgodziła się na wypożyczenie, a co dopiero na kupno nart zjazdowych i zmusiła ją do wzięcia starych biegówek (które kiedyś dostała od kogoś za darmo). Oczywiście wszyscy pozostali mieli zjazdówki. Znalazła się w najsłabszej grupie i przez cały dzień upadała na zlodowaciałym stoku. Wiele razy w ciągu dnia. Kiedykolwiek Mojmir wyobrazi sobie, jak dziewczynka, która później została jego żoną, obija się o lód, jak ciągle wstaje i wstaje, przezwycięża ból i z dzielnym uśmiechem znosi kpiny kolegów, ogarnia go wzruszenie – i dziś również nie jest inaczej. Z kuchni dobiega dźwięk telefonu. Mojmir jest przekonany, że dzwoni Hedvika i przypływ miłości wywołany niewidzialną siłą wspomnienia sprzed chwili staje się jeszcze intensywniejszy. Podbiega do dzwoniącej komórki, ale na ekranie widnieje inne imię: Daria.

Po krótkim wahaniu odbiera.

– Podobno uciekłeś z domu?

– Coś w tym rodzaju.

– Masz straszny głos. Piłeś wczoraj?

– Jak mogło ci przyjść do głowy coś podobnego?

– Mogłeś wziąć mnie ze sobą. Też najchętniej bym uciekła.

Przez kilka kolejnych minut skarżą się na swoje małżeństwa.

– Powiedział mi, że nie jestem dobrą matką! – oburza się Daria. – Według niego poświęcam Tomaszkowi za mało czasu. Mimo że chodzę z nim do tego waszego słynnego centrum trzy razy w tygodniu!

– Naszego centrum? – powtarza z negacją w głosie Mojmir. – To jest oskarżenie oparte na winie kolektywnej.

– Po prostu nie znoszę niektórych tych profesjonalnych matek.

Mojmir ma wrażenie, że powinien bardziej zdystansować się przed Darią od Centrum Matki.

– Ja nie zakładałem Centrum Matki – mówi. – Zakładają je kobiety, które od dziecka marzyły o dobrym mężu, zdrowych dzieciach i ładnym domu z ogrodem, ale które później stwierdziły, że dobry mąż, zdrowe dzieci i ładny dom z ogrodem to zdecydowanie za mało i że do osobistego spełnienia muszą jeszcze pomagać obcym kobietom przy porodzie, radzić, jak karmić piersią, zakładać organizacje non–profit, składać podania o granty, zbijać budki dla ptaków i odnawiać tradycje.

Daria się śmieje.

– To odnawianie tradycji wkurza mnie najbardziej – kontynuuje Mojmir. – Odnawiacie tradycje strasznie dziwaczne i niepotrzebne, natomiast te naprawdę ważne pomijacie.

– My? Ja? To jest oskarżenie oparte na winie kolektywnej. Ja niczego nie odnawiam, ja tam tylko chodzę.

– Wprawdzie fajnie, że do miasteczka przyjechał święty Marcin na białym koniu – ignoruje jej uwagę Mojmir – ale prawdę mówiąc bardziej by mnie ucieszyło, gdyby po drodze zrobił zakupy i wyprasował mi chociaż

ze trzy koszule. Nawet ta zupa dyniowa, którą ugotowałyście, była całkiem niezła, pod warunkiem, że nie trzeba jej jeść trzy dni z rzędu.

Nie może powiedzieć tego Darii wprost, nie chce wyjść przed nią na człowieka starej daty, ale najbardziej na świecie pragnąłby, żeby Centrum Matki odnowiło tradycję kobiety jako utrzymującej porządek gospodyni.

I tradycję ciepła domowego ogniska.

I tradycję kobiety będącej oporą mężczyzny.

Tradycję kobiety, która umie wywabiać plamy (i nie dorabia następnych).

Tradycję swojej babci.

– Twierdzi, że nie jestem dla niego wystarczającą oporą! Że nie wytwarzam ciepła domowego ogniska!

Mojmir milczy. Jak mógł uważać ją za swojego sojusznika?

Co począć z resztą popołudnia? Mojmir walczy z pragnieniem powrotu do domu, ale w końcu pokonuje tchórzostwo i decyduje, że zostanie w Pradze. Pójdzie poćwiczyć, a wieczorem będzie czytać. I żadnego alkoholu oczywiście.

Jak pomyśli, tak zrobi.

XV

Kiedy pewnego upalnego sierpniowego wieczoru Hedvika niepewnie oświadcza swojemu mężowi, że chciałaby założyć w miasteczku Centrum Matki, Sinobrody wyrazi to pogardliwe porównanie do żony rybaka już na głos.

– Chciałaś zostać doulą, nie protestowałem. Potem chciałaś udzielać rad matkom karmiącym i też się zgodziłem. Teraz chcesz Centrum Matki. Czego będziesz chcieć jutro? – pyta retorycznie.

(Ekoklubu – jeśli musicie wiedzieć już teraz.)

– Parafrazując pewną znaną bajkę – kontynuuje z iluzją własnej przewagi – dostałaś chałupę, potem willę, a teraz chcesz zamek. Żona rybaka.

Tak oczywista niesprawiedliwość musi Hedvikę zaboleć.

– Żona rybaka? Ja?!

Sinobrody bez ostrzeżenia zwraca się do mnie.

– A jak wiemy z jungowskiej psychologii archetypu, bajki zawierają głębokie i prawdziwe doświadczenia wielu pokoleń naszych przodków, prawda?

– Oczywiście. Chyba pan w to nie wątpi?

– W żadnym razie. To Centrum Matki wymyśliła pani, prawda?

Hedvika jest dotknięta podwójnie: dlatego, że to był jej pomysł, ale przede wszystkim dlatego, że przez cały okres małżeństwa ani razu nie zachowała się egoistycznie. Przecież Mojmir musi być tego świadomy. Wszystko, co robi, robi dla swoich dzieci i dla innych (na przykład dla mnie).

– Centrum Matki to nie jest dla mnie żaden zamek! Nie chcę nic dla siebie! – broni się zrozpaczona (co w dyskusjach z księciem jest najlepszą taktyką). – Chcę robić coś pożytecznego dla innych, nie rozumiesz tego?

Robisz to również dla siebie – odpowiada w duchu Mojmir, ale wilgotne oczy jego pięknej żony nie pozwalają mu użyć tego argumentu. Już łagodniej pyta (zupełnie niezobowiązująco, jak to żartobliwie podkreśla), jaki jest zakres działań takich centrów. Na to pytanie Hedvika jest przygotowana: chciałaby stworzyć w miasteczku klub, powiedzmy dwa małe pokoje z kuchnią, po prostu takie miejsce spotkań, do którego mogłyby przychodzić matki i rozmawiać. Żeby nie siedziały zamknięte w domu. I nie czekały, aż ich Sinobrodzi wrócą z pracy – myślę ja. Konieczność powstania Centrum Matki potrafiłabym wyjaśnić panu pisarzowi bardziej sugestywnie niż Hedvika, ale sądzę, że przyniosłoby to efekt odwrotny do zamierzonego, więc milczę.

– Czyli taki drobnomieszczański żeński meeting point? – uśmiecha się Mojmir.

Hedvika nie przywiązuje uwagi do jego przewidywalnych kpin, ponieważ już dawno intuicyjnie zrozumiała, że wszelkie sarkazmy Mojmira stanowią jedynie rozpaczliwą próbę stworzenia pozorów, że tym małżeństwem wciąż kieruje on.

– Dokładnie – odpowiada, jakby jego ironii w ogóle nie zauważyła. – Oczywiście meeting point dla niepalących. Z małym kącikiem zabaw dla dzieci.

Mojmir otwiera ramiona.

– Czy można mieć jakieś zastrzeżenia do małych kącików zabaw? – pyta. – Nie można. Chyba że do ich ceny… A przy okazji, kto będzie za to płacić?

Pan, Mistrzu – zgaduję złośliwie (i oczywiście mam rację, przynajmniej na początku).

– Sponsorzy – tłumaczy Hedvika optymistycznie. Podobno pomoże też miasto. Założą kółko teatralne, kółko rybackie, kółko fotograficzne i kółko sportowe.

– Świetnie – mówi z udawaną powagą Mojmir. – Kółka są dla dzieci niezwykle ważne. Ileż kompleksów by mnie ominęło, gdybym w podstawówce nie chodził grać w zbijanego!

A jeśli dostaną grant jako organizacja użytku publicznego, kontynuuje niewzruszona Hedvika, mogłyby organizować różne jednorazowe, nawet bardziej kosztowne imprezy, na które trzeba kupować materiały, na przykład pokaz wikliniarstwa, druciarstwa artystycznego, koralikarstwa czy ozdób wielkanocnych i bożonarodzeniowych.

– A pokazy garncarstwa?! – krzyczy oburzony Mojmir. – Jak możesz zapomnieć o garncarstwie?!

Hedvika go całuje.

Właśnie powstało Centrum Matki.

W czasie zebrania założycielskiego, które odbywa się w saloniku dla niepalących w restauracji Pod Łabędziem, wreszcie zaczyna padać deszcz. Mojmir jest zachwycony. Wprawdzie według prognozy, której wczoraj uważnie słuchał, miało padać dużo bardziej, ale na szczęście nawet ta drobna mżawka wystarcza jako dobry pretekst, żeby po żonę (a tym samym chcąc nie chcąc również po mnie) przyjechał autem. Zachowuje się zatem

jak dżentelmen, a przy okazji dyskretnie kontroluje, czy do tego rzekomo wyłącznie kobiecego towarzystwa nie przeniknął w ostatniej chwili *jakiś napalony feminista*… Musi przekonać się osobiście, że ogólnie znana sieć centrów matki nie stanowi jedynie przykrywki, wyszukanej ogólnonarodowej pułapki, dowodu ułańskiej fantazji niewiernych kobiet. Centrum Matki jako uniwersalne cudzołożne know how… Skrzywiona wyobraźnia Sinobrodego potrafi wyprodukować nawet pytanie, czy kółka fotograficzne nie są przypadkiem jedynie genialną przykrywką dla orgii z kamerą… I tak dalej. Mężczyzna z zasady jest zawsze trochę głuptasem, ale zazdrosny mężczyzna to, za przeproszeniem, osioł nad osłami, naprawdę nie da się tego określić inaczej. Już pierwsze spojrzenie na naszą grupę uspokaja Mojmira: naprawdę nie ma wśród nas żadnego mężczyzny. Poza tym nie wierzy, żeby z tej kakofonii wysokich głosów, z tego kłębowiska różnych wizji i poglądów mogło powstać coś sensownego. Owszem, czuje tu atmosferę wspólnoty, naszego radosnego siostrzeństwa, ale jednocześnie jest tu zbyt wiele – jak na jego gust – śmiechu, zbyt wiele herbaty i w ogóle nie ma wina (jeszcze żadna męska organizacja na świecie nie powstała bez alkoholu). Brakuje mu również ustalonego programu zebrania, przeszkadzają plotki i opowiastki… Ponieważ podobnie jak wszyscy mężczyźni nie wyczuwa kobiecego wizjonerstwa, traktuje to wszystko z lekceważeniem. W swej krótkowzroczności dostrzega jedynie nasionko w sosnowej szyszce, miast pięknego drzewa, które wyrośnie już za kilka lat. Mojmir stoi w drzwiach, przyjaźnie się uśmiecha i dyskretnie spogląda na Darię. Jego marzenia o *fellatio* albo czymś jeszcze obrzydliwszym zostaną przerwane przez wesołe oklaski: Hedvika właśnie została przewodniczącą, Ksenia zastępczynią przewodniczącej, a Daria skarbniczką (jej postępowanie cechuje się niezwykłym wyrafinowaniem: żeby podważyć wątpliwości męża, czy jest dobrą matką, została jedną

z trzech założycielek Centrum Matki, ale jednocześnie zaklepała sobie funkcję, która pozwoli uniknąć jakiekolwiek kontaktu z dziećmi). Zebranie powoli zbliża się do końca. Przy wszystkich proszę Mojmira, czy jako pisarz mógłby napisać dla nas statut, dzięki czemu poczułby się choć trochę potrzebny.

– Oczywiście – mówi.

Po przeczytaniu spisanego przez nas planu działań obłudnie się uśmiecha.

– Mogą mi panie wierzyć, że nie mam nic przeciwko organizowaniu przedstawień teatralnych, robieniu latawców ani budek dla ptaków – zaczyna ostrożnie. – Mam tylko jedną małą uwagę do tego odnawiania tradycji.

– A co ci się w niej nie podoba? – pyta bojowo Ksenia, z którą już zdążył przejść na ty.

– Zastanawiam się jedynie, czy tradycje staroczeskie, celtyckie i indiańskie można odnawiać w tym samym czasie? Czy w tych ciekawskich dziecięcych główkach – uśmiecha się do Darii – nie narobicie bałaganu? Czy nie tworzycie jakiejś dziwnej hybrydy historycznej? Przyznam bowiem, że nie umiem sobie wyobrazić, jak Magdalena Dobromila Rettigová w tradycyjnym stroju plemienia Nawaho buduje gród celtycki.

Najwyraźniej spodziewał się, że ten tani dowcip spotka się z lepszym przyjęciem.

– Przecież oczywiste jest, że nie będziemy ich odnawiać jednocześnie – wyjaśnia mu świeżo upieczona przewodnicząca z wyrozumiałością, na którą w ich związku dotychczas monopol miał on – ale każdą osobno. Teraz natomiast śmiejemy się wszystkie.

Mojmir jest zaskoczony.

Nagle pojmuje: ten kobiecy śmiech w restauracji Pod Łabędziem jest łabędzim śpiewem jego męskiej przewagi. Wszystkie te śmiejące się kobiety są przybranymi siostrami Kopciuszka – z tą różnicą, że doskonale się dogadują i za nic nie przyszłoby im do głowy, by rywalizować o księcia.

Tydzień później burmistrz przekazuje nam dwa wolne pomieszczenia w jednym z budynków należących do miasta. Opróżniamy je i malujemy. Przynosimy dywany i kładziemy żółte i pomarańczowe kafelki w aneksie kuchennym. Dwa razy jedziemy do IKEA po meble dla dzieci (płaci Mojmir), które następnie własnoręcznie skręcamy. Nocami spisujemy z Hedviką, Ksenią, Darią i pozostałymi siostrami podania o granty. Sinobrody z udawaną chęcią robi herbatę i otwiera wino, ale kiedy tylko zbliża się wieczór, nasza obecność zaczyna go irytować. Ostentacyjnie ziewa. Co chwilę nerwowo przechodzi obok nas. Zazwyczaj przed północą życzy nam dobrej nocy i idzie się masturbować.

Działalność centrum szybko nabiera rozpędu: we wrześniu robimy z dziećmi budki dla ptaków i latawce. Przed Zaduszkami patroszymy dynie i gotujemy z nich zupę. Świętujemy z dziećmi halloween. Zaraz potem odnawiamy tradycyjne obchody Dnia Świętego Marcina: Ksenia załatwia konia i jeźdźca w zbroi, który w blasku świec na oczach zachwyconych dzieci rozcina mieczem swój płaszcz i ofiarowuje go żebrakowi.

– Ten żebrak to ja – mówi Mistrz, pępek wszechświata.

W grudniu zgodnie ze starym celtyckim zwyczajem opisujemy i malujemy z dziećmi wszystkie obawy i smutki, które nagromadziły się w nas przez cały rok, i wkładamy kartki do słomianych kukieł. Następnie wrzucamy kukły do ognia, wokół którego potem tańczymy i śpiewamy.

– Trochę Celtowie, trochę karaibskie voodoo… Ale ja to rozumiem, przecież negatywną energię trzeba spalić – komentuje nasz obrzęd Mojmir

(aż za bardzo przypomina mu to sprawy, o których wolałby zapomnieć).

W zimie organizujemy bal karnawałowy, giełdę ubrań dziecięcych i dwa spotkania poświęcone bajkom dla dzieci. Planujemy również wykład logopedy, wykład o narkotykach i wykład policjanta z drogówki. Na wiosnę wymyślamy z Hedviką projekt *Twórczość Wielkanocna*, a latem bierzemy udział w akcji *Czysta Rzeka*. Codziennie mamy otwarty kącik dla dzieci i każdego popołudnia kilka kółek. Moja dusza śpiewa z zachwytu. Ogrzewam swe ręce i serce przy olbrzymim ogniu, który pomogłam rozpalić w Hedvice. Jestem z niej niezwykle dumna. Jeszcze kilka lat temu była zamknięta wśród książek, na których osiadał kurz. Dziś biegnie swobodnie nocą przez las z szeroko otwartymi nozdrzami, a za sobą ma już całe stado. Mojmir nie ma szans, by ją dogonić (nawet w tych swoich drogich adidasach). Na szczęście posłuchała tego, co powtarzam jej od początku: jeśli szukasz doradcy, nie słuchaj ludzi o małym sercu.

Dlaczego w XXI wieku kobiety miałyby sikać na siedząco?

To Lidia zadała to pytanie. Najpierw wzbudziła tylko swawolny śmiech, a u kilku bardziej konserwatywnych członkiń Centrum Matki nawet lekkie zgorszenie, ale nie zamierzała się poddawać. W jakimś czasopiśmie znalazła artykuł o grupie kobiet, które od dłuższego czasu z powodzeniem praktykują sikanie na stojąco, a z Internetu ściągnęła instrukcję, jak zrobić *sikokapkę,* papierowy lejek, dzięki któremu ta nowatorska technika jest możliwa.

– To banalnie proste. Też sobie z tym poradzimy.

Nawet ja miałam pewne opory, ale muszę przyznać, że argumentacja Lidii brzmiała przekonująco.

– Nigdy nie sikałyście zimą na dworze? Dlaczego im wystarczy, że rozepną rozporek, a my musimy się rozbierać i wystawiać na mróz uda

i tyłek? Czy według was to jest sprawiedliwe? – złościła się.

– Nie – odpowiedziałam.

Wzięłyśmy więc tekturę, klej i nożyczki i każda z nas zrobiła kilka *sikokapek*. Schowałyśmy je do pudełka na zabawki i uzgodniłyśmy, że wypróbujemy je przy najbliższej okazji.

Tylko wyjątkowo krótkowzroczni ludzie mogą twierdzić, że nonkonformiści są porażką społeczeństwa. Bycie innym nie oznacza stania z boku. Jeśli określa się ciebie jako krnąbrną, niedostosowaną, zbuntowaną czy nieokiełznaną, jesteś na dobrej drodze. Dzikuska jest blisko.

W tej chwili naprawdę żałuję, że ta historia to nie film, ponieważ kolejna scena należy do tych, które wręcz proszą się o wizualizację i szybki filmowy montaż. Spróbujcie to sobie ze mną chociaż wyobrazić.

Obraz 1.

Grupka matek z dziećmi na małej polance pod brzozami i olchami na brzegu Sazawy opieka sojowe ekokiełbaski. Na wzgórzu po drugiej stronie rzeki widzimy klasztor. Wśród obecnych kobiet rozpoznajemy Hedvikę, Ksenię, Darię, Lidię oraz moją skromną osobę.

Lidia rozdaje kubeczki z herbatą owocową i podejrzanie często zachęca, żeby pić jak najwięcej.

HEDVIKA: Ciągle mi się nie chce.

KSENIA (błagalnie): A ja za trzy minuty się zesikam!

LIDIA: Żadne takie, musisz wytrzymać. Powiedziałyśmy razem, to razem.

Obraz 2.

Mojmir w dresie wiąże sznurówki adidasów i wybiega z domu.

Obraz 3.

Lidia z uroczystym uśmiechem rozdaje kobietom i ich dzieciom sikokapki. Dzieci Kseni, czterej chłopcy, też chcą, ale Lidia ze śmiechem klepie ich po wyciągniętych rękach.

LIDIA: Wam się nie należy!

Obraz 4.

Spocony Mojmir w skupieniu biegnie po dróżce wzdłuż rzeki.

Obraz 5.

Wszystkie matki i dzieci stoją za murem krzaków i przy pomocy sikokapek sikają na stojąco. Niektóre śmieją się głośno, inne przymykają oczy ze wstydu.

Wąską dróżką wiodącą przez młody las nadbiega Mojmir – i zatrzymuje się zszokowany.

Kobiety jęcząc histerycznie zasłaniają się rękami, wyrzucają sikokapki i szybko się ubierają.

Jedynie Daria wysika się spokojnie do końca, a nawet patrzy przy tym pisarzowi prosto w oczy.

Lecz skonsternowany Mojmir wpatruje się wyłącznie w Hedvikę i ich córki.

SARA, BASIA (krzyczą): Cześć, tato! My sikamy tak jak ty!

Zdruzgotany Mojmir odwraca się – i bez słowa biegnie dalej.

(Zaciemnienie).

Kiedy mężczyźni stają twarzą w twarz z prastarymi kobiecymi siłami, zazwyczaj uciekają i widzisz wtedy tylko ich pięty i przestraszone plecy. Mojmir też ucieka jak tylko może najszybciej. W biegu obserwuje klasztor stojący tu tysiąc lat. W ciągu tego tysiąclecia tutejsze kobiety sikały na

siedząco. W oczach Mojmira lśni pozbawione zrozumienia oburzenie rasisty, że prezydentem został Murzyn… Nic z tego, co było wcześniej, już nie obowiązuje. Krąg jest kanciasty. Od teraz wszystko jest inne niż dotychczas. A będzie gorzej.

XVI

Gdyby pamięć była pracownikiem Mojmira, natychmiast wyleciałaby z pracy. Jest leniwa i skrajnie zawodna. Pomimo że wielokrotnie prosił ją, żeby starannie zapisywała każdy jego dzień, a w pozostałym czasie digitalizowała i katalogowała ręcznie pisane notatki z przeszłości, ona wciąż robi wszystko po swojemu. Efekt: kiedy Mojmir żąda od swojej pamięci wspomnienia choćby tylko sprzed sześciu lat, ona nie może w tym burdelu nic znaleźć. Wprawdzie twierdzi, że ma swój system, ale szczerze mówiąc Mojmir już jej nie wierzy. Ponadto jego pamięć nie ma za grosz charakteru: już kilkakrotnie zauważył, że bezwstydnie kolaboruje z jego marzeniami. Najwidoczniej podejrzewa, że niedostateczną efektywność pracy można zastąpić służalczością: zawsze szybko zorientuje się, jakie obrazy chce przywołać Mojmir i natychmiast mu je podsuwa.

Dziś rano (wciąż w praskim mieszkaniu) wyświetla mu na przykład trzynastoletnie nagranie video z jego byłą dziewczyną – konkretnie ten fragment, kiedy ledwie pełnoletnia Helenka rano wstaje i zdejmuje koszulę nocną. Mojmir w tym filmie leży i obserwuje ją. Potem prosi, żeby przyszła do niego jeszcze na chwilę. Helenka wprawdzie wyraża obawę, że spóźni się do szkoły, ale ostatecznie go posłucha… Miło się to ogląda. Mojmir ma erekcję. Ponadto jego pamięć wmawia mu, że Helenka zawsze była w niego zapatrzona i nie przestała go podziwiać, a wręcz że być może jego życie

z Helenką mogłoby być lepsze niż z Hedviką. Czy Helenka sikała kiedyś na stojąco? – myśli. Czy zakładała jakieś centra matki albo ekokluby? Sięga po telefon i bez namysłu wybiera jej numer.

– Nie poszłabyś ze mną na obiad? – pyta bez ogródek.

– Nie mam z kim zostawić dzieci.

– To weź je ze sobą – proponuje nierozważnie Mojmir.

– Mogą mówić do ciebie wujku? – szepcze mu Helenka przed wejściem do restauracji Magiczny Ogród i robi przepraszającą minę, patrząc wymownie na starszego synka (ponieważ powiedziała mężowi, że obiad zje z przyrodnim bratem matki, który pierwszy raz od lat jest przejazdem w Pradze).

– Jakoś to przeżyję.

– Masz na imię Ludwik – szepcze Helenka i czerwieni się.

Młodsze dziecko śpi w wózku, ale trzyletni chłopiec obserwuje Mojmira z wyraźną nieufnością.

– Jak masz na imię? – pyta, jeszcze zanim pojawi się kelnerka.

– Ludwik.

– Ile masz lat? – chłopiec kontynuuje przesłuchanie.

Helenka opuszcza rękę pod stół i rysuje w powietrzu cyfrę 6.

– Szesnaście… już chyba nie – mówi Mojmir. – Mam już, chłopcze, sześćdziesiąt lat. I tak też się czuję.

Helenka się śmieje.

– Jesteś listonoszem?

Helenka dyskretnie kiwa głową.

– Tak, tak. Jestem listonoszem.

Chłopiec się zastanawia. Już teraz wygląda tak jego ojciec. Młodsze dziecko zaczyna się złowieszczo kręcić, a przecież jeszcze nawet nic nie

zamówili. Helenka kołysze rączką wózka.

– Budzi się – mówi zasmucona.

Mojmir opiera czubek języka o przednie zęby i spogląda jej w oczy.

– Będziesz musiała nakarmić go przy wujku.

Helenka kontroluje wzrokiem starszego syna i kładzie sobie palec na usta.

– Naklejasz znaczki? – pyta pisarza chłopiec.

– Jasne. Codziennie. Mnóstwo znaczków.

– Ile?

– Pięćset. Czasem nawet tysiąc. Czasem i tysiąc dwieście.

– I oblizujesz? – Oblizuję, jasne. Tak trzeba.

– Nawet jak naklejasz milion?!

– Nawet milion.

– Nie boli cię buzia? – Boli.

XVII

Lidia pracuje jako redaktorka w radiu. Zajmuje się programami edukacyjnymi poświęconymi środowisku naturalnemu. Codziennie dojeżdża do Pragi i nie ma zbyt wiele wolnego czasu, poświęca go więc wyłącznie na to, co uważa za naprawdę istotne: wyzwolenie kobiet spod jarzma mężczyzn. Jest dzielną wilczą bojowniczką zasługującą na nasz podziw. Historia jej życia należy do kategorii tych, które my – contadoras nazywamy temblón – opowieści z dreszczykiem.

Już w młodości Lidia poznała swoją siłę twórczą. Była świadoma jej strumienia płynącego przez krajobraz psychiki i szukającego naturalnych zagłębień – arroyos, a całe jej ciało stało się dorzeczem kreatywności. W czasie studiów zasiadała w komitecie studenckim, zorganizowała kilka mitingów protestacyjnych, podpisała tysiące petycji, pomagała zorganizować w Pradze pierwsze Dni Bez Aut i jeszcze miała energię, by grać zawodowo w siatkówkę, propagować projekt W Tym Miesiącu Mam Miesiączkę i założyć schronisko dla zranionych ptaków.

Jednak po ślubie czuła, że jej siły twórcze coraz częściej natrafiają na sztuczne przeszkody stawiane przez męża. Zaczynasz dziesięć rzeczy, ale żadnej nie doprowadzisz porządnie do końca – wyśmiewał ją. Zaczynam mnóstwo rzeczy i wiele z nich dokończę – odpowiadała zgodnie z prawdą. Kto nic nie robi, nic nie zepsuje – broniła się. Mimo to nieustannie

ograniczał jej wzloty, jak tylko mógł. Twierdzisz, że mnie kochasz, ale jednocześnie cały swój czas i uwagę poświęcasz innym ludziom – obwiniał ją stronniczo. Stopniowo wybudował wokół niej klatkę, o którą łamała swoje skrzydła.

Lidia zrozumiała, że rzeka jej sił twórczych została zanieczyszczona. Skontaktowała się z kilkoma kobietami z Gender Studies i wspólnie spisały i ogłosiły zupełnie nową inicjatywę o nazwie Dzień Bez Mężczyzn.

– Pierwotnie miały na myśli jeden dzień w tygodniu – opowiada Mojmir Feliksowi z perwersyjną radością – ale praktycznie zaraz potem mąż Lidii podciął sobie żyły, przez co sukces akcji przekroczył najśmielsze oczekiwania.

– Podciął żyły?

– Tak. Dzięki temu samobójstwu wszystko od razu znalazło się na wyższym poziomie: Ani Dnia Z Mężczyzną! Kiedy weźmiemy przykład z męża Lidii również my – pozostali, wszystkie kobiety staną się wolne! Runway ich życiowego wzlotu wreszcie będzie doskonale pusty! – śmieje się cynicznie Mojmir.

Jak zawsze jest w błędzie. Temblón może na pierwszy rzut oka rozbawić, ale jego prawdziwym celem jest skłonienie słuchacza do poważnych przemyśleń i rozważań. Jest lekiem, ponieważ zawiera cudowne składniki pomagające odzyskać straconą siłę duchową.

Pod egidą Centrum Matki Lidia zakłada Ekoklub.

– W programie ekoklubów przeważają wykłady na temat zdrowego odżywiania, przygotowywanie i konsumpcja ekoprzekąsek i malowanie ekopisanek – zwulgaryzuje to natychmiast Mojmir. – Ekokluby są zakładane dla matek, które chcą jeść zdrowo i żyć naturalnie, czyli dla

matek, którym wydaje się naturalne, że w ich hierarchii wartości mężowie zajmują miejsce ósme.

Owszem, jest już ósmy. Jeszcze w zeszłym roku był siódmy, ale teraz niespodziewanie wyprzedził go właśnie Ekoklub Lidii.

– Już nawet ekoprzekąskom poświęcasz więcej czasu niż mi! – wyrzuca Hedvice.

Hedvika i Lidia przygotowują w Centrum Matki ekoprzekąski dla dzieci. Właściwie są to zwyczajne posiłki, na przykład rogalik z serem i jabłko, z tym że w ekojakości (no i rogalik musi być pełnoziarnisty, a jabłko oczywiście krajowe, nie na przykład hiszpańskie). Ekoprzekąski dają Hedvice tyle radości, ile Sinbrody nie potrafił dać jej od lat. Przecież to wspaniale, że wszystkie dzieci odżywiają się zdrowo! – mówi szczęśliwa. Obserwuje dzieci jedzące ekoprzekąski i z zadowoleniem wyobraża sobie, jak jabłko oraz ziarna zbóż przemierzają dziecięce jelitka i wymiatają jak miotełki wszystko, co jest tam niepotrzebne. Wyobraża sobie olśniewającą czerwień wątróbek wolnych od jakichkolwiek chemikaliów.

I tak dalej.

– Jedyne, czego sobie nie wyobraża, to ja – skarży się Mojmir.

Jest oburzony, że jego żona dwa razy w tygodniu dobrowolnie spotyka się z osobą, która żywcem *wykastrowała* własnego męża. Z kobietą, która sika na stojąco. Z fanatyczką, która według niego dla kilku drzew poświęci las. Z dziką pogańską istotą, która nie goli nóg ani pach. Z kimś, kto w XXI wieku używa chusteczek z materiału, a nawet materiałowych podpasek higienicznych (no oczywiście, przecież są bardziej ekologiczne).

– One już własnoręcznie szyją nawet podpaski, dasz wiarę? Piorą je, rozumiesz? Kiedy opróżnią brunatną wazę w swoim brzuchu, normalnie

płuczą te brudne podpaski i wrzucają je do pralki! A potem wieszają na suszarce obok moich koszul od Armaniego.

– To jakiś żart? – pyta Feliks.

– Nie. Rzeczywistość.

Kiedy Mojmir odkrywa, że poradnik ekologicznego prowadzenia domu i higieny intymnej, który Hedvice pożyczyła Lidia, wydało wydawnictwo Revolver Revue, siedlisko intelektualnego snobizmu, jego gniew jeszcze bardziej się nasila.

– Oczywiście, że te baby nie prasują… Niewyprasowana koszulka jest przecież autentyczna! – krzyczy po pobieżnym przejrzeniu książki. – A głowy myją sobie octem! Wiedziałem! Z tych ich artykułów to wręcz czuć!

Z powodu awersji do redaktorów Revolvera poddaje kąśliwej krytyce nawet ogólne zasady ekologii, które w normalnych warunkach musiałby uznać za logiczne.

– Weź choćby segregację odpadów! – opowiada Feliksowi. – Wprawdzie przez całe życie mówiliśmy na to w domu śmieci, ale bez problemu mogę nazywać to odpadem segregowanym. Jestem nowoczesnym człowiekiem. Popieram segregowanie odpadów, ale sprzeciwiam się fanatyzmowi. Odmawiam łażenia kurwa z wieczkiem od actimela do garażu i szukania tam worka na aluminium! Przyznaję się bez bicia, że zużyty bilet tramwajowy spokojnie wyrzucam do najbliższego śmietnika na przystanku, ponieważ nasza planeta z pewnością to przeżyje. Lecz ludzie pokroju Lidii ten pognieciony papierek starannie chowają, żeby w domu wyrzucić go do niebieskiego worka…

I właśnie z Lidią prowadzi coraz bardziej naznaczone podrażnieniem spory, najczęściej na temat wody. Lidia, dokształcona książkami

japońskiego profesora Masaru Emoto poświęconymi cudownym właściwościom wody, na próżno stara się wyjaśnić Mojmirowi, że ludzie są w zasadzie istotami wodnymi.

– Czyli coś jak delfiny? – pyta Mojmir.

Stara się nie myśleć o tym, że dyskutuje z kobietą, która doprowadziła własnego męża do samobójstwa.

– Ludzkie ciało zawiera od siedemdziesięciu do dziewięćdziesięciu procent wody, wiedziałeś o tym?

– Dziewięćdziesiąt procent to przesada.

– Nieprawda. Pożyczę ci książkę na ten temat.

– Dzięki, nie trzeba.

– Dowiesz się z niej na przykład, że na wodę mają wpływ również nasze słowa lub myśli – mówi Lidia, której prowokowanie pisarza najwyraźniej sprawia przyjemność.

– Doprawdy?

– Tak. Zostało to naukowo potwierdzone mikrofotografiami zamarzniętych kryształów wody.

Lidia celowo kładzie nacisk na słowo naukowo. Ona również wie od dawna, że Mojmir uznaje wyłącznie niepodważalne dowody.

– Innymi słowy: kiedy do jednej kropli szepnę słowo dalajlama, do drugiej naleśnik, a potem je zamrożę – nie odpuszcza Mojmir – według ciebie w każdej z nich powstaną inne kryształy?

– Dokładnie. Jeśli zostaną spełnione pewne warunki, tak właśnie będzie. – Jakie warunki?

– Obie krople muszą pochodzić z naturalnego źródła. Okaleczona chlorowana woda z kranu nie jest w stanie stworzyć kryształu.

Mojmir spostrzega, że Hedvika przytakuje głową.

– Tak myślałem.

– Ale jeśli naturalną wodę oznaczysz na przykład naklejką ze słowem dusza lub szczęście, powstaną cudowne kryształy – kontynuuje z zapałem Lidia – natomiast pod słowem głupiec nie pojawi się żaden kryształ!

– Widzę, że woda jest trochę elitarystyczna…

– Albo kiedy puścisz wodzie piękną muzykę.

Mojmir ma wrażenie, że połączenie słów *puścić wodzie muzykę* o kolejny krok zbliżyło go do zrozumienia motywu samobójstwa męża Lidii.

– Ty puszczasz wodzie muzykę? Jak to robisz? Zanurzasz słuchawki w wannie?

– Ja nie. Wielokrotnie robił to profesor Emoto i jego zespół. Między dwoma głośnikami umieszczali butelkę z wodą i puszczali jej jakąś kompozycję. Powstawały cudownie ukształtowane sześciokąty. I co najważniejsze: przy każdej kompozycji inne.

– Nie wydaje ci się to fascynujące? – pyta męża oczarowana Hedvika.

– Wydaje. Ale muszę przyznać, że *fascynujące* nie oddaje w pełni moich odczuć.

– Na przykład przy *Jeziorze Łabędzim* Czajkowskiego woda utworzyła kryształ, którego gałązki przypominały szyje łabędzi.

– Poważnie?

Mojmir wyobraża sobie, jak z obu nadgarstków tryska krew. W pewnym sensie musiała to być olbrzymia ulga – myśli.

– Przy *Czterech Porach Roku* woda stworzyła po kolei cztery różne kryształy!

– To logiczne. Ale kryształ w upalnym lecie musiał ją kosztować sporo pracy, nie sądzisz?

– W tych laboratoriach jest utrzymywana stała temperatura minus pięć stopni.

Mojmirowi przychodzi do głowy kolejny głupi dowcip. Poznaję to po tym, że jego dziecinny uśmiech rozszerza się jeszcze bardziej.

– W takim razie woda w aquaparku musi być zdezorientowana, nie? Przy tylu ludziach i tylu różnych myślach? Czy ktoś to sfotografował? Założę się, że przy minus pięciu stopniach kryształ wody z basenu utworzyłby fascynujący obraz grzybicy skóry!

I tak dalej.

Oto ja – contadora. Narratorka. Nie zamierzam udawać, że potrafię widzieć sny innych, lecz sny Mojmira są tak powierzchowne i proste (powiedziałabym, że wręcz infantylne), że każdy człowiek obdarzony ponadprzeciętną wrażliwością z łatwością je sobie „ściągnie" i przeczyta. Wyjaśnię wam to na przykładzie: Mojmir jest równie naiwny jak ktoś, kto używa daty urodzin jako hasła do komputera lub PINu. Jego sny można rozszyfrować równie łatwo. Czasem wystarczy tylko obserwować, co robi i mówi za dnia, i już dokładnie wiadomo, co mu się przyśni w nocy.

Oczywiście najczęściej śnią mu się czasy sprzed ślubu.

Wtedy Hedvika nieustannie się do niego uśmiechała i uważnie słuchała wszystkiego, co mówił. Były to czasy, kiedy nosiła spódnice i czółenka na obcasach (a nie buty goreteksowe lub kalosze) i kiedy chodziła jeszcze do fryzjera i do kosmetyczki, żeby podobać się mężowi. Były to czasy, kiedy nie prała jeszcze w mydlnicy lekarskiej, jak to robiły kobiety w średniowieczu, ani w mieszance orzeszków indyjskich, które po zamoczeniu wydzielają naturalne saponiny, a w zwykłym proszku do prania. Były to czasy, kiedy jeździli na urlopy nie tylko na ekofarmy i kiedy jedli cudownie niezdrowe wędliny. Jeśli coś grillowali, jego żona nie

opowiadała o hormonach wzrostu i stresie zwierząt przed ubojem, a kiedy (w krótkiej spódniczce i czółenkach) smażyła mu kotlety, ani słowem nie wspominała o słonecznikach modyfikowanych genetycznie.

I tak dalej.

– Kocham cię, skarbie! – mówi Mojmir w tych snach do Hedviki.

A potem zawsze się budzi.

XVIII

Po obiedzie Mojmir odprowadza Helenkę z dziećmi na przystanek i pomaga jej wnieść wózek do tramwaju, który odwiezie ją na niedalekie osiedle. Sam jedzie w przeciwnym kierunku, do centrum. Chce żyć w centrum życia, nie poza nim. Wysiada przy Muzeum, schodzi po Placu Wacława w dół i skręca w Aleję Narodową. Na Persztynie kupuje butelkę wyśmienitego cabernetu z kalifornijskiego Napa Valley i prosi zaskoczonego sommeliera, żeby mu ją otworzył. Wprawdzie najpierw planował, że wystarczą mu dwa kubeczki z McDonald's, ale ostatecznie kupuje po drodze na Rynek Staromiejski w jednym z tych okropnych sklepów dla turystów dwa olbrzymie puchary (oczywiście mają tam wyłącznie drogie czeskie kryształy; Mojmir sam przed sobą udaje, że chwilowo nie zależy mu na niczym, a już na pewno nie na pieniądzach, ale dobrze wie, że później ten zbyteczny wydatek będzie sobie wyrzucać).

Teść siedzi na koźle trochę bardziej wyprostowany niż jego koledzy. Mojmir musi przyznać, że znosi swoją sytuację życiową z podziwu godnym spokojem i klasą. Woźnica w milczeniu patrzy na miejsca, w których przed kilkoma wiekami zginęło dwudziestu siedmiu czeskich szlachciców. Jako były nauczyciel czeskiego i historii bez wątpienia wie o tym więcej niż ja –

myśli Mojmir i wskakuje na kozioł bryczki, która osiem lat temu wiozła go do ślubu.

– Jest pan wolny?

Jeśli teść jest zaskoczony, nie daje tego po sobie poznać.

– Why women cannot be like a men – mówi Mojmir zamiast przywitania, nalewa wino i podaje teściowi puchar. – Jak go upuścisz, będziesz mi winien siedem stów – ostrzega go.

Turyści obserwują ich z rozbawieniem. Oni stukają się kieliszkami.

– Nie dzieje się nic dramatycznego, prawda? – pyta teść z winem w ustach.

– Dramatycznego chyba nie. Ale wiesz, jak to jest: sto drobiazgów zamęczy nawet woła.

Teść przytakuje.

– Jaka pogoda w Nowej Zelandii? – pyta Mojmir patrząc na dwa końskie tyłki.

– Nic szczególnego.

– Odwiedzasz ją?

– Oczywiście.

– Tym razem też wypuszczą ją po połowie wyroku?

– Wypuszczą.

Milczy.

– *Idzie sama przez rynek / po tych wszystkich iskrach / powieściach / sukniach ściągniętych w pasie. / Starzeje się madame Bovary / starzeje i w bokach / kołysze się* – cytuje teść.

– Kto to?

– Zábrana.

– Wyjaśniła ci chociaż kiedyś, dlaczego to robiła?

Wielki mięsień pod skórą klaczy drży wyraźnie. Teść unosi brwi.

– Czy można wyjaśnić, dlaczego ciągle okradasz ludzi, którzy ci ufają? Własną córkę? Sąsiadów? Rodzinę?

Mojmir wzrusza ramionami.

– Przez wiele lat pracowała jako świetliczanka w bogatej dzielnicy Pragi, wiesz o tym, prawda?

– Tak.

– Po dzieci przyjeżdżali szoferzy w limuzynach z oznaczeniami dyplomatycznymi. Matki w kostiumach od Diora. Rozumiesz?

– Nie wiem.

Podchodzi troje Japończyków i zagadują miękką śpiewną angielszczyzną. O dziwo teść Mojmira ich rozumie i odpowiada. Japończycy wsiadają do bryczki stojącej przed nimi. Mojmir spostrzega, że na niebie pojawiła się chmura z wyraźnymi srebrnymi brzegami. Teść musi podjechać kilka metrów.

– Japończyka zrozumiesz. Holendra zrozumiesz. Islandczyka zrozumiesz – mówi, a potem spogląda na Mojmira. – Kobiety nie zrozumiesz, choćbyś stanął na głowie.

Wolą rozmawiać o samochodach. Po chwili teścia zagaduje dwoje młodych Amerykanów. Wsiadają.

– Mogę też jechać? – pyta Mojmir.

– Oczywiście.

Koło koni biegają dzieci turystów.

– Zadzwonisz do nas do domu? – odzywa się po chwili Mojmir. – Żebym wiedział, czy wszystko u nich w porządku?

Teść wzdycha i popędza konia.

– Zrób to dla mnie. Proszę cię.

Mojmir obraca się do tyłu.

– Hi, I am Mojmir – przedstawia się i, jak to ma w zwyczaju, literuje swoje imię. Ręki im podać nie może, trzyma dwa kieliszki z winem. Butelkę ściska między kolanami.

– Steven.

– Jirzina – śmieje się dziewczyna z krótkimi włosami. – Mam przeliterować, Mistrzu?

– A, Czeszka – mówi zakłopotany Mojmir.

– Pojutrze bierzemy ślub – informuje go Jirzina, być może po to, by nie zrozumiał źle tej sytuacji.

– Gratulujemy – mówi teść.

Mojmir się śmieje.

– Kolejny Amerykanin przekonany, że już tylko w Czechach można jeszcze znaleźć kobietę nieskażoną galopującym feminizmem?

– Dokładnie – uśmiecha się Jirzina. – Ale myli się, czy może nie?

– Oczywiście, że się myli! – śmieje się Jirzina i czerwieni się uroczo.

XIX

Sara i pozostałe dzieci *scentralizowanych matek*, jak Sinobrody nazywa kobiety z Centrum Matki, powoli dorastają do wieku szkolnego i nagle nie ma czasu na debaty o fotografiach zamarzniętych kryształów wodnych. Trzeba zacząć rozmawiać o tym, do jakiej szkoły pójdą, lecz żadna szkoła w okolicy nie spełnia wysokich wymagań Hedviki.

– Fanatyczny zachwyt ekoproduktami i własnoręcznie szytymi podpaskami został wyparty przez fanatyczny zachwyt edukacją domową, połączony oczywiście z fanatyczną krytyką szkolnictwa publicznego – skarży się Mojmir.

Główną propagatorką edukacji domowej jest Svatava, która stopniowo zajmuje miejsce Lidii.

– Moje życie zmieniło się w na wpół szalony zegar słoneczny, w którego oknie co roku pojawia się apostoł jakiejś całkiem nowej wiary! – kontynuuje Mojmir. – Albo apostołka. Zaczęło się od Architekta, który okazał się być wyznawcą Hare Kriszna, po nim pojawił się Ogrodnik–lunatyk, potem oczywiście pani we własnej osobie wraz ze swoimi zwariowanymi teoriami o kobietach–wilkach, potem Ksenia, po niej ekowdowa Lidia, no a teraz ta Svatava, która przeżywa orgazm za każdym razem, kiedy usłyszy słowo „alternatywny" i która będzie wychwalać każdą niepubliczną szkołę, choćby jej uczniowie chodzili w mundurach i nosili

broń. Co pojawi się w przyszłym roku? – pyta Mojmir retorycznie (działalność charytatywna i Tamal, jeśli chcecie wiedzieć już teraz).

– Jedyna wyraźna różnica między Lidią i Svatavą jest taka, że mąż tej drugiej jeszcze żyje – zniekształca rzeczywistość Mojmir.

Według niego Svatava jest wprawdzie mniej szurnięta, ale za to jeszcze bardziej zaślepiona: chyba tylko szkolnictwo w Korei Północnej można według niej uznać za gorsze niż czeskie. Pierwszych siedem lat życia decyduje o przyszłości, potem na wszystko jest już zdecydowanie za późno; danie dziecku klapsa jest równoznaczne ze stratą jego zaufania i szacunku do samego siebie – podobne poglądy, z którymi nie można się nie zgodzić, stanowią dla Mojmira dowody zaślepienia i fanatyzmu. Tłumaczę mu, że na przykład ja też nigdy nie wysłałabym dziecka do szkoły, w której stawia się stopnie.

– Rozumiem, że ma pani na myśli czysto hipotetyczną sytuację – zaznacza uszczypliwie – że w ogóle ma pani jakieś dzieci.

Przywykłam do jego impertynencji.

– Owszem, czysto hipotetyczną.

– A dlaczego nie? Bo szkoły, w których stawia się stopnie, są jak restauracje z plastikowymi sztućcami? – bredzi Mojmir, dla którego życie to jeden wielki steak house. – Bo według pani dostać stopień to tak jakby złapać gnidy?

Bez komentarza.

Na przekór jego lamentom edukacja domowa rozkręca się bardzo szybko. Mojmir nie może sobie nagle przypomnieć, co aż tak bardzo denerwowało go w ekoklubie. Sikanie na stojąco z perspektywy czasu zaczyna wydawać mu się nieszkodliwe. W końcu ekoklub jest tylko w środy, a szaleństwo zwane edukacją domową odbywa się codziennie!

Svatava, Hedvika i Ksenia są przekonane, że zanim dziecko zacznie się uczyć o współczesnym świecie, musi dowiedzieć się, jak powstał. Zaczynają więc od Wielkiego Wybuchu: wszystkie dzieci dostają woreczki lego (łącznie z tymi najmniejszymi elementami) i w imię nauki pozwala się im na rozrzucenie kilkuset klocków po całym domu Mojmira.

– I właśnie tak powstała nasza Galaktyka – mówi z zadowoleniem Svatava. – Droga mleczna.

– Merkury, Wenus, Ziemia, Mars, Jowisz, Saturn, Uran, Neptun – wymienia planety Sara.

– I Pluton – Sinobrody przypomina sobie swoje szkolne lata.

Dzieci się z niego śmieją: Pluton już dawno został wykreślony z układu słonecznego. Czy Mojmir nie wie, że Pluton to tylko karłowata planetka?

Ano nie wie.

Poszczególne pomieszczenia domu Mistrza zostają kolejno przekształcone w tymczasowe klasy szkolne. Znajdują się w nich mapy, globusy, słowniki, literki magnetyczne, skały, zdjęcia wielorybów, delfinów i innych waleni, liczydło, szkielet człowieka, tablice i kredy. Chyba codziennie przybywa coś nowego: suszone kwiaty, modele skrzydeł ptaków drapieżnych, symbole narodowe, jaskiniowe malowidło przedstawiające mamuta, łuski ryb. Nie ma tygodnia, żeby Ksenia, Svatava albo Hedvika nie zrobiły własnoręcznie kolejnej pomocy naukowej: kursu pierwszej pomocy w formie gry planszowej, quizu o zagrożonych gatunkach czy modelu układu słonecznego w skali oddającej prawdziwe wielkości planet.

– Cztery godziny robią pomoc naukową, z której korzystają potem dziesięć minut. Pokazują ją dzieciom ze wszystkich stron, dodają jakiś komentarz i więcej już na nią nawet nie spojrzą – nie rozumie Mojmir. – Tak nieefektywna potrafi być tylko kobieta – dorzuca z awersją.

Hedvika wyjaśnia, że musi zdjąć ze ścian jego ulubione obrazy, by na ich miejscu powiesić pociągi z ponumerowanymi wagonikami i osie czasu. Subtelne chińskie grafiki, które przywiózł ze spotkania autorskiego na Tajwanie, zostają zastąpione przez szkice ilustrujące rozstaw palców gibona, orangutana, szympansa, goryla i człowieka, a zamiast wysmakowanego humoru Jiřiego Slívy Mojmir ma teraz codziennie przed oczami przygłupi pysk jakiegoś australopiteka. Przy śniadaniu rozmawia się o układzie pokarmowym, przy obiedzie o płytach tektonicznych, a przy kolacji o Altamirze.

I tak dalej.

Pewnego ranka na drogich włoskich kaflach na parterze pojawia się pięciometrowa biała elipsa, po której dzieci chodzą przed nauką, żeby się wyciszyć. To ćwiczenie działa. Zdenerwowany pozostaje tylko Mojmir.

– To nie jest życie, to jest projekt! – stęka.

Dlaczego to wszystko nie może odbywać się w szkole? – pyta. Dlaczego w szkołę zmienił się jego dom? Dlaczego kiedy otwiera szafę, za każdym razem wypada na niego replika maczugi z prawieku? Kiedy chce poczytać na kanapie gazetę, banda małych neandertalczyków (w skórach, które pozostały po jego babci kuśnierce) rzuca w niego drewnianymi włóczniami. Dlaczego nie mogą podpisać dzieciom wieczorem zadań domowych i iść spać? Dlaczego nie może chodzić na wywiadówki i słuchać, w czym wyróżnia się jego córka? Dlaczego Hedvika pozbawiła go tej radości? Dlaczego nie może patrzeć młodym nauczycielkom na piersi? Dlaczego musi kupować siedmioosobowe auto, żeby Hedvika mogła wozić na wycieczki zupełnie obce dzieci.

I tak dalej.

Pragnie wyjechać gdzieś, gdzie nie będzie potykać się pięć razy dziennie o papierowy Saturn. Jest luty, normalni ludzie jeżdżą na narty, ale pan pisarz pojedzie nad morze. Do egzotycznego raju… Kiedyś inaczej wyobrażał sobie raj, ale dziś jest to przede wszystkim miejsce, w którym człowiek nie natyka się na żadne pomoce naukowe.

Wykupuje szesnastodniowe wczasy na Mauritiusie, a przed odlotem wyraźnie zakazuje Hedvice jakichkolwiek prób nauczania.

– Ta wyspa jest byłą kolonią, ale nie będziesz dzieciom ani mi opowiadać o koloniach. Wyspy otacza ocean, a nie biom. Dobrze to sobie zapamiętaj. Skład chemiczny piasku na plaży nas nie interesuje. Jesteśmy na urlopie, a nie na wyjeździe naukowym. Jedziemy odpocząć od nauki, przynajmniej ja zdecydowanie tak. Ryby będziemy jeść, nie poznawać ich budowę. Nie będzie nas interesować, jak oddychają, tylko ile kosztują, jasne? Sara może próbować mówić po angielsku, ale nikt, powtarzam, nikt nie będzie poprawiał jej przedrostków. Jasne? Spokojnie pójdziemy obejrzeć wschód albo zachód słońca, ale nie będziemy rozmawiać o wodorze, helu, a już na pewno nie o protuberancjach.

Przeszukuje jej bagaż. Jak wściekły celnik szukający heroiny sprawdza, czy w walizce Hedviki nie ma drugiego dna skrywającego elementarz, zadania arytmetyczne lub test wiedzy o ojczyźnie.

Hedvika przestrzega jego zasad. Urlop jest udany. Ich luksusowy apartament codziennie sprząta miejscowa służąca: po podłodze ani po stołach nic się nie wala. Na ścianach nie wiszą żadne tablice. I tak dalej. Mojmir jest zachwycony. Mówi, że miłość posiada zdolność regeneracji…

Na ostatni wieczór planuje niespodziankę: romantyczną kolację pod gwiazdami (dzieci pilnuje córka Mojmira z pierwszego małżeństwa, którą wzięli ze sobą). Hedvika ubiera się w swoją najlepszą letnią sukienkę. Na

jej opalonej szyi świeci diament, który dostała na rocznicę ślubu. Mojmir – jakżeby inaczej – ma na sobie koszulę od Armaniego.

Na plaży czeka masywny stół, na nim biały obrus i srebrne sztućce. Świece i pochodnie płoną. Osobisty kelner jest niezwykle uprzejmy. Serwuje krewetki z kokosem, curry z miecznika i poisson à la créole, rybę zapiekaną w liściach bananowca. Przypływ szumi, gwiazdy błyszczą. Bajka trwa, ma nadzieję książę.

– Wiesz, to naprawdę niewiarygodne, prawda? – mówi oczarowana Hedvika.

Mojmir przytakuje. Egoistycznie podejrzewa, że żona ma na myśli to, co razem przeżyli, że jej wewnętrzny wzrok jeszcze raz ogląda bajkę o Kopciuszku – lecz ona przygląda się Drodze Mlecznej.

– Drogę Mleczną widać tu, na południowej półkuli, jaśniej, ponieważ biegun południowy Ziemi jest skierowany w stronę świetlistego centrum Galaktyki. Wiedziałeś o tym?

Ta jej uwaga bez zezwolenia przekracza granicę romantyki i zmierza na terytorium niekończącej się edukacji, ale ten jeden raz Mojmir postanawia jej to wybaczyć.

– Nie.

Hedvika odchyla głowę ku nocnemu niebu i rozgląda się dokoła. Wypiła już trochę wina i dlatego wciąż pozwala sobie na zakazane rzeczy.

– Możesz sobie wyobrazić, że trzynaście miliardów lat temu nie było tu czasu ani przestrzeni?

Mojmir mobilizuje ostatnich nieletnich szeregowców swojej cierpliwości (starsi żołnierze wyższej rangi już dawno polegli) i wspaniałomyślnie postanawia wybaczyć jej również te słowa.

– Nie – uśmiecha się. – Masz ochotę na ciasto?

Lecz Hedvika odmawia powrotu na ziemię.

– Że nie było nic?

– Albo flambirowanego ananasa?

Mojmir postrzega świat w kategorii godzin, ona mówi o miliardach lat świetlnych – więc jak mogliby się spotkać?

– Możesz sobie wyobrazić, że pewnego dnia wszystkie gwiazdy wystygną?

– Obawiam się, że oboje je wyprzedzimy.

– Albo że wszystkie galaktyki, gwiazdy, planety i atomy rozerwą się i dojdzie do Wielkiego Rozdarcia?

Mojmir liczy w duchu do dziesięciu.

– Zmień temat – prosi ją.

Ale jego żona radośnie nabiera w dłonie ciepłego nocnego powietrza.

– Tu jest plus trzydzieści, a w kosmosie minus dwieście siedemdziesiąt! Trzysta stopni różnicy!

Mojmir ma wrażenie, że owiewa go lodowaty wiatr wprost z kosmosu.

– Do ciebie nic nie dotrze – mówi.

Użala się nad sobą. Wydaje mu się, że jego los jest podobny do losu jakiejś karłowatej planetki. Właśnie znalazł się na swej orbicie tak daleko od słońca Hedviki, że zupełnie zamarzł. Biedaczek czuje się jak ten wykreślony Pluton. Przychodzi mu do głowy myśl, że uwiedzenie i porzucenie nie jest już tylko starą męską podłością, ale całkiem współczesną kobiecą bronią. Wstaje i odchodzi.

Co ja mu zrobiłam? – dziwi się słusznie Hedvika. Nazajutrz odlatują z powrotem do lodowatych Czech (w drodze na lotnisko Hedvika po raz pierwszy w życiu widzi slumsy, co według słów Mojmira *uzbroi w niej bombę zegarową działalności charytatywnej* – ale o tym za chwilę). W domu wszystko szybko wraca na stare tory.

– Ja konkretnie na tor dziewiąty – mówi gorzko Mojmir.

Owszem, w aktualnym TOP TEN małżonki jest już na dziewiątym miejscu, zaraz za edukacją domową. Już nawet trylobity i skrzypy interesują jego żonę bardziej niż on.

A ja w ogóle się temu nie dziwię.

Pierwszy kwietniowy weekend jest dość słoneczny i ciepły, więc pisarz wyłazi ze swej nory na światło dnia. Siada na tarasie i obserwuje nas. Akurat rozciągamy na ogródku z Hedviką, Svatavą i Ksenią pięćdziesięciometrową taśmę, żeby jak najbardziej obrazowo pokazać dzieciom, jak wielki był dinozaur, brontozaur i tyranozaur. Mojmir otwiera butelkę wina, ale nam nie nalewa. Być może cieszy się chwilową iluzją powrotu patriarchatu: on pije, my pracujemy. Lecz z pewnością zazdrości nam zapału pedagogicznego, całego tego entuzjazmu, którego jemu brakuje.

Okazuje się, że brontozaur osiągał wysokość i długość domu. Wielkość wyginiętego gatunku najwyraźniej zaskakuje nawet Mistrza. Podobne zdziwienie przejawił niedawno, kiedy od swojej pięcioletniej córki dowiedział się, że neandertalczycy mieli większe mózgi niż dzisiejszy człowiek.

– Może to tu leży przyczyna – powiedział wtedy zamyślony. – Może nam albo wam po prostu brakuje części mózgu.

Kiedy wypije pół butelki, wstaje, wyrywa nam taśmę i rozwija ją całą w poprzek trawnika. Dzieci obserwują go z zaciekawieniem.

– A taką wielkość osiąga samica tyranozaura emancypacji – mówi z zadowoleniem. – To zupełnie nowy gatunek.

Dzieci są zmieszane, my uśmiechamy się niepewnie.

– Poluje tylko na mężczyzn. Zazwyczaj rozrywa im wnętrzności. Niektórzy faceci boją się jej tak bardzo, że podcinają sobie żyły, jeszcze zanim ich zaatakuje.

– To w ogóle nie jest śmieszne – złości się Ksenia.

– To nie ma być śmieszne. Dziś to jeszcze młody osobnik, ale za kilka lat zabije wszystkich mężczyzn. Zostaniecie same.

– Innymi słowy jest pan przeciwny kobiecej emancypacji – mówię.

– Bynajmniej. Jestem przeciwny jedynie takiemu wyswobodzeniu kobiety, które zagraża wolności mężczyzny.

– Ach tak.

– Niech pani wierzy albo nie, ale ja popieram nawet dyskryminację pozytywną kobiet – kontynuuje niespodziewanie. – Ponieważ za te wszystkie wieki niepodważalnego ucisku jesteśmy wam to winni. Niewątpliwie jesteśmy wam również winni coś w rodzaju oficjalnych historycznych przeprosin.

– To oczywiste – konstatuje bojowo Svatava.

– Ale nie chciałbym, żeby teraz to się po prostu odwróciło. Żebyśmy nie byli dla odmiany dyskryminowani my, mężczyźni. To wszystko.

Sinobrody zwraca się bezpośrednio do mnie.

– Też umiałbym opisać, w czym jesteśmy wyjątkowi, nieokiełznani, odważni i tak dalej, a w odróżnieniu od Clarissy Pinkoly, pi ejdż di, nie potrzebowałbym do tego bajek ani pięciuset stron, lecz nie tędy droga. Jeśli ciągle będziemy podkreślać tylko to, co nas różni, nigdy nic nie osiągniemy.

Uśmiecham się.

– Od pisarza spodziewałabym się czegoś więcej prócz samych banałów.

Mojmir się mi przygląda.

– Wie pani, co właśnie zrozumiałem? – mówi. – Że Sinobrody to pani.

– Doprawdy? Co też pan mówi!

– Nie wiem, jak mogłem dostrzec to dopiero teraz. To pani jest tym, kto zabija.

XX

Mojmir nie ma nastroju ani na młodych Amerykanów szukających po świecie kobiety nieskażonej feminizmem, ani na młode Czeszki udające, że takimi kobietami są. Kiedy dopiją z teściem butelkę (puchary włożą do skrzyni pod kozłem), wysiada i udaje się na ulicę Haštalską. Wprawdzie masaż również należy do rzeczy, bez których mógłby się obejść, ale musi jakoś zabić czas. Wie, że tylko sztucznie przedłuża swoją udawaną ucieczkę i że pojutrze, a może już jutro, pojedzie do domu, ale dziś jeszcze nie może wrócić, choć bardzo by chciał.

Godność, to o to tu chodzi.

Tajska masażystka w hotelu Maximilian pamięta Mojmira z poprzednich wizyt, ale mimo to swoją kiepską angielszczyzną pyta formalnie, jaki rodzaj masażu sobie życzy.

– Taki jak zawsze – mówi Mojmir, który nie lubi próbować nowych rzeczy. – Bez uciskania. Tylko głaskanie poproszę.

Również tym razem nie jest pewien, czy kobieta go rozumie, ale przecież to uczucie zna również z domu. Chciałby zapytać masażystkę, jak jej się tu żyje albo czy czuje się wystarczająco kochana, lecz wie, że nawet gdyby zdecydował się na takie pytania (a masażystka by go zrozumiała),

i tak usłyszałby tylko kilka frazesów. Po chwili Tajka nachyla się nad nim dyskretnie.

– Do you feel comfortable, sir? – szepcze.

– Yes, thank you!

Czuje jej zapach. W czasie godzinnego masażu usłyszy to pytanie jeszcze minimalnie dwa razy. Ileż by dał, żeby Hedvika zapytała go o to choćby raz w miesiącu? – myśli w kolejnym przypływie użalania się nad sobą.

Po masażu pije herbatę, zazwyczaj ma tu do wyboru dziesięć rodzajów. W domu mają niezliczoną ilość herbat, które smakują Hedvice, a od święta również Earl Grey, którą lubi Mojmir. Dosłownie topi się w dziecinnym poczuciu krzywdy, a mimo to pragnie wracać do domu. Natychmiast.

Do auta, które zostawił pod mieszkaniem, idzie pieszo, żeby spalić wino wypite z teściem. Po drodze dzwoni do Hedviki, że wraca do domu.

– To dobrze. Dzieci już tęsknią.

Dzieci. A ona? Jak zawsze musi te słowa wymusić.

– A ty?

– Ja oczywiście też.

Lepiej już nie będzie – myśli Mojmir. Mniej oczekiwań, więcej wdzięczności – przypomina sobie. Dlaczego wciąż myśli, że bezgraniczna miłość mu się należy? Miliony mężczyzn są w o wiele gorszej sytuacji. Miliony ludzi by go wyśmiały: na co się skarży? Czy wie, jak wyglądają prawdziwe życiowe problemy? Ludzie topią się w długach, nie mają gdzie mieszkać, walczą z ciężkimi chorobami, a pan pisarz narzeka, że w hierarchii wartości żony jest dziesiąty.

– Mam zrobić zakupy? – pyta.

Hedvika się waha. Nie jedź na żadne zakupy, wracaj od razu do domu – to Mojmir chciałby usłyszeć, ale wie, że nie usłyszy. Lodówka jest zbyt pusta, by to usłyszał.

– Jeśli ci się chce. Nie musisz.

– Skoro już będę przejeżdżał koło sklepu…

Zatem w Pruchonicach robi duże zakupy. W miarę możliwości wybiera ekoprodukty (wie, że to ucieszy Hedvikę). Dorzuca jeszcze jej ulubione porto, a córkom kupuje nowe lego. Przyjeżdża do domu, otwiera furtkę, dzieci wybiegają na podwórko, obejmują go. Hedvika po chwili robi to samo.

– Cześć – mówi Mojmir.

– Cześć. Ładnie pachniesz.

– Jaśmin i trawa cytrynowa.

Hedvika się uśmiecha. Dlaczego nie zapyta, skąd się wziął ten zapach? Dlaczego nie jest zazdrosna? Naprawdę jest jej to obojętne?

– Byłem na masażu.

– To pewnie było fajnie, co? – mówi Hedvika i zaczyna znosić z auta torby z zakupami.

XXI

Co tak strasznego zobaczył Kopciuszek w drodze na lotnisko?

– No właśnie prawie nic! – nie rozumie Sinobrody. – Dwadzieścia ruder bez prądu i kilkoro trochę zaniedbanych dzieci ze smarkami pod nosem, to wszystko. Kierowca dodał gazu i przedstawienie się skończyło.

Jednak w samolocie Hedvika odmawia jak łososia, tak jagnięciny na rozmarynie, nie pije również wina. Doszło podobno nawet do tego, że przy przesiadce w Monachium nie chciała wsiąść do klasy VIP. Wyobraźcie sobie!

– Chyba pierwszy raz widziała coś takiego – wyjaśniam Mojmirowi.

(Kurs Odczuwania Kobiet dla początkujących)

– No dobra – przyznaje niechętnie. – Jej pierwsze slumsy, tak? Serce krwawi jak dziewica po nocy poślubnej? To pani ma na myśli?

– Mniej więcej.

– Przecież nikt nie ma obowiązku dźwigania ciężaru całego świata.

– Ale to nie znaczy też, że powinien pozostać obojętny.

– Przyznaję, że różnica między glinianą podłogą a drewnem tekowym, po którym chodziła przez szesnaście dni, jest dość wymowna, ale z drugiej strony jako mieszkaniec Czech Środkowych naprawdę nie czuję się osobiście odpowiedzialny za biedę na wyspach Oceanu Indyjskiego.

Lecz Hedvika odczuwa to inaczej. Wyrzuca sobie ten pięciogwiazdkowy hotel. Wyrzuca sobie białe obrusy. Wyrzuca sobie, że spała w klimatyzowanym pokoju, podczas gdy dzieci, które widziała z autobusu, cisną się w brudnej pościeli na jakichś odrażających pryczach.

– A myślisz, że w jakich warunkach spałem w dzieciństwie ja? Trójka dzieci, ojciec inżynier, matka prawniczka. Liczyliśmy każdy grosz – próbuje niezgrabnie rozluźnić sytuację Mojmir. – Nie mogliśmy szastać pieniędzmi jak badylarze czy górnicy.

Denerwuje go, że na zachowanie i poglądy jego żony ma wpływ nawet to, co zobaczy wyłącznie przez przypadek. Co nigdy wcześniej jej nie przeszkadzało. Gdyby zobaczyła przewrócony tankowiec, wioskę w Tybecie lub ukraiński burdel, martwiłoby ją dziś coś zupełnie innego. Ten brak koncepcji dosłownie doprowadza Mojmira do szału – ale Hedvika ma w oczach łzy.

Mojmir pojmuje, że sprawa jest poważniejsza, niż myślał. Nie potrafi wyjaśnić tego nagłego przewrażliwienia. Boże, czy ona nie jest w ciąży?! Owszem, jest: właśnie została zapłodniona ideą sprawiedliwości socjalnej (jednak z tym płodem jej nie pomogę, zadania douli będzie tym razem wykonywać pan pisarz, chi chi; miast moich szerokich ramion – jego otwarty na oścież rachunek bankowy…).

– Nie jestem tak naiwna, by myśleć, że mogę to zmienić, ale nie potrafię też biernie się temu przyglądać – mówi Hedvika, ocierając sobie oczy. – Nie zniosę myśli, że żyjemy w przepychu, a mimo to nie pomożemy ani jednemu z nich.

Bierze swojego męża za rękę. Mojmir wzdycha.

– Okej – mówi. – Jednemu z nich jestem gotów pomóc.

– Dziękuję.

Mojmir kiwa głową. On również się wzruszył: swoją rzekomą szlachetnością.

– Lepiej zapalić świeczkę, niż przeklinać ciemność – Hedvika cytuje mu chińskie przysłowie.

Za zgodą Mistrza jedziemy więc do praskiego biura Czeskiej Akcji Katolickiej, gdzie wysłuchujemy wielu poruszających opowieści i przeglądamy kilkadziesiąt fotografii. Ostatecznie do *adopcji na odległość* wybieramy wyjątkowo piękną czternastoletnią hinduskę, która z pewnością spodoba się lubieżnemu pisarzynie (zgadzamy się z Hedviką telepatycznie).

– Oszalałyście do reszty? – oświadcza jednak Sinobrody, kiedy tylko spojrzy na zdjęcie. – Chcecie ze mnie zrobić pedofila? Chcecie mnie zlikwidować towarzysko? Zapomniałyście już, że brukowce depczą mi po piętach?

Zmusza nas, żebyśmy nazajutrz wróciły do biura i reklamowały dziewczynę z powodu paradoksalnej wady ukrytej: uderzającego uroku.

– Wybierzcie chłopca, na Boga! Jakiegoś brzydkiego już na pierwszy rzut oka! – prosi stanowczo. – Najlepiej kogoś wręcz obrzydliwego! Zabiedzonego!

Dwunastoletni Tamal, którego wybieramy przy drugim podejściu, nie jest ani brzydki, ani nie wygląda na zbytnio zabiedzonego, ale ku naszemu zaskoczeniu Sinobrody jest zadowolony.

– Chyba może być. Jest czarny jak podeszwa – mówi z ulgą. – W tym przypadku chyba żadnych spekulacji nie będzie.

– Nie podejrzewałam, że do tego wszystkiego jest pan jeszcze rasistą.

Już mu się nawet nie chce mi odpowiadać.

– Ile będzie mnie kosztować ten mały Gandhi?

– Tylko sześć tysięcy koron rocznie – informuje go Hedvika.

Mistrz nie mógłby być handlowcem, ponieważ jego twarz od razu zdradza, że nie spodziewał się tak niskiej kwoty.

– Sam pan przyzna, że to niezły interes! – prowokuję go.

– To się dopiero okaże!

Już za trzy tygodnie przychodzi pierwszy list z Indii. Hedvika ani ja niestety nie znamy angielskiego, więc jesteśmy zdane na żenujące parodiowe tłumaczenie Sinobrodego.

– Droga Hedviko i Mojmirze – czyta niechętnie i posyła mi znaczące spojrzenie. – Jak wy się macie? Nowa linijka: Stokrotnie wam dziękować za pieniądz co wy mi posłać.

– Przestań – prosi go Hedvika.

– Ja zapłacić częste, to chyba ma na myśli czesne, i kupić podręczniki, linijka długa, piórnika i wagon szluga.

– Przestań – powtarza Hedvika.

Milczę, ale w duchu pytam sama siebie, jak najpoczytniejszym czeskim pisarzem mogło zostać coś takiego? Nagle Sinobrody milknie, jego błazeński uśmiech powoli zanika, wodzi oczami po kolejnych linijkach.

– No, naprawdę jest z nim nieciekawie – mówi poważnym głosem.

– Co pisze? Co mu jest? – pyta Hedvika.

Mojmir spogląda na nas przelotnie.

– Wiecie, nie chcę dramatyzować, ale może lepiej usiądźcie.

Siadamy. Hedvika wciska dłonie pod uda jak zawsze, kiedy czegoś się obawia. – Jezu, powiedz to wreszcie – jęczy.

Mojmir odkłada list z udawanym zdruzgotaniem.

– Nie dostaje ocen opisowych. Dostaje stopnie…

Lecz ten humor wkrótce go opuści: jednym z efektów przypadkowej konfrontacji Hedviki z biedą absolutną jest bowiem niepisany obowiązek, by mieć wyrzuty sumienia. Mistrz musi więc teraz udawać wstyd nawet za najmniejszy luksus. Wino powyżej trzystu koron pije wyłącznie potajemnie. Krewetki tygrysie może kupować maksymalnie raz w miesiącu. Przed gośćmi skrzętnie ukrywa dowody swej niezmiennej i niewybaczalnej rozrzutności.

– Jeszcze nie wiem. Chyba volvo, wyłącznie ze względów bezpieczeństwa. Ale jakieś starsze, używane – odpowiada na przykład podejrzanie ogólnikowo na pytanie, jakie auto sobie kupi (choć wpłacił już zaliczkę na nowy wóz). Kosztowne zimowe urlopy nad morzem tłumaczy natomiast faryzejskimi względami zdrowotnymi: potrzebuje odpoczynku, ponieważ długo i intensywnie pracował (dwa miesiące). A Basi zawsze wyraźnie podleczy się tam zapalenie skóry (bez lupy go nie znajdziecie).

I tak dalej.

– Każda rodzina jest na swój sposób nieszczęśliwa – parafrazuje Mistrz (zarozumiale) Lwa Nikołajewicza Tołstoja. – Na przykład nasza jeździ na trzy tygodnie na Ko Samui.

Dlatego musi płacić Akcji Katolickiej. Dlatego musi przyznać, że w porównaniu z afrykańskimi dziećmi z wadą wzroku lub z ofiarami powodzi niczego mu w życiu nie brakuje. Co roku opłaca urlop sobie i obu braciom (najwyraźniej też mają zapalenie skóry).

– Czystego sumienia nie można sobie kupić – zwracam mu uwagę.

– Oczywiście, że można, tyle że jest dużo droższe. Ja kupuję sobie tańsze dobre samopoczucie, rozumiemy się?

Drobnymi kwotami wspiera też kobiety z rakiem piersi, schroniska dla chorych ptaków, wdowy po znanych mężach i zaniedbane opuszczone koty.

– I panią, oczywiście – nie omieszka mi bezczelnie przypomnieć.

Aby zaimponować swojej żonie, Sinobrody zaczyna robić nawet to, czego zawsze unikał: pożycza pieniądze. Naturalnie ludzie mu ich nie oddają i robią z niego zasmuconego idealistę. Pisarz ze zdumieniem obserwuje ogólnie znane zmiany w relacjach wierzyciel – dłużnik: pomaga komuś w trudnej sytuacji finansowej (dwa razy daje, kto szybko daje) i staje się jego wiernym przyjacielem (prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie), ale kiedy tylko upłynie wyznaczony termin zwrotu, w oczach dłużnika zmienia się natychmiast w nieprzyjemnego, a wręcz nienawistnego lichwiarza („za parę koron sprzedałby własną matkę").

– Za pół miliona – mówi zniesmaczony Mojmir.

Ale tym przejmuje się najmniej ze wszystkiego.

Nieskończenie bardziej martwi go to, że jako mąż *jest zdany na zmienną łaskę i niełaskę Hedviki*, podczas gdy obcy ludzie tacy jak Lidia, Svatava, Ksenia czy ja podobno *wylegujemy się w pięciogwiazdkowym hotelu jej sympatii*. Martwi go też, że jedynym człowiekiem, który czasem zapyta o jego zdrowie lub twórczość, jest Tamal.

– Jedyny człowiek, który w tej rodzinie czasem udaje zainteresowanie moją osobą, to nastoletni hindus, którego w życiu nie widziałem i od którego dzieli mnie jakieś osiem tysięcy kilometrów – mówi. – Jeśli nie wydaje się wam to smutne, to macie serca z kamienia.

Któregoś wieczoru wstawiony Mojmir wykręca numer swojego bankiera i wysyła na rachunek swojej żony sto tysięcy koron. W tytule przelewu każe wpisać *Pomoc dla niedowidzących.* Kiedy kilka dni później Hedvika się zorientuje, pyta zdziwiona, czy to pomyłka, czy jakiś głupi żart.

– To nie jest żart – odpowiada Mojmir bez uśmiechu. – W ostatnich miesiącach mam wrażenie, że mnie nie widzisz.

Tydzień później prosi żonę zgryźliwie, żeby pomogła zorganizować mu *dobroczynną giełdę ciepłych słów na rzecz zasilenia konta Mojmira*. Na wspomniane konto ludzie nie posyłaliby mu pieniędzy, ich ma wystarczająco dużo, ale różne pytania, których z kolei w życiu mu brakuje. Konkretnie na przykład takie:

Jak się ma?

Czy nie jest głodny?

Czy dobrze się mu spało?

Czy dojechał bez problemów?

Czy nic mu nie dolega?

Jak mu idzie pisanie?

Czy ta doula nie działa mu już strasznie na nerwy?

Podsumowując: niesmaczne użalanie się nad sobą, zaślepiony egocentryzm, szantaż emocjonalny. Wreszcie upadnie tak nisko, że zacznie się skarżyć własnym dzieciom.

XXII

– Wiecie, kiedy ostatnio byłem dla mamusi najważniejszy? – pyta Mojmir dzieci po powrocie do domu (Hedvika przywitała go chłodno i pojechała na jogę) i sam sobie odpowiada: – Na ślubie.

Sara i Basia obserwują go zdumione.

– Po ślubie już nigdy – skarży się ich ojciec. – Od ślubu mamusia ma dużo ważniejsze sprawy niż ja.

– A co jest dla mamusi najważniejsze? – chce wiedzieć Sara.

– Oczywiście najważniejsze dla mamusi jesteście wy. Ale tego się spodziewałem. Dla każdej mamusi dzieci są ważniejsze niż tatusiowie. Mamusie już takie są. W przyrodzie niektóre mamusie po ślubie wręcz zjadają tatusiów, jak na przykład modliszka.

Obie dziewczynki wpatrują się w ojca z otwartymi ustami.

– To są bardzo złe mamusie – odzywa się Basia. – Złe.

– Racja – zgadza się z nią Mojmir. – To są bardzo złe mamusie.

– A czego się nie spodziewałeś, tato?

– To dobre pytanie – chwali ją Mojmir. – Najpierw w ogóle nie spodziewałem się tego, że mamusia tak pokocha nasz dom i że będzie z nim tyle pracy.

Nie spodziewał się też podobno, że mamusia tak bardzo polubi ogród wokół domu. Poza tym nie spodziewał się, że mamusia będzie tak bardzo uwielbiać Centrum Matki i poradnię dla matek karmiących. Rzekomo nie spodziewał się również, że jego żona będzie tak uwielbiać ekokluby, segregację odpadów, doulę i Tamala.

– Po prostu nie spodziewałem się – zakończy swoją reklamację Mojmir – że to wszystko będzie mamusię interesować bardziej niż ja.

Podobno jest bardzo rozczarowany.

Tej nocy Mojmir ma nieprzyjemny sen: wraca z Pragi, a na tarasie jego domu oprócz żony i douli siedzą pozostałe kobiety z Centrum Matki. Ku jego znacznemu niezadowoleniu są tu również Władek i Tamal.

– Siemanko – mówi Mojmir i stara się, żeby w jego tonie nie było słychać podrażnienia czy wręcz zazdrości. – Ale was się tu dzisiaj zeszło!

Wydaje się, że pojawienie się Mojmira wszystkim zepsuło humor. Przyglądają mu się bez sympatii. Nikt nie odpowiada na jego powitanie. Kobiety wymieniają spojrzenia. Mojmir rozgląda się dyskretnie: Ksenia z Hedviką piszą na komputerze nowe podanie o grant, Svatava z Lidią wycinają z kolorowych papierów kolejne pomoce naukowe do edukacji domowej, trzy inne matki robią sobie nawzajem na piersiach okłady z przywrotnika, a pozostałe dwie masują Tamala i Władka olejkiem mandarynkowym.

– To ty go jeszcze trzymasz? – zwraca się Ksenia do Hedviki. – Proszę cię, po co?

Żona Mojmira wyraźnie się czerwieni.

– No wiesz – mówi przepraszająco. – Dzieci już się przyzwyczaiły.

Obecne kobiety wyrażą swój pogląd pogardliwym tssssss. Mojmir szuka wzrokiem oczu Hedviki, ale ona na niego nie patrzy.

– Ależ kochanie – mówi jedna z kobiet z obnażonymi piersiami – ich historyczna rola przecież dawno się zakończyła.

– Szkoda było mi go wyrzucić – tłumaczy się cicho Hedvika.

– Wyrzucić? – krzyczy zgorszona Lidia. – No coś ty?

W Mojmirze wznieca się płomyk nadziei, który po chwili gaśnie.

– Facetów się nie wyrzuca – poucza jego żonę Svatava. – Ich się utylizuje. Pokażemy ci jak.

Zanim Mojmir zdoła cokolwiek zrobić, kobiety rzucają się na niego i przy akompaniamencie bębnów, na których gra Władek, zabijają go.

Jego ubrania piorą i segregują, a Tamal wysyła je rodzinie do Delhi.

Hedvika obdzwania wszystkie szpitale w województwie, by podarować im najważniejsze organy Mojmira.

Pozostałe mięso wkładają do woreczków mikrotenowych, które Hedvika oznacza markerem (Mojmir 5/2010) i wkłada do zamrażarki.

Z jego kości potem wspólnie ugotują ekomydło.

Rano mocno wstrząśnięty Mojmir wstaje, bierze prysznic, myje zęby, a pod pachami przejeżdża dezodorantem kulkowym, który Hedvika kupiła mu na urodziny i który w odróżnieniu od wszystkich pozostałych dezodorantów kulkowych nie zawiera aluminium. Na śniadanie je ekopłatki owsiane zalane ekomlekiem, na prośbę swojej żony podpisuje dwie nowiutkie petycje (przeciw połowowi wielorybów i przeciw karom cielesnym), czyta najciekawsze e–maile, które dostała w ostatnich dniach i mówi jej, czego o nich nie myśli (ponieważ gdyby powiedział, co o nich myśli, wkurzyłaby się); tłumaczy kolejny list od Tamala, posyła mu sześć tysięcy na naukę i umawia Hedvikę do fryzjera i do ginekologa (sama nie zdążyła się umówić, ponieważ od kilku dni pisze skomplikowane podanie o grant

europejski na budowę placu zabaw). Potem jeszcze obcina obu córkom paznokcie, ponieważ strasznie podrapały kota sąsiadów – i może iść pisać.

Ale pisanie w ogóle mu nie idzie, ponieważ przytłacza go żal nad samym sobą i ciągle przelicza te dziewięć rzeczy, którym jego żona poświęca więcej czasu niż jemu.

Musi z Hedviką poważnie porozmawiać – powtarza sobie.

– Musimy poważnie porozmawiać – oświadcza jej w południe.

Lecz Hedvika akurat nie ma czasu, ponieważ dzwonią sponsorzy letniego ekoobozu dla dzieci. Mojmir sprząta w kuchni, odcedza ziemniaki, ubija je, nakrywa stół na tarasie i czeka, aż jego żona skończy rozmawiać.

– Przepraszam – mówi Hedvika, kiedy wreszcie odłoży telefon. – Straszny gaduła.

Podczas gdy mówi do Mojmira, prawą ręką zapisuje coś w MaMy Kalendarzu, a lewą nalewa sobie soku z bzu. Mojmir czeka, dopóki szklanka się nie napełni, ponieważ nie lubi, kiedy jego żona robi trzy rzeczy jednocześnie (oczywiście nie lubi również, kiedy robi dwie rzeczy jednocześnie, ale to jest stan praktycznie permanentny – z tym musiał się już pogodzić). Hedvika pije i przygląda mu się.

– Przepraszam. Mówiłeś coś?

– Że musimy porozmawiać.

– O czym?

– O tym, że czuję się niepotrzebny. Niedostrzegany. Odsunięty na dziesiąty tor.

Hedvika chce odpowiedzieć, ale dzwoni jej telefon.

– Wybacz – przeprasza, dopija sok z bzu, znów otwiera kalendarz, masuje sobie szyję, sprawdza wielkość dziury w spodniach i rozmawia przez telefon.

– Nie wybaczę – mówi Mojmir cicho.

Musi coś zrobić – zarzeka się. Myśli. Już wie.

Napisze o tym książkę. Pozornie humorystyczną powieść.

Tak.

Tytuł oryginału: *Biomanželka*

Copyright © Michal Viewegh, 2010 Copyright © Druhé město, 2010
Copyright © for the Polish edition by Stara Szkoła Sp. z o.o.
All rights reserved

Redakcja i korekta: Ewa Żak

Projekt okładki: Wincenty Gottlieb

Skład i łamanie: Jerzy Małyszko

Wydawca:
Stara Szkoła Sp. z o.o.
Rudno 16, 56-100 Wołów
biuro@stara-szkola.com
www.stara-szkola.com

ISBN 978-83-940790-7-9

Plik opracował i przygotował Woblink

www.woblink.com